

JANECKI: JESIENIĄ OPOZYCJA BĘDZIE ROBIŁA PIEKŁO

ROKITA: ZA SZCZEPIENIAMI, PRZECIW SEGREGACJI

KOŁODZIEJSKI: DLACZEGO IGRZYSKA MNIEJ NAS KRĘCĄ



DODATEK GIGANCI NAUKI PL ODCINEK 6

MOWA NIENAWIŚCI NA FESTIWALU OWSIAKA: MIŁOŚĆ, TOLERANCJA I „J...Ć PiS"

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 32 (454) 2021
9–15 sierpnia 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

MIŁOSZ KŁECZEK

REPORTER, KTÓRY NIE BOI SIĘ PYTAĆ TUSKA

MIMO BRUTALNYCH ATAKÓW BRONI HONORU POLSKIEGO DZIENNIKARSTWA. KIM JEST? CO SĄDZI O AGRESORACH? CZY GO NIE ZŁAMIĄ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
32
9 772544 269106

rasa.pl 7fbdb83319

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

Historia Legionów Polskich w całej okazałości – od przełomu lat 1914/1915 po początki roku 1916: I Brygada, komendant Piłsudski i inne polskie oddziały



Fot. Shutterstock

50 książek w prezencie



Książkę **„Legiony. Droga do legendy 1915–1916”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **280 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9–16

eprasa.pl 7fbdb83319

Coś się gowinowcom pomieszało

Podpisana przez premiera Mateusza Morawieckiego, a ogłoszona przez rzecznika rządu Piotra Müllera dymisja wiceminister rozwoju, pracy i technologii Anny Kornackiej kolejny raz stawia w centrum debaty politycznej spory w Zjednoczonej Prawicy.

Oficjalny powód jest następujący (cytat za Müllerem): „zdecydowanie niezadowalające tempo prac" nad projektami ustaw mieszkaniowych. Odwołana i jej partyjny szef Jarosław Gowin twierdzą jednak, że chodzi o krytykę rozwiązań podatkowych zawartych w programie Polski Ład.

Możliwe, że obie wersje są prawdziwe, a na pewno nie są sprzeczne.

Przypomnijmy, że Kornecka przekonywała na antenie TVN 24, że „propozycje Polskiego Ładu zaszkodzą wielu obywatelom. Teza, że 90 proc. Polaków zyska na podniesieniu podatków dla przedsiębiorców, jest nieprawdziwa. Wszystkie wyliczenia pokazują, że nawet najmniejsi podatnicy, którzy rozliczają się kartą podatkową, też na tych rozwiązaniach tracą".

Trudno nie dostrzec, że to zarzuty atomowe. Mierzone precyzyjnie w samo centrum fundamentalnego projektu Zjednoczonej Prawicy. Co najważniejsze, rzucone w eter bez żadnej odpowiedzialności za słowo. Po stronie rządu są bowiem wyliczenia i dane, tutaj – wyłącznie słowa. Nie ma żadnych „wszystkich wyliczeń".

A nie mówimy przecież o jakiejś tam ustawie, nieobjętej umową koalicyjną. Mówimy o programie zasadniczym, którego realizacja lub porażka rozstrzygnie o wyniku wyborów w 2023 r. O projekcie, który wicepremier Jarosław Gowin osobiście podpisał, a przed i po podpisaniu Polskiego Ładu doszło w sumie do blisko 20 spotkań z nim osobiście i jego ekspertami.

Dlatego właśnie premier nie miał innego wyjścia niż dymisja autorki tak frontalnego – i nieprawdziwego – ataku na rządowy plan. W Zjednoczonej Prawicy pluralizmu aż nadto, ale rząd doszedł do sytuacji, w której Polski Ład z Porozumieniem na pokładzie jest atakowany tak samo, jak byłby bez Porozumienia. W obu przypadkach rząd dysponuje w tej sprawie taką samą kruchą większością. Z uczciwego politycznego układu (mikroskopijna partia jest u szczytu potęgi, jeśli chodzi o stan posiadania) nie wynikają żadne polityczne zyski.



Co ważne, Gowin wie, że cały czas ma możliwość kompromisu (w sprawie szczegółów podatkowych pewne zmiany są rozważane), wybiera jednak medialną aktywność. Ludzie znający kulisy nie mają wątpliwości, że to świadomie wybrana strategia. Porozumienie ma się odcinać od PiS na każdym możliwym polu – tak brzmi nieformalna zasada prowadzenia polityki przez to małe ugrupowanie. Na końcu ma być pewnie malutkie miejsce dla Gowina pod namiotem (i tak już zatłoczonym) obecnej opozycji. O tym, że dla jego ludzi go zabraknie, nie wspomina.

W całej sprawie najbardziej zadziwia przekonanie Jarosława Gowina i jego przybocznych, że muszą chronić polskich przedsiębiorców przed rządami PiS. Wyniki gospodarcze wskazują na coś przeciwnego – polska gospodarka nigdy nie miała się lepiej, polskie firmy nigdy nie miały więcej pieniędzy na kontach, nigdy nie eksportowały więcej, a polscy pracownicy nigdy nie zarabiali lepiej. Kluczowym elementem w Polskim Ładzie jest radykalne zwiększenie kwoty wolnej od podatku, podniesienie progów podatkowych, a więc elementy jak najbardziej wolnościowe. Gowin świadomie to pomija, bo szuka już chyba nie tego, co łączy, a co może podzielić.

Polska gospodarka potrzebuje ochrony, ale przed turboliberałami Donalda Tuska, którzy znowu przebierają nogami, by uczynić niskie płace głównym czynnikiem konkurencyjności – bo nic więcej w tej sferze nie potrafią. Sam nowy stary szef PO już otwarcie zapowiada w najnowszym wywiadzie, że czasy – jak to nazywa – obfitości wkrótce się skończą. Czy on tak bardzo lubi, kiedy Polacy biedują?

To przed nimi trzeba chronić naszą gospodarkę. Jak też przed tymi, którzy z nieznanych powodów uważają, że na ochronę zdrowia nadal więcej powinni płacić biedniejsi, a bogatszym należą się jakieś specjalne ulgi. Przepraszam za dosadność, ale coś się najwyraźniej gowinowcom pomieszało.

Wchodzimy widocznie w okres przesilenia, ale warto dostrzec, że stroną do niego zmierzającą jest Jarosław Gowin. Chodzi o czystą politykę, dobra przedsiębiorców i gospodarki lepiej więc do tego nie wciągać.

Michał Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści



32 *Rewolucja wrześniowa* *Stanisław Janecki*



55–64 Dodatek specjalny *101 rocznica zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej*



71–78 Dodatek specjalny *Giganci nauki PL*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **NA RAUSZU W RATUSZU**
Krzysztof Feusette

9 **TUSKA „ZŁO”**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ZIEWAJĄCY ENTUZJAŚCI FRUSTRATA**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **NĘDZA SYMETRYZMU**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA JUSTYNY FRANIECZEK**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **REGIONALNA PRODUKCJA ŻYWNOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **KADRY POLSKIE**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

20 **REPORTER, KTÓRY NIE BOI SIĘ PYTAĆ**
Kamil Kwiatek

KRAJ

26 **SZCZEPIONKOWI TECHNOKRACI W NATARCIU**
Jan Rokita

29 **WYMKNĄĆ SIĘ ŚMIERCI**
Dorota Łosiewicz

32 **REWOLUCJA WRZEŚNIOWA**
Stanisław Janecki

36 **MIŁOŚĆ, TOLERANCJA I „J…Ć PiS”**
Jakub Augustyn Maciejewski

38 **Z JANEM ŻARYNEM**
rozmawia Marcin Wikło

42 **TRZĘSIENIE ZIEMI W POLSKIM KOŚCIELE**
Grzegorz Górny

44 **PODRÓŻE Z TAJEMNICĄ**
Jacek Pałkiewicz

ŚWIAT

50 **QUO VADIS, BIAŁORUSI?**
Aleksander Stralcov-Karwacki

52 **GENEZA PANDEMII**
Marek Budzisz

OPINIE

65 **KAPITULACJA ZAMIAST KOMPROMISU**
Bronisław Wildstein

68 **COŚ SIĘ STAŁO Z IGRZYSKAMI**
Konrad Kołodziejski

SIECI KULTURY

79 **OD STATYSTKI DO GWIAZDY**
Jolanta Gajda-Zadworna

81 **„ACH, TO BYŁ SZAŁ, GDY DUDUŚ GRAŁ NA SAKSOFONIE…”**
Adam Ciesielski

82 **MAGNES I GROZA W OPERZE**
Adam Ciesielski

82 **PO CO TO WSZYSTKO**
Goran Andrijanić

83 **ZAREMBA SŁUCHA RADIA**
Piotr Zaremba

84 **CIERPIENIE MOŻE MIEĆ SENS**
Robert Tekieli

85 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

86 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

88 **INSPEKTORATY FARMACEUTYCZNE W KONTRZE DO UOKiK**
Prof. Elżbieta Chojna-Duch

PODRÓŻE

90 **MOJE SZLAKI: JOANNA MORO**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

91 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 **W PASZCZY MORSKIEGO POTWORA**
Hanna Karp

94 **1 SIERPNIA, WARSZAWA**
Alina Czerniakowska

95 **JAK WYGRYWAĆ WOJNY?**
Lech Makowiecki

95 **PIĘĆ GWIAZDEK PO**
Piotr Cywiński

96 **PRAWDA I MIŁOŚĆ**
Jan Pospieszalski

97 **MINUTOWY WALC SZCZĘŚCIA**
Leszek Długosz

98 **JA I MOJA DECYZJA?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 1/0321/F

eprasa.pl 7fbdb83319



ORLEN

POLSKA

Polski Komitet Paraolimpijski

SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ I PARAOLIMPIJSKIEJ

eprasa.pl 7fbdb83319



Sygnalista nadaje

Ochłonęliśmy już po serii pierwszych bezczelności Donalda Tuska, który powrót do Polski zaczął od bajeczek w stylu, że Ewa Kopacz też planowała uruchomienie własnej wersji 500+. Słowa Tuska najbardziej zszokowały samą byłą premier. W końcu ona najlepiej pamięta, że cała para aparatu propagandowego PO i jej rządu szła wtedy w wyszydzanie i wyśmiewanie tego programu. Ale jak długo można kłamać? W wywiadzie dla „Polityki", na gruncie najbardziej przyjaznym z możliwych, nowy stary lider Platformy zrzucił na chwilę skórę wrażliwego społecznie. „Niezależnie od tego, jak bardzo się niektórym na lewicy i na prawicy podoba idea nieograniczonego drukowania pieniędzy, transferów społecznych, dochodu gwarantowanego itd., to granice tego modelu obfitości są już dość wyraźnie widoczne na horyzoncie" – stwierdził. Zapowiedź chudych lat po ewentualnym przejęciu przez niego władzy – oczywista. Ale najbardziej szokuje towarzysząca temu radość. On chyba cierpi, gdy Polakom żyje się lepiej?

Wrażliwość społeczna tego „dużego misia" przypomina tolerancję i gotowość do dialogu ***Jerzego Owsiaka***. Na dorocznym festiwalu, tym razem w Zachodniopomorskiem, raper Łona, czyli Adam Bogumił Zieliński, instruował kilkadziesiąt tysięcy oszołomionych muzyką, napitkami i innymi atrakcjami dzieciaków, że mają „jeb... PiS". Z jednej strony sceny mieli mówić „jeb...", z drugiej „PiS", a ci z tyłu mieli krzyczeć „mocniej, mocniej". Gdy wojewoda zapytał, jak to się ma do obietnicy, iż nie będzie mowy nienawiści, Owsiak i „Wyborcza" oskarżyli go o próby cenzury. Ale wojewoda dobrze zrobił. Jeśli ktoś za jakiś czas zginie, kogoś pobiją albo zadźgają nożem w imię „jeb... PiS", będzie miał czyste sumienie. Bo w takim klimacie, przypominającym nazistowskie i bolszewickie wskazywanie młodzieży wroga, o zbrodnię bardzo łatwo.

Zauroczyła nas reporterka TVN 24 Magda Mielcarek, która nadając z festiwalu Owsiaka, sięgnęła po wzniosłe słowa: „To poczucie wspólnoty, której chyba każdemu brakowało przez ostatni rok. Każdy tutaj, niezależnie od poglądów, niezależnie od tego, jak na co dzień żyje, może znaleźć miejsce dla siebie. Te słowa, które wczoraj padły ze sceny ze strony Jerzego Owsiaka, który mówił: »Nie pytam cię o religię, nie pytam cię o politykę, pytam cię o miłość, przyjaźń, muzykę«. I to jest chyba hasło, które idealnie oddaje to, jak ten festiwal co roku wygląda". Dziękujemy pani Magdzie nie tyle za prawdę o imprezie pana Owsiaka, bo chyba nie dała rady jej ująć, ile za przypomnienie, czym TVN 24 na pewno nie jest: całą prawdą całą dobę.

Bajeczek o braku wolności dziś i wielkiej wolności słowa za Tuska nie zdzierżył nawet Piotr Zaremba, który w „Rzeczpospolitej" przypomniał: „Pamiętam, jak w roku 2007 kreowany dziś na obrońcę demokracji i zagrożonej wolności Donald Tusk skarżył się kanclerz Angeli Merkel na zbyt prawicową linię »Dziennika«, będącego wtedy własnością niemieckiego Axela Springera. Dla tego męża stanu było oczywiste, że szefowa niemieckiego rządu powinna coś z tym zrobić. Skąd to wiem? To była powszechna wiedza w redakcji »Dziennika«, w której wtedy pracowałem. Kto chciał, ten wiedział". Tak było. I nawet

eprasa.pl 7fbdb83319

więcej: z Berlina przychodziły też precyzyjne listy proskrypcyjne publicystów do odstrzału. Zapewne właśnie wskutek tych Tuskowych rozmów.

Równie specyficznie tolerancję pojmują czynownicy Agory. „Czyli jak stoimy obecnie? Lesbijki: 2 medale, homofobki: 0 medali" – napisała na Twitterze dziennikarka Agorowego portalu Wiktoria Beczek, komentując olimpijskie zmagania. Ale znowu trzeba podziękować: coś ważnego nam powiedziała. Inna sprawa, że media światowe (te mądrzejsze) już dostrzegają, iż być może także sport dołączy do listy ofiar nowej ideologii. Oglądalności – otwarcia i poszczególnych dyscyplin – są najniższe w historii. Po części dlatego, że dla młodych, przyzwyczajonych do najwyżej kilkuminutowych krzykliwych filmików, to mało atrakcyjne. Ale eksperci podają też drugi powód: sport dotąd dawał wytchnienie od świata polityki, codzienności. A dziś i tam każą obserwować, kto uklęknął, a kto nie, kto różowy, a kto tęczowy.



O tym, że szkodzi zbytnia ostentacja w każdej sprawie, przekonał się także Adam Hofman, kiedyś polityk PiS, teraz właściciel firmy PR. W wywiadzie dla „Pulsu Biznesu" został zapytany, czy gdyby mógł cofnąć czas, coś zrobiłby inaczej. „Pewnie wykazałbym też więcej pokory. Nie jestem pewien, czy zaproszenie premiera Orbána na otwarcie biura [na Węgrzech] było konieczne, okładka jednego z magazynów na Forum Ekonomicznym w Krynicy była niepotrzebna, pewnie lepiej było działać z mniejszymi fanfarami. W tej części świata w kodzie kulturowym zapisane są inne wartości" – oznajmił. Z jednej strony niby delikatna samokrytyka w sprawach pobocznych, z drugiej – jak na piarowca wyjątkowo brutalna.

Nie miał też dla siebie litości ***Lech Wałęsa***, który komentując debatę o podwyżkach dla polityków (przyznajmy, że umiarkowanych), podzielił się z „Faktem" prawdą o stanie swoich finansów. Jak wyznał, pieniądze jego nie interesują, ale małżonkę – owszem. Stąd dylemat: „Mam kaca moralnego, ale jednocześnie za mało pieniędzy". Dlatego chyba podwyżkę – która ma dotyczyć też byłych prezydentów – weźmie. Mówi to człowiek, który na wykładach, prezentacjach i wszelkich płatnych występach, zwłaszcza tych w USA, zarobił pewnie ze 100 mln zł. Co z nimi zrobił? Nic dziwnego, że na koniec jego prezydentury także Polacy byli goli i weseli.



Ale wspomniana Ameryka to już inny kraj niż kiedyś. Najlepszym dowodem, że kierujący tymczasowo ambasadą amerykańską w Warszawie pan Bix Aliu na swoim radarze ma przede wszystkim troskę o przywileje środowisk LGBT i ochronę jednego z koncernów medialnych. W kraju frontowym NATO, w państwie tradycyjnie sojuszniczym i niedawno jeszcze walczącym ramię w ramię w Iraku! Dlatego w Warszawie z niecierpliwością czekano na właściwego ambasadora. Waszyngton wskazał Marka Brzezińskiego, syna Zbigniewa Brzezińskiego, oczywiście o poglądach bardzo liberalnych. „Osobiście się cieszę z tego powodu, ponieważ jest to zawodowy dyplomata, umiarkowany i nigdy nie dał poznać po sobie, że ma jakieś skrajne poglądy i cieszę się też z tego powodu, że zastąpi obecnego oszołoma, który kieruje tą ambasadą amerykańską w Polsce" – skomentował nominację Witold Waszczykowski. Niektórzy komentatorzy tak dosadny język uznali za błąd byłego szefa polskiej dyplomacji. Ale my się zastanawiamy, czy aby nadzieja na działającego normalnie dyplomatę amerykańskiego w tych nienormalnych czasach nie jest także błędem?

W samych Stanach Zjednoczonych obok wzrostu przestępczości za Bidena tematem numer jeden jest spektakularny upadek gubernatora Nowego Jorku (to funkcja z wyboru) Andrew Cuomo. Prokurator Generalny Stanu opublikował raport, z którego wynika, że polityczna gwiazda demokratów miała się dopuszczać napastowania seksualnego, obmacywania i wysyłania seksualnie agresywnych esemesów w latach 2013–2020. Zarzuty dotyczą 11 kobiet, w tym jednej wciąż pracującej w administracji stanu. Do tego dołożono oskarżenie o stworzenie toksycznej dla kobiet atmosfery w pracy. Cuomo oskarżenia odrzucił w specyficzny sposób. Stwierdził, że... obściskuje i obcałowuje wszystkich, których spotka. Opublikował kilkadziesiąt zdjęć pokazujących, jak czyni to i Billowi Clintonowi, i spotkanym wyborczyniom. Komentatorzy nazwali to najbardziej dziwacznym na świecie sposobem obrony przed zarzutami o molestowanie seksualne. Z drugiej strony za wiele możliwości nie miał. Bo gdy podobne zarzuty (okazały się nieprawdziwe) padały wobec konserwatywnego kandydata do Sądu Najwyższego, Cuomo dowodził, że oskarżającym o molestowanie kobietom zawsze należy wierzyć.

Inna sprawa, że sposób w jaki de facto skazano Cuomo, budzi przerażenie wielu komentatorów. Jak stwierdził znany prawnik i były współpracownik Donalda Trumpa Rudi Giuliani, wyrzucono do kosza osiem lat anglo-amerykańskiego prawodawstwa. Prokuratura przedstawiła bowiem raport – i to uznano za wyrok. A gdzie prawo do adwokata? Uczciwego procesu? Dziś dotyka to polityka, który sam ten system budował, ale jutro niestety może każdego.

Fot. M. Czutko, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fbdb83319

Na rauszu w ratuszu



KRZYSZTOF FEUSETTE

„Donaldzie, musimy porozmawiać. Tak, teraz. Co ty sobie wyobrażasz? Że wrócisz na białym giertychu i będziesz nas ustawiał po kątach?”. Nie... Trochę za ostro. Zresztą, raper Łona wie, czy my z panem Tuskiem jesteśmy jeszcze na ty? A jak powie: „Kim pan jest?”. Mam wycinki prasowe pokazać? To może bardziej oficjalnie: „Panie przewodniczący, żądamy, ażeby zaprzestał pan dzielić Platformę i siać nienawiść...”. Obrazi się. Albo psem poszczuje. Stefan już się odgrażał, że wróci. Zresztą teraz każdy jest Stefanem.

Ależ oni wszyscy mnie zawiedli. I to na manowce. „Startuj, młody, dajesz, młody, w tobie, młody, ostatnia nadzieja” – wołali. Mogłem ich zostawić z tą Kidawą w nocniku. Mogłem powiedzieć, że w Warszawie to mam, radźcie sobie sami, pataałachy. Mogłem wystartować na szefa partii. Mogłem przed wyborami postawić warunek: przebiorę się za Małgosię Cztery Procent, ale w zamian dostanę PO na własność. Mogłem po wyborach przejąć stery albo zbudować własny statek. Gdzie ja miałem oczy i taśmę klejącą? Łaził człowiek na to L-4 jak jakiś chory. Jeździł na urlopy, jakby wcześniej pracował. Latał do Gdańska, Poznania i innych przyczółków, żeby tych prezydentów pobudzić, zrobić coś, jakąś akcję albo happening. To wrócił, psia mać, „Kiełownik” i wszystko zniszczył. Truskolaski ma być teraz baronem tylko za to, że nie będzie się ze mną zadawał. Dulkiewicz już by mnie na ulicy nie poznała. Zaraz zrobi pochód i radosne tańce z okazji przybycia gubernatora. Prosiłem na Radzie Krajowej: „Porównajmy programy...”, to mnie Budka pyta: „A ty masz jakiś program? Bo Kolenda na pewno Donka wybierze, już za nim biega z mikrofonem”. Niczego biedak nie kuma. Cieszy michę, bo został szefem klubu, chociaż Tusk mu powiedział, że ma trzy miesiące, aby się wykazać. Chciał być premierem, został fordanserem. Przy pierwszej okazji Donald każe mu toaletę wyczyścić, potem drzwi zarygluje, a TVN w trzy dni znajdzie kwity, że Borys ma pisowca w rodzinie i skończy się szefowanie. Czarek Tomczyk przynajmniej zdążył Krzywonos zbajerować, to miał na pożegnanie z kim zapłakać nad swoją karierą. Ależ ta Henia wyła... Jakby tramwaj na za wąski przystanek wjeżdżał.

Ale spokojnie. Ja się na dziadersie zemszczę. Już zacząłem. On mi szefa klubu parlamentarnego – ciach, to ja mu wiceszefa Pałacu Kultury i Nauki – bum. To znaczy, może nie jemu konkretnie, ale Kierwińskiemu, bo też mnie zdradził. A niech płynie z prądem, kij mu w immunitet. Jeszcze się zdziwią, jak się odwinę. Od „kolonii dla dzieci” będą mi obóz młodzieżowy wyzywać? Mój ferienlager nadwiślański, na który pieniądze musiałem pobrać w ramach reparacji? I ja tego partyjnego dyktatorka na Campus Polska Przyszłości zaprosiłem, chociaż wszyscy wiedzą, że nie jest już ani polski, ani przyszłościowy? Jak mam go teraz przedstawić? „Proszę państwa, cały na biało, z pierwszą wizytą zagraniczną w Polsce gość z Brukseli, który spuścił naszemu ruchowi powietrze z opon?!”. A jak zaczną gwizdać? A jeśli na mnie? Ja już najważniejsze ogarnąłem: nie można czekać, aż coś ci dadzą. Polityka to nie jest bar mleczny na Nowym Świecie, gdzie Staszek, sorry, Kasia Lubnauer i Basia Nowacka serwowały nam jajeczniczkę na stół. Tu nikt ci niczego nie poda, nawet jeśli ci usmaży. Hołownia już to wie, Kosiniak zrozumiał, Czarzasty wiedział wcześniej, a ja mam zamiar wcielić w czyn. Bo jestem młody i pełen energii. Dość gadania o partyjnej demokracji, wszystko pic na wodę. Prawybory Komorowski – Sikorski: ustawka, wybory kandydata na prezydenta – anulowane przez sondaże, wybory przewodniczącego – z uciętą kadencją. Dlaczego 10 mln osób głosujących na mnie w drugiej turze wyborów milczy? Czemu nikt nie wychodzi na ulicę „dla Rafała!”? Gdzie są wszystkie dziewczęta, które kiedyś tak bardzo kochały roznosić ulotki z moją podobizną? On zabił w nich ducha. Rzucił czar niemieckiego pieniądza. A wcześniej klątwę, by zasnęli i spali tak długo, aż nie zjawi się rycerz na białym rumaku. A raczej – tchórzofretce zwanej Borysław. Ale wiem jedno. Wiem, że Donald wie, że ja wiem, że on mnie potrzebuje. A ja potrzebuję urlopu. Nawet jeśli będzie to tylko emigracja wewnętrzna. On uciekł do Brukseli, żeby się odseparować od syfu, a ja się odseparuję do wewnątrz. Będę się uśmiechał, ale w środku będę smutny. Będę śmiał się do łez, ale wewnętrznie przez łzy. I będę walczył. Przede wszystkim z czasem. A z czasem spróbuję pójść za ciosem. I zagrać na czas.

Albo jednak porozmawiam? Żeby nie miał potem pretensji? A jak pójdzie do mediów i powie, że Trzaskowski partię mu ukradł, chociaż to on ma większe poparcie? A bankowo tak powie, bo prawda mu przez gardło nie przechodzi. Zatem, może tak: „Donku, Donusiu, słoneczko ty moje peruwiańskie w czapce wełnianej na upale, błagam cię, pogadajmy, jak Polak z Polakiem...”. Nie, znów za mocno. Chyba jednak lepiej będzie przeczekać. Ale tego gościa od Kierwińskiego i tak na zbity pysk wywalę. Niech wiedzą, z kim zadarli, frajerzy.

eprasa.pl 7fbdb83319

Tuska „zło”

W narzuconej od pierwszego dnia przez Tuska narracji nie ma miejsca na debatę, dyskusję, tolerancję, uszanowanie innych poglądów

Powrót Donalda Tuska do polskiej polityki bez wątpienia podniósł znacząco temperaturę sporu politycznego i publicystycznego. Trudno oprzeć się wrażeniu, że taki był właśnie plan starego nowego szefa PO. Jednocześnie ten sam Donald Tusk opowiada w mediach o swoim poczuciu zagrożenia i strachu. Coś tu nie gra.

„Trzeba zacząć od pierwszego przykazania: jak widzisz zło, walcz z nim i nie pytaj o dodatkowe powody” – mówił założyciel PO 3 lipca podczas Rady Krajowej, gdy jego powrót na polską scenę polityczną stał się faktem. „Wychodzimy na pole, żeby się bić z tym złem. I że to jest wystarczający powód, nie wymaga żadnego uzasadnienia” – dodawał Tusk.

W ten sposób były premier podzielił polski dyskurs polityczny na dobro i zło, jasność i ciemność. Partia rządząca i jej wyborcy oraz ludzie, którzy obozowi władzy sprzyjają, podzielając jego przekonania, wartości czy wizję rozwoju Polski, zostali wrzuceni do wora z napisem „zło”, a przeciwna strona sporu politycznego to czyste dobro, które ma zło zwalczyć, ma się z nim bić i nie potrzebuje ku temu żadnego uzasadnienia. Były premier wzbudził w swoich zwolennikach najgłębsze pokłady niechęci, a nawet nienawiści do przeciwnej strony dyskursu, nie pozostawiając miejsca na żadne ale. „I każdy, kto w tej debacie publicznej, w tej przestrzeni wciska na siłę słowo ale, może PiS jest zły, ale parę rzeczy...” – mówił.

W narzuconej od pierwszego dnia przez Donalda Tuska narracji nie ma miejsca na debatę, dyskusję, tolerancję, uszanowanie innych poglądów, wysłuchanie innych racji. Jest bowiem tylko dobro i zło. I nic poza tym. I to bardzo wygodna narracja. Przeciwnicy PiS dostają od swojego wodza zielone światło na wszelkie metody prowadzące do celu, czyli pokonania „zła”.

Już Aaron Beck, amerykański psychiatra, profesor Uniwersytetu Pensylwanii, uważany za jednego z twórców terapii poznawczej, zwracał uwagę na zagrożenia wynikające z takiej dychotomii myślenia, czyli błędu charakteryzującego się widzeniem różnych zjawisk tylko w skrajnych aspektach. Zdaniem Amerykanina dychotomia myślenia może prowadzić do występowania problemów psychologicznych. Według Edwarda de Bono dychotomia jest zaś jedną ze skaz tradycyjnego myślenia człowieka, ponieważ uniemożliwia dostrzeżenie całego spektrum danych zjawisk lub tego, co jest pomiędzy nimi. Takie myślenie pełne jest pojęć pułapek, jak wolność, sprawiedliwość, demokracja, imperializm. Myślenie w pobliżu tych pułapek jest praktycznie niemożliwe, ponieważ natychmiast zostaje się wessanym przez utrwalone wzorce, których nie można zakwestionować. Polaryzacja jest tak zdecydowana, że nie dopuszcza żadnego „pomiędzy”.

Żeby było zabawniej, Donald Tusk po wprowadzeniu tej nowej drastycznej narracji, która dopuszcza wszelkie metody zwalczania przeciwnika, postanowił udzielić tygodnikowi „Polityka” wywiadu, w którym skarży się na poczucie zagrożenia. Były szef Rady Europejskiej pytany był o to, czy obawia się ewentualnej napaści, stwierdził: „Oczywiście, że się obawiam. Czarna propaganda mediów publicznych, nakierowana na mnie, musi wzbudzać u wielu osób agresję”.

Jednocześnie nowy stary szef PO zdaje się nie dostrzegać agresji, którą sam z premedytacją rozbudza, tak radykalnie dzieląc ludzi. Woli pewnie nie widzieć też zorganizowanych bojówek opozycji, które każdego dnia zbierają się pod TVP Info, wykrzykując pełne nienawiści hasła. Donald Tusk zachowuje się jak złodziej, który zawsze najgłośniej krzyczy: „Łapać złodzieja!”. Tak najwygodniej.

A że media zmieniły się od czasu wyjazdu byłego premiera z Polski, to inna sprawa. Donald Tusk będzie się musiał przyzwyczaić do tego, że jest rozliczany z przeszłości, że są ludzie, którzy pamiętają, że to nie Ewa Kopacz wymyśliła 500+ oraz do tego, że każda wypowiedziana nieprawda zostanie szybko skontrowana. I jeszcze do tego, że stawiane będą pytania o to, w czyim interesie działa były premier. Taki teraz mamy klimat, choć oczywiście nie każdemu się to podoba.

Dorota Łosiewicz



USA

Nie będzie już chłopców i dziewczynek

Amerykańskie Towarzystwo Medyczne (AMA) będzie – na mocy przyjętej rezolucji – dążyć do tego, aby z aktów urodzenia zniknęły wszelkie informacje o płci dziecka. Rezolucja rozróżnia dwa certyfikaty urodzenia. Tzw. Certificate of Live Birth, który służy do celów statystycznych, oraz Birth Certificate używany jako dokument urzędowy. To właśnie z tego dokumentu miałoby zniknąć rozróżnienie na dwie płcie biologiczne.

AMA argumentuje, że Birth Certificate precyzuje płeć i w związku z tym może być przyczyną późniejszej „dyskryminacji ze względu na tożsamość płciową". Inicjatorom rezolucji nie wystarcza już, że każdy obywatel USA w przeważającej większości stanów (poza Tennessee i Ohio) ma prawo zmienić płeć w oficjalnych dokumentach. Domagają się oni bowiem, aby państwo całkowicie zrezygnowało z określania płci nowonarodzonego obywatela USA. „Każda osoba ma prawo uznać, jaka jest jej płciowa tożsamość i oznaczenie płci w oficjalnych dokumentach. Dlatego w celu ochrony prywatności i uniknięcia dyskryminacji władze państwowe powinny usunąć informacje o płci z aktów urodzenia" – czytamy w oświadczeniu AMA.

To ciąg dalszy rewolucji w Ameryce. Na początku lipca administracja Joego Bidena zapowiedziała, że osoby posiadające paszport będą mogły zaznaczyć w tym dokumencie inną opcję niż „kobieta" lub „mężczyzna". Sekretarz stanu USA Antony Blinken uzasadnił to koniecznością „równego traktowania amerykańskich obywateli LGBTQI+, niezależnie od ich płci biologicznej i kulturowej". Human Rights Campaign uznała, że ta reforma „zmniejszy ryzyko dyskryminacji, nękania i przemocy każdej z narażonych grup", a rozwiązania podobne do amerykańskich powinny wkrótce przyjąć inne kraje.

Literkę X przy kategorii płeć w paszportach można już stawiać w Kanadzie, Nowej Zelandii, Indiach, Australii, Nepalu i Malcie. Znając entuzjazm ekipy Bidena do nowinek obyczajowych, można się spodziewać, że pod naciskiem radykalnego skrzydła Partii Demokratycznej postulaty AMA też zostaną niebawem ochoczo przyjęte.

Łukasz Adamski



Chorwacja

Ostatni chiński most

W ostatnim tygodniu lipca ukończono budowę Pelješkiego Mostu, który połączył południową część Chorwacji z resztą kraju. Powstanie mostu uznano za jedno z najważniejszych wydarzeń w historii Chorwacji od chwili odzyskania niepodległości przez ten kraj w 1991 r.

Wszyscy turyści, którzy podróżowali do Dubrownika, miasta na południowych krańcach Chorwacji, dobrze pamiętają, że po drodze musieli przejechać przez sąsiednią Bośnię i Hercegowinę, a dokładniej przez miasto Neum, czekając tam czasem godzinami na przekroczenie granicy. Istnieją historyczne powody, dla których Neum jest dziś częścią BiH, a sięgają one wydarzeń z XVIII w., gdy ówczesna Republika Dubrownicka podarowała część kontrolowanego przez siebie terytorium Osmanom, aby uchronić się przed najazdami Wenecjan. Ta decyzja sprzed 300 lat doprowadziła jednak w dzisiejszych czasach do rozbicia integralności terytorialnej i transportowej młodego państwa chorwackiego. Rozwiązaniem tego problemu okazał się wybudowany właśnie most.

Pelješki Most jest jedynym z największych projektów infrastrukturalnych w historii Chorwacji. Na jego budowę wartą 550 mln euro Unia Europejska przekazała dotację 357 mln euro. Co ciekawe, zarobili na tym także Chińczycy, ponieważ liczący 2,4 tys. m długości most został zbudowany przez pochodzącą z Chin firmę CRBC.

Wydaje się jednak, że było to ostatnie tak duże przedsięwzięcie, do którego dopuszczono chińskie firmy. Na początku tego roku zarząd portu w Rijece zrezygnował z udzielenia 50-letniej koncesji na rozbudowę i użytkowanie terminala kontenerowego konsorcjum złożonemu z chińskich firm. Przyczyną tej decyzji była presja ze strony USA i Unii Europejskiej. Rijeka – jeden z najważniejszych portów na wybrzeżu Morza Adriatyckiego – miała odgrywać, wraz z linią kolejową łączącą port z Węgrami, ważną rolę w projekcie nowego jedwabnego szlaku.

W ten sposób Bałkany, gdzie chińska aktywność była dotąd dość silna (Chiny przejęły m.in. kontrolę nad portem w greckim Pireusie i dużo inwestują w Serbii), stały się kolejnym frontem globalnej wojny gospodarczej toczonej między Waszyngtonem i Pekinem.

Goran Andrijanić

Fot. Luka Dakskobler/Shutterstock.com

eprasa.pl 7fbdb83319

Wszyscy przeciw wszystkim

Baronessa Arminka Helić, wywodząca się z Bośni członkini Izby Lordów z ramienia brytyjskich konserwatystów, napisała, że to, co obecnie dzieje się w Etiopii, przypomina jej sytuację w Jugosławii przed wybuchem wojny domowej. Rozkręcająca się spirala nienawiści, przemocy i nacjonalizmów zakończyła się tam tragicznie, a teraz w podobną stronę zmierza zróżnicowana etnicznie Etiopia.

Wojenna retoryka także jest tam podobna do tej, której używano na Bałkanach. Przemawiając do swoich zwolenników na wiecu w Addis Abebie, premier Etiopii Abiy Ahmed, notabene laureat Pokojowej Nagrody Nobla z 2019 r., nazwał mieszkańców zbuntowanej prowincji Tigray „chwastami", które muszą zostać wyplenione tak, aby już nigdy nie odrosły. W ten sposób odreagowywał on porażkę armii rządowej w konflikcie z Tigrajskim Ludowym Frontem Wyzwolenia (TPLF). Wojna o kontrolę nad prowincją Tigray, której tłem były zapędy premiera Ahmeda dążącego do ograniczenia autonomii regionów, wybuchła w październiku ub.r. Ostatnio separatyści przeszli jednak do kontrataku i zajęli stolicę prowincji Mekele. I choć po tej klęsce rząd w Addis Abebie ogłosił jednostronne zawieszenie broni, buntownicy nie złożyli broni, lecz zaatakowali sąsiednią prowincję Afar. Przebiega tamtędy strategiczny szlak komunikacyjny do Dżibuti, państewka znajdującego się nad Zatoką Adeńską, które jest dziś jedynym oknem na świat dla nieposiadającej dostępu do morza Etiopii.



Wojna rozlała się również na sąsiadującą od wschodu z Tigray prowincję Amhara, której przywódca Agegnehu Teshager wezwał do „wojny o przetrwanie" i ogłosił powszechną mobilizację. Mieszkańcy Amhary są silnie skonfliktowani z Tigrajczykami i w ub.r., kiedy siły TPLF opuściły miasta, wycofując się w trudniej dostępne tereny, dochodziło do masowych mordów, których dopuszczali się na Tigrajczykach członkowie lokalnych milicji z Amhary. Obecnie mamy do czynienia z odwetem Tigrajczyków. Trudno powiedzieć coś więcej na temat skali przemocy, ale władze Sudanu poinformowały niedawno, że z granicznej rzeki wyłowiono w ostatnich dniach co najmniej kilkadziesiąt zmasakrowanych ciał, niektóre ze śladami tortur i skrępowanymi rękami.

Sytuacja humanitarna w rejonach walk jest tragiczna. Aby uniknąć klęski głodu, do Tigray powinno docierać dziennie co najmniej 100 ciężarówek z żywnością. Jednak transporty humanitarne, po tym jak ostrzelano konwój 170 ciężarówek z pomocą, zostały wstrzymane. Dotychczas z Tigray uciekło już 2 mln osób, a pozostałych 5 mln potrzebuje żywności. Jej brak oznacza, że z powodu niedożywienia i chorób w najbliższych miesiącach, według wysłanników Sekretarza Generalnego ONZ, może umrzeć co najmniej 100 tys. dzieci.

Etiopia

Marek Budzisz

Wielka Brytania

Czystka w imię różnorodności

Pięciu Brytyjczyków zostało zwolnionych z pracy przez agencję reklamową J. Walter Thompson (JWT) tylko dlatego, że byli białymi heteroseksualnymi mężczyznami. Szefostwo nie miało do nich żadnych merytorycznych zastrzeżeń, jednak nowa dyrektor kreatywna, 44-letnia homoseksualistka Jo Wallace, zdecydowała, że trzeba zmienić reputację firmy. Chciała, żeby agencja postrzegana była w branży reklamowej jako bardziej różnorodna i tolerancyjna. W związku z tym zaczęła od czystek personalnych, wyrzucając na bruk pięciu pracowników jedynie z powodu ich płci i koloru skóry. Trzech z nich pogodziło się z tą decyzją, jednak dwóch pozostałych, Chas Bayfield i Dave Jenner, postanowiło walczyć o swoje prawa i złożyło w sądzie pozew przeciw pracodawcy.

„Gdybym był 24-letnią czarną kobietą, wszystko byłoby dobrze. A gdybym był lesbijką, byłoby jeszcze lepiej – mówił Bayfield. – Ponieważ jestem jednak białym mężczyzną w średnim wieku, czułem, że moja kariera jest zagrożona, więc zwróciłem się do prawników".

Ostatecznie sąd uznał, że obaj pracownicy zostali niesłusznie zwolnieni, jednak odrzucił zarzut, iż stało się to z powodu dyskryminacji ze względu na wiek, płeć lub rasę. Dzięki wyrokowi mężczyźni mają prawo do odszkodowania, jednak agencja już zapowiedziała odwołanie się od decyzji sądu. Trzej pozostali pracownicy, zwolnieni niesprawiedliwie z JWT, zawarli ze swym byłym pracodawcą ugodę pozasądową.

Wygrana rozprawa okazała się jednak dla Jennera i Bayfielda pyrrusowym zwycięstwem. Obaj zaczęli być bowiem traktowani w branży reklamowej jak czarne owce, które nie są godne zaufania i współpracy. Pierwszy po kilku nieudanych próbach zatrudnienia postanowił porzucić dotychczasowe zajęcie i poszukać szczęścia w innym fachu. Drugi, po podobnych doświadczeniach, zdecydował się wyjechać do Australii, by tam spróbować znaleźć pracę w swoim zawodzie. Zobaczymy, czy także na antypodach dopadną go długie ręce różnorodności, otwartości i tolerancji.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 7fbdb83319

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ziewający entuzjaści frustrata



Jan Pietrzak

W telewizorze coraz częściej pojawiają się cuchnące obrazki odpadów zwalanych w Polsce przez Niemców. Tego już po prostu nie da się ukryć. Niemieckie śmieci zatruwają Polskę – przyznaje nawet tamtejsza gazeta. Przy czym nie ma na myśli Tuska, lecz przemielone i wydalone odchody wykwintnej germańskiej cywilizacji. Ociężałość naszych władz lokalnych, które nie reagują na bezprawny proceder zatruwania polskiej ziemi, jest podejrzana. Jak głosi urzędowa formuła: „Zachodzi uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa". Nikomu jednak nie chce się tego przestępstwa uzasadnić. Czyżby wszędobylska korupcja? A może tak ma wyglądać zielony ład Timmermansa? Zielono po niemieckiej stronie Odry, a po stronie polskiej trujące śmieci.

Co na to Tusk? Jak na razie czmycha przed red. Kłeczkiem zadającym mu zbyt trudne pytanie o brukselską „ideologię klimatologii". Co na to ziewający entuzjaści, którzy wypełniają tło podczas przemówień wodza, w stylu schyłkowego Bronka? Widzimy podobne zaangażowanie emocjonalne i odruchy fizjologiczne. Jako gwóźdź sezonu ogórkowego, słabo przebija się byłe „Słońce Peru" przez obezwładniającą magmę upalno-burzowej aury. Potwór Paskuda z Zalewu Zegrzyńskiego przed laty budził większe emocje, no i uśpiony werwolf z Zamku Czocha w Górach Izerskich (skądinąd, piękne miejsce).

Nuda się ciągnie za ulubieńcem eurosalonów, jak smród po niemieckich ciężarówkach z fekaliami. Energiczne wymachiwanie rączkami i wymowne miny strojone przed kamerami nie ukryją jałowej pustki, jaką reprezentuje. W gruncie rzeczy wrócił po to, by szkodzić Polsce w taki sprytny sposób, aby Polacy tego nie dostrzegli. Lecz dostrzegają. Stąd narastająca z tygodnia na tydzień frustracja. Parę tygodni temu sam przyznał się do furii... W sumie opowieść o zwycięskim powrocie „króla Europy" do niechcianej Polski może śmiało nosić tytuł „Furia frustrata". To nawet nieźle brzmi fonetycznie. Chłopcy piarowcy ze sztabu czarnej propagandy do roboty! Nie leniuchować, nakręcać nienawiść, podpalać sanepid, mieszać w głowach, rozsiewać podłe łgarstwa, a nie ziewać za plecami wodza, bo nie będzie wypłaty srebrników...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Olimpijski seksizm



Dominik Zdort

Nie mam już siły pisać o obrzydliwych perwertach, którzy zdobywają kolejne społeczne przyczółki. Ale nie da się, bo za bardzo to przypomina powtarzającą się historię: czasy sprzed wieku, kiedy mniejszość sterroryzowała większość, organizowała butne przemarsze z partyjnymi flagami przez miasta, potem stopniowo zlikwidowała swobody społeczne, wolność słowa i demokrację, a na koniec narzuciła swojemu narodowi (i w końcu także innym) jedynie słuszny porządek. Wtedy: klasowy i rasowy.

Ale nie da się szukać innego tematu, kiedy po zwycięstwie dwóch pań w żeglarstwie na igrzyskach olimpijskich zaczyna się kolejna żenująca awanturka. Bo okazało się, że jedna ze zwycięskich zawodniczek jest lesbijką i całe jej środowisko (oraz ogłupiałe mainstreamowe media) obraża się, że w gratulacjach od prezydenta RP nie znalazło się drugie nazwisko owej sportsmenki, przyjęte od jej partnerki w czasie lesbijskiego „ślubu" zawartego za granicą. Choć – napomknijmy o tym – w oficjalnych dokumentach owa nieheteroseksualna sportsmenka przedstawia się, zgodnie z polskimi przepisami, jako panna. Czyli uczciwie.

Jestem przeciwnikiem zaglądania sportowcom do łóżka, nie ma dla mnie znaczenia, że Martina Navrátilová była lesbą (ona deklaruje, że jest), nie pytam, czy Cristiano Ronaldo jest pedziem (podobno nie). Problem w sporcie pojawia się tylko wtedy, gdy panie mają (nie chcę dociekać z jakich przyczyn) za wysoki poziom testosteronu, co zwiększa ich szanse w zawodach. Z tego powodu dwie (halo! nie jedna, ale dwie) Namibijki zostały wykluczone z olimpijskiego biegu na 400 m.

Co z tego, skoro na innych dystansach były dopuszczone i okazały się lepsze od wielu zawodniczek z kobiecym poziomem hormonów? Nawet wspaniały i kochany przez wszystkich Przemek Babiarz, człowiek o ogromnej kulturze, łagodności i tolerancji, komentując takie wyniki zawodów, nie zdzierżył i wspomniał o tym, że coś tu nie gra.

Całe szczęście, że transseksualna kobieta z Nowej Zelandii (czyli kiedyś facet) w podnoszeniu ciężarów „spaliła" trzy próby. Jeśli celowo – chwała mu (jej) za to. Jeśli przypadkiem nie wyszło – chwała Panu Bogu, bo dopuszczenie byłego faceta do równej konkurencji z babami to jest już szczyt niesprawiedliwości i obrzydliwego seksizmu. Czego niestety fani ideologii politpoprawności dostrzec nie potrafią.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 7fbdb83319

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nędza symetryzmu



Czy można traktować poważnie „symetryzm”? Czytam pochwały tej postawy i zdumiewam się. Przecież to jakiś specyficzny rodzaj oportunizmu, którego rzecznicy nie zajmują się ani prawdą, ani dobrem, a jedynie wyliczają swoją odległość do głównych graczy na scenie politycznej. Rozumiem zmęczenie zwłaszcza młodych ludzi cywilizacyjną wojną, która określa dziś stan zachodniego świata (również Polski) i w przeważającej mierze determinuje ich przeznaczenie. Rozumiem pragnienie kształtowania własnego losu oraz rozmaite wybiegi, które dają iluzję dystansu do polityki i zbiorowego istnienia, ale odwracanie się od świata czy naiwne określanie swojej w nim szczególnej roli – bo tym jest założenie symetrycznego dystansu do zmagających się w nim sił – zawsze pozostanie tylko iluzją. Tym, którzy w swoim przekonaniu wyniośle utrzymują jednakową odległość od stron agonu określającego przyszłość naszej cywilizacji, zwykle dużo bliżej do śmieszności niż wzniosłości.

Nie musimy przystępować do określonych obozów politycznych i angażować się w ich przedsięwzięcia. Winniśmy jednak oceniać rzeczy w odniesieniu do w miarę obiektywnych, co nie znaczy łatwych do stosowania, kryteriów, a nie wybierać stanowiska ze względu na odległość, jaka naszym zdaniem powinna dzielić nas od ich reprezentantów. Nie tylko dlatego, że „prawda nigdy nie leży pośrodku”, jak tytułuje sąsiednią rubrykę mój kolega. Rzadko bo rzadko, ale zdarza się jej tam spoczywać, po to jednak, aby wskazać jej miejsce, stosować musimy inne niż geometryczne miary.

Wydawałoby się, że zawód dziennikarza wymaga równego dystansu od politycznych graczy, którzy wstępują w demokratyczne szranki. Nie po to jednak się go zakłada, aby wbrew prawdzie mówić, że obie strony są zawsze takie same i jednakowo krytykować projekty, z których jeden może być sensowny, a drugi katastrofalny. Dystans utrzymujemy po to, aby móc uczciwie rozsądzać sprawy i ich rzeczników.

W ludzkiej zepsutej dziedzinie, pośród obciążonych niedoskonałością przedstawicieli naszego gatunku, prawie nigdy nie odnajdziemy idealnych działań i ich doskonałych wykonawców. Zawsze więc można skupiać się wyłącznie na ułomnościach, co powoduje, że ostatecznie dochodzimy do wniosku, że wszystko i wszyscy są siebie warci, co jest niedorzecznością. Dostrzegając błędy, musimy zachować miarę i zestawiać ze sobą rozmaite przedsięwzięcia. Wszystko to zatraca się w symetrystycznej perspektywie.

Natrafiłem ostatnio na internetową debatę Klubu Jagiellońskiego zatytułowaną „Jesteśmy potomkami niewolników? Duma z prowincji przeciwko lewicowej ludomanii i prawicowej idealizacji”. Dotyczyła ona kilku lewicowych książek na temat dziejów naszego kraju ze wspominaną już przeze mnie w poprzednim felietonie „Ludową historią Polski” Adama Leszczyńskiego na czele. Uczestnicy wskazywali absurdy ich metody, a także paradoks lewicowych autorów, którzy odrzucenie „apologetycznej” historii motywowali „plebejskim” pochodzeniem. Podejście to pomija rolę kultury i zakłada zamknięcie w mitycznym, biologicznym determinizmie krwi, rzecz szczególnie paradoksalna przy emancypacyjnym nastawieniu współczesnej lewicy.

Po to jednak, aby zachować symetryzm, na który członkowie Klubu się powoływali, za wszelką cenę skonstruować usiłowali oni lustrzane odbicie lewicowych fantazji. Dopiero taki stan rzeczy pozwalał określić im swoją „wyjątkową” rolę. Tyle że ten dowartościowujący autorów obraz z rzeczywistością miał niewiele wspólnego.

Nie twierdzę, że nie istnieją konserwatywne idealizacje historii Polski. Był okres, kiedy przeważały, ale dziś, przy dominacji w kulturze emancypacyjnej ideologii, dużo trudniej je uświadczyć i zepchnięte zostały na odległy margines. Jednak dyskutanci, wymachując ich straszakiem, nie przejmowali się faktami. Wskazując wtórność lewicowych autorów wobec ich zachodnich patronów, nie omieszkali wspomnieć, że w ten sposób lewica odwzorowuje wtórność prawicy. Kogo naśladują Ryszard Legutko, Zdzisław Krasnodębski czy Andrzej Nowak? Współczesny polski konserwatyzm jest wyjątkowo oryginalny i to myśl zachodnia mogłaby się od niego wiele nauczyć.

W ramach symetryzmu musieli jagiellończycy zakwestionować – nie uzasadniając dlaczego – kult żołnierzy wyklętych. Czy oznacza to, że w ogóle dystansują się do aprobaty heroizmu w historii?

Za symetryczne do pozycji Leszczyńskiego uznali „Dzieje Polski” Nowaka, co jest po prostu rażącą niesprawiedliwością. Z jednej strony ideologiczny bryk, z drugiej bogata i skomplikowana opowieść o przeszłości. Owszem, Nowak za klucz do naszej historii uznaje wolnościową orientację, ale pokazuje złożoność i dialektykę jej polskich dziejów.

Ale symetryzm to przecież dogmat.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fbdb83319



Walizka Justyny Franieczek

paraolimpijki

Nie mogę zilustrować wywiadu kolorowymi zdjęciami z egzotycznych krajów, bo w mojej podróży nie pokonuję kilometrów, tylko przeciwności losu. W szkole byłam wyśmiewana przez rówieśników. Żeby oderwać się od przykrości, zaczęłam biegać. Terapeutyczne bieganie stało się płynnie sportowym zajęciem. I gdy zaczęłam odnosić pierwsze sukcesy, poważna choroba przerwała moją karierę. Na szczęście pokonałam nowotwór i wróciłam do sportu. Potem był poważny wypadek samochodowy. Lekarze mówili, że będę mieć problemy z chodzeniem, a o bieganiu mogę zapomnieć. Po ośmiu trudnych latach stanęłam na bieżni i zaczęłam zdobywać medale. Prawdziwa podróż była do Dubaju, gdzie odbywały się mistrzostwa świata World Para Athletics '19. Sam start był dla mnie ogromnym wysiłkiem i walką z bólem, ponieważ biegłam – jak się okazało – mając złamanie zmęczeniowe stopy. Nie pamiętam, co się ze mną działo po przekroczeniu linii mety. Przełożenie igrzysk w Tokio na 2021 r. dało mi 365 dni dodatkowej szansy. Walczyłam o ten wyjazd każdego dnia. Wydałam wszystkie pieniądze – własne i pożyczone. Zaczęłam zdobywać złote medale w kupionych na Olx lub pożyczonych kompletach od innych sportsmenek. Dlatego teraz jestem wdzięczna Polskiemu Komitetowi Paraolimpijskiemu, że dostałam tyle pięknych rzeczy. To mnie motywuje do pracy. Jestem szczęśliwa.



MEDALE

To tylko część tego, co przywiozłam w tym roku do domu z Bydgoszczy. Wygrane na mistrzostwach świata Virtus World Athletics Championships oraz na European Championships dały mi bilet do Tokio.

OBUWIE

Na butach nie mogę oszczędzać, czego jestem najlepszym przykładem. A przecież dobre buty do biegania treningowego i profesjonalne kolce mogą zagwarantować miejsce na podium.





STRÓJ STARTOWY

Ze wzruszeniem wspominam mistrzostwa świata w Dubaju w 2019 r., gdy biegałam w nie swoim stroju. Miałam dużo szczęścia, bo osoba, która zgodziła się pożyczyć mi osobisty strój reprezentacji Polski, nosiła mój rozmiar.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fbdb83319











SUKIENKA
Specjalna, bo na jedną okazję, ale za to jaką! Na otwarcie igrzysk olimpijskich!

COMPEX
Urządzenie, dzięki któremu pozbyłam się uciążliwej kontuzji stopy.







OLEJEK ŻYWOKOSTOWY
Wyleczył moje wszystkie kontuzje powypadkowe. Męczyłam się osiem lat, aż na niego trafiłam. Smarowanie regularnie minimum dwa razy dziennie czyni cuda. Polecam wszystkim, którzy mają różne bóle kostne oraz mięśniowe.



MEDAL GEN. ANDERSA
Otrzymałam od Anny Marii Anders, ambasador RP we Włoszech, za pomoc w propagowaniu historii o polskich żołnierzach pod Monte Cassino, gdzie walczył jeden z moich przodków – przynosi mi szczęście, zawsze jest ze mną.



ZEGAREK POLAR
Prezent od kolegów, którzy nie mogli patrzeć, jak biegałam z moim zegarkiem antykiem, trzymając go w dłoni, bo miał urwany pasek.



NAGRODA
Od wójta gminy Szydłowo za moją ciężką pracę, mistrzostwo świata, kwalifikacje na igrzyska do Tokio i inne osiągnięcia dostałam: kubek, 25 dkg kawy, kuwetę, długopis z ekokartonu i rajstopy. Czy można chcieć więcej od życia?



KRONIKA RODZINNA
Moją drugą pasją jest odkrywanie historii rodziny. Poznawanie przeszłości przodków, dzięki którym jestem tutaj i mogę robić to, co kocham, jest pasjonujące.



Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

OGNIEM NA WPROST

Pitu pitu z Czerskiej



Wiktoria Beczek jest dziennikarką portalu gazeta.pl, płucotchawki „Gazety Wyborczej". Rozumie się samo przez się, że pani Beczek jest osobą tolerancyjną. Bo, jak wiadomo, Czerska i umiłowanie wolności przy poszanowaniu zdania innych idą w parze. Zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy LGBT i coś tam. Tak było i tym razem. Otóż na portalu społecznościowym opublikowała swoisty wpis trafiający, jej zdaniem, w sedno problemu występów naszej reprezentacji na igrzyskach w Tokio: „Czyli jak stoimy obecnie? Lesbijki: 2 medale, homofobki: 0 medali". Tak wygląda wewnętrzny olimpijski ranking drużyny RP. „W sumie to fajnie, jak postępowcy wpadają we własne sieci. Nie dzielimy ludzi. Wszyscy jesteśmy równi". „Pitu pitu" – odpisał jej Sławomir Jastrzębowski, szef portalu Salon24.pl. Redaktor został natychmiast „ukarany" za wyartykułowaną myślozbrodnię, bo takie reguły rządzą pojęciem tolerancji wśród dziennikarzy Agory. A od siebie dodam – jak już się bawimy w takie rankingi, to na dzień 5 sierpnia Polacy zdobyli 10 medali: 3 złote, 3 srebrne i 6 brązowych. W tym: 2 panie, które oficjalnie zadeklarowały się jako miłośniczki „miłości" lesbijskiej, a reszta to heretycy. Materiał do przemyślenia dla red. Beczek.

Za to Anita Włodarczyk (olimpijskie złoto w rzucie młotem) jest zdeklarowaną katoliczką i nie boi o tym mówić publicznie. „Wierzę w Boga, kocham Go, jestem Mu oddana. Wierzę, że moje istnienie ma sens i nie skończy się śmiercią fizyczną. W moim życiu było wiele sytuacji, w których szczególnie odczuwałam obecność Boga i w wielu przypadkach wiedziałam, że mi pomógł" – zadeklarowała sportsmenka. Po jednym ze swoich startów Włodarczyk odwiedziła Jasną Górę. „Jestem tu po raz trzeci. Zaczęłam swoją przygodę tutaj po igrzyskach w Londynie. Chciałam przyjechać podziękować Panu Bogu, Matce Bożej za dotychczasową łaskę" – powiedziała wówczas Włodarczyk. „Co roku jestem tutaj, zawsze po sezonie, przede wszystkim dziękuję, ale także czuję się wtedy pewniej, bo wiem, że zawsze Pan Bóg i Matka Boża są ze mną przez cały czas. Jestem od dziecka wychowana w duchu chrześcijaństwa, więc na co dzień jestem z Bogiem, i wiem, że podczas zawodów Bóg jest ze mną" – dodała. I jeszcze jeden materiał do przemyślenia dla red. Beczek z gazety.pl. Świat nie składa się tylko z sześciu kolorów homoseksualnej tęczy. Jest bardziej kolorowy. Na szczęście.

Znany z pazerności i ciągłego ubolewania nad swoją sytuacją finansową człowiek z Matką Boską w klapie i koszulce promującej Oddział Terapii Uzależnień Alkoholowych (OTUA) – Lech Wałęsa ustosunkował się do złożonego w Sejmie przez PiS projektu ustawy o podniesieniu wynagrodzeń prezydenta RP oraz samorządowców. Wprowadzenie tych zmian oznaczałoby również podwyżki dla byłych prezydentów. Według wyliczeń ich uposażenia wzrosłyby do 18 788,91 zł. „A kto by nie chciał więcej? I chciałbym, i się boję. Ja też bym chciał więcej, niemniej jednak mam kaca moralnego, kiedy słyszę, że w budżetówce, szpitalach i sądach jest bieda". Ależ prosimy się nie krygować, panie prezydencie. Jak pan brał „do ciepłej rączki" bez podatku zasłużone kablowaniem na kolegów wynagrodzenie od SB znane jako „wygrana w totolotka", nie miał pan takich oporów. Śmiało, nie ma problemu. Chyba że pana zdaniem PiS jest gorsze od SB.

Ponad 4 tys. nielegalnych imigrantów trafiło na Litwę dzięki Aleksandrowi Łukaszence, który nie tylko przymknął oko, a wręcz im pomagał przekroczyć granicę. Rasa Biekšienė, litewski kierownik Wydziału Podstawowej Opieki Zdrowotnej i Pielęgniarstwa Ministerstwa Ochrony Zdrowia, na posiedzeniu sejmowego komitetu ds. zdrowia poinformowała, że 71 z nich choruje na COVID-19, a u 21 migrantów zdiagnozowano też świerzb. Według Biekšienė obecnie przeciw koronawirusowi zaszczepiono 736 nielegalnych migrantów. Podkreśliła przy tym, że cudzoziemcy szczepią się chętnie. Z tych faktów wyciągnąć można dwa wnioski. Po pierwsze, prezes Jarosław Kaczyński miał rację, mówiąc w 2015 r. w Sejmie o niebezpieczeństwie roznoszenia chorób przez przybyszów z Południa, a po drugie, gołym okiem widać, że nielegalni imigranci są mądrzejsi od wielu zwolenników rodzimej Konfederacji, którzy z uporem godnym lepszej sprawy walczą ze szczepieniami. Przynajmniej w tej sprawie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fbdb83319

Regionalna produkcja żywności



Marta Kaczyńska-Zielińska

W ramach realizacji założeń Polskiego Ładu rząd przyjął projekt przepisów sprzyjających prowadzeniu przez rolników rolniczego handlu detalicznego. Od 2021 do 2030 r. dofinansowanie polskiego sektora rolniczego z Polskiego Ładu ma wynieść 45 mld zł, przy czym ok. 5 mld zł każdego roku. Jednym z kluczowych rozwiązań jest podwyższenie z 40 tys. do 100 tys. zł kwoty wolnej od podatku z przychodów pochodzących ze sprzedaży przetworzonych w sposób inny niż przemysłowy produktów roślinnych i zwierzęcych oraz zwiększenie sprzedaży produktów do sklepów i restauracji. Nowe regulacje mają usprawnić sprzedaż żywności w ramach funkcjonującego od 2017 r. rolniczego handlu detalicznego (RHD) do zakładów prowadzących handel detaliczny z przeznaczeniem dla konsumenta finalnego, czyli dla sklepów, restauracji, stołówek. Rolniczy handel detaliczny obejmuje żywność produkowaną i wprowadzaną na rynek pochodzącą w całości lub części z własnej uprawy, hodowli lub chowu zwierząt gospodarskich.

Regulacje Polskiego Ładu mają ograniczyć formalności i skrócić drogę produktów z pola na stół. Rolnicy zyskają dostęp do nowych pewnych klientów, a funkcjonujące w polskich miastach nierzadko od wielu pokoleń bazarki i ryneczki – na których u znanego od lat gospodarza można się zaopatrzyć w produkty zawsze świeże i wyhodowane w zgodzie z naturą – odzyskają swoją świetność.

Dzięki Polskiemu Ładowi wdrożone zostaną propagowane na świecie idee zielonego miasta, które poza dbałością o tereny zielone i ekologiczne rozwiązania obejmuje także zwiększenie dostępności żywości produkowanej przez lokalnych rolników.

Socjologowie i ekonomiści stworzyli model alternatywnej gospodarki żywnościowej koncentrującej się wokół lokalnej produkcji świeżej żywności przy użyciu tradycyjnych i rzemieślniczych metod przetwarzania, z poszanowaniem zasad etycznego handlu i wykorzystaniem wehikułów w postaci spółdzielni żywnościowych.

W ostatnich dekadach wielu rolników, często prowadzących małe tradycyjne gospodarstwa rodzinne, nie było w stanie konkurować z agrobiznesem. Jedną z możliwości zwiększenia przez nich produkcji jest właśnie budowanie powiązań z punktami sprzedaży detalicznej w pobliżu gospodarstwa lub w regionie. Skrócenie łańcuchów dostaw żywności stało się ważnym elementem teorii nowych wzorców rozwoju obszarów wiejskich. Nowe badania wskazują, że strategie krótkich łańcuchów dostaw, typowane dotychczas zwłaszcza przez sektor ekologiczny, stanowią klucz do rozwoju gospodarczego obszarów wiejskich, ponieważ zawierają one program przedsiębiorczości i wymuszają innowacje oraz usprawnienia w dystrybucji towarów.

W tym miejscu warto wspomnieć o zapowiadanej przez Ministerstwo Rolnictwa likwidacji białych plam w zasięgu telefonii komórkowej, zapewnieniu dostępu do szerokopasmowego internetu oraz transformacji energetycznej w sektorze, a także o wsparciu dla cyfryzacji i automatyzacji rolnictwa, optymalizujących wykorzystanie posiadanych zasobów, udoskonalających logistykę i podnoszących jakość wytwarzanych produktów. We wspominanym obszarze na szczególną uwagę zasługuje przedstawiona przez Instytut Technologiczno-Przyrodniczy idea stworzenia w Kłudzienku Polskiej Doliny Rolnictwa Inteligentnego oraz uruchomienie pierwszego start-upu zajmującego się inteligentnymi systemami agrotechnicznymi.

Konkurencyjność oparta na lokalnej wiedzy i regionalnej wyjątkowości stała się kamieniem węgielnym regionów i naturalnych stref ekonomicznych, m.in. w północnych Włoszech i w Walii. Koncepcja lokalnego sektora żywnościowego obejmuje trzy wymiary zrównoważonego rozwoju: środowisko, gospodarkę i społeczeństwo. Zainteresowanie zrównoważoną żywnością i rolnictwem prowadzi do zmian polityki zakupowej sektora publicznego (w szczególności szkół, przedszkoli, stołówek w publicznych placówkach), który realizuje ją w celu żywieniowym i edukacyjnym. Regionalna produkcja żywności została dodatkowo doceniona w czasie pandemii, która przerwała wiele łańcuchów dostaw, zachwiała cenami paliw i wpłynęła na zwiększenie kosztów transportu.

Składamy wyrazy głębokiego współczucia

Panu Ministrowi Pawłowi Szrotowi

Szefowi Gabinetu Prezydenta RP

w związku ze śmiercią

OJCA

Wieczny odpoczynek racz Mu dać, Panie!

Andrzej Duda
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

oraz

Agata Kornhauser-Duda
Małżonka Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

10/0821/F

eprasa.pl 7fbdb83319

RZECZY POSPOLITE

Kadry polskie



Tomasz Łysiak

3 sierpnia 1916 r. Józef Piłsudski wygłosił do zgromadzonych na krakowskich Oleandrach strzelców oraz drużyniaków słynny rozkaz, w którym poprosił o wymienienie się na znak jedności swymi odznakami. Jednocześnie wskazał młodym żołnierzom cel: „Patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanię". Już kilka tygodni później w Kielcach mówił do nich, że na drodze do idei czynu bojowego stoi bierność społeczeństwa. Na tym polu rysowała się różnica wśród Polaków – ścierały się ze sobą dwie przeciwstawne postawy: owej bierności i oczekiwania na to, aż wypadki dziejowe rzucą nam jakiś skrawek wolności (jeśli zechce) lub też działania i walki o niepodległość (w nią zaś wpisana była konieczność ofiar i krwi jako niezbędnego kosztu). Piłsudski wychowywał te przyszłe kadry wojskowe, a w wielkiej mierze i państwowotwórcze, właśnie w duchu czynu i walki – prowadzonej w granicach rozsądku, ale czasem także wtedy, gdy rachunek sił wydaje się po stronie przeciwnika.

Te jego kadry stały się w latach 1919 i 1920 jednym z ważnych filarów wojska, które musiało dać odpór nawale bolszewickiej. Zwycięstwa roku 1920 nie byłoby, gdyby nie wysiłek idący w stronę budowania polskiego wojska w latach I wojny światowej. Tylko armią ochotniczą i zaciągiem świeżych poborowych nie udałoby się zbudować wojska tak, by miało pełną wartość.

To pokolenie piłsudczykowskie – owszem, popełniające choćby w latach 30. wiele błędów – wychowało pokolenie następne. To, które wraz ze swoją dojrzewającą młodością wkraczało w wojnę, a w trakcie okupacji dojrzewało do dorosłości. Pokolenie młodych Polaków, które chwyciło za broń w sierpniu 1944 r. w Warszawie, było kolejnym pokoleniem czynu, wzrastało bowiem w kulcie wartości, honoru, odwagi oraz sprzeciwu wobec zła.

O tyle, o ile sama decyzja o wybuchu powstania może i powinna być związana z historyczną refleksją czy debatą, to jednak przede wszystkim szacunek wobec pokolenia, które 1 sierpnia poszło do walki z Niemcami powoduje, iż tego dnia każdego roku tłumy warszawiaków oddają hołd tym, którzy bili się nawet wtedy, gdy już nie było szans na zwycięstwo. Pomimo przegranej, pomimo tragedii powstania, to pokolenie stało się wychowawcami pokoleń kolejnych. Stało się następnymi duchowymi kadrami wolnej Polski.

Filmowe dłuto i beatyfikacja

Z Tadeuszem Syką, producentem i reżyserem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dzień, w którym przedstawił pan kulisy powstania filmu „Wyszyński – zemsta czy przebaczenie", nie był przypadkowy?

Tadeusz Syka: Oczywiście, że nie. 3 sierpnia przypadła 120. rocznica urodzin i 97. rocznica święceń kapłańskich późniejszego Prymasa Tysiąclecia. Warto podkreślić, że nasz film, decyzją kard. Kazimierza Nycza, a więc gospodarza zbliżających się uroczystości beatyfikacyjnych kard. Stefana Wyszyńskiego i matki Róży Czackiej, wpisuje się oficjalnie w te obchody, a także w rok, którego patronem jest kard. Stefan Wyszyński.

Słucham pana i myśli biegną do pomnika sprzed kościoła Wizytek na Krakowskim Przedmieściu...

To prawda, jednak odczytuję, że nasza rola jest inna. My bierzemy dłuto w postaci filmu i jako artyści wydobywamy z kamienia prawdziwego człowieka, przeżywającego liczne rozterki i przezwyciężającego nieraz samego siebie bohatera.

Kogoś znanego dotąd niewielu osobom? Kim był „Radwan III"?

To pseudonim ks. por. Stefana Wyszyńskiego, kapelana AK, służącego w Oddziale Puszczy Kampinoskiej, ale też kapłana posługującego w Laskach, u boku niewidomej matki Róży Czackiej, założycielki Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi. Pseudonim nawiązywał do świętego z czasów średniowiecznych, który zginął, idąc ze sztandarem na czele wojska i był dla przyszłego Prymasa Tysiąclecia bardzo inspirujący.



Kogo zobaczymy w kluczowych rolach?

Ksawerego Szlenkiera jako ks. por. Wyszyńskiego i Małgorzatę Kożuchowską (matka Róża Czacka). To jedyny film, w którym spotyka się dwójka wkrótce błogosławionych. Dialog między nimi jest szalenie inspirujący. Od 17 września, kiedy film wejdzie do kin, będzie to swoista kontynuacja beatyfikacji tejże dwójki.

Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl 7fbdb83319



4 mld

Tyle dawek szczepionek na COVID-19 podano już na całym świecie.

265 kg

Tyle ważyła sztanga, którą podniósł (w technice: podrzut) na olimpiadzie w Tokio wielokrotny mistrz olimpijski, Gruzin Lasza Talachadze.

6

Zaledwie tylu senatorów USA (ze 100) podpisało się pod oświadczeniem w obronie TVN.

Fot. Andrzej Wiktor x2

„Z bagna wróciłam na szczyty, bo przeszłam ciężką drogę; kiedy były kontuzje i mozolna rehabilitacja, w myślach miałam, żeby pokazać ludziom, którzy mają problemy, walczą ze słabościami, walczą o powrót do zdrowia, żeby się nie poddawali”

– Anita Włodarczyk, zdobywczyni złotego medalu na tegorocznych igrzyskach olimpijskich.

„Grozi nam tak naprawdę utrata niepodległości i mówię to całkiem poważnie”

– prof. Ryszard Legutko o naciskach UE na Polskę.



„Pan tylko mówi: PiS i PiS. Tyle lat pan rządził w Polsce, na nic pieniędzy nie było. Była afera za aferą”

– mieszkaniec Nakła do Donalda Tuska.

zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. *COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.*

REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.

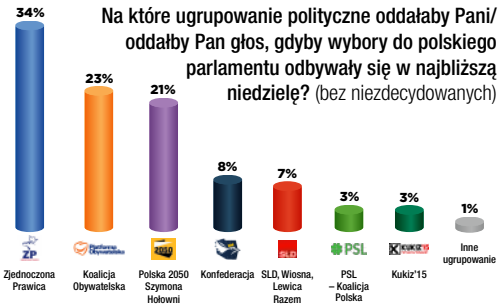
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

FOT. NA OKŁADCE: MICHAŁ KORSUN, PAP/MARCIN BIELECKI, MARIUSZ GRZELAK/REPORTER, LIDIA MUKHAMADEEVA/REPORTER, SHUTTERSTOCK

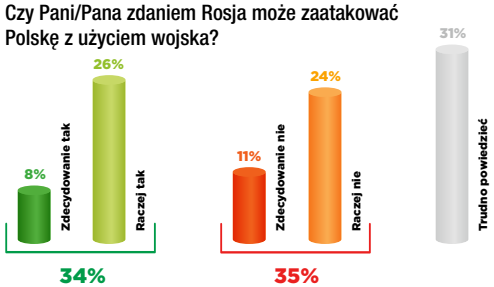
pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



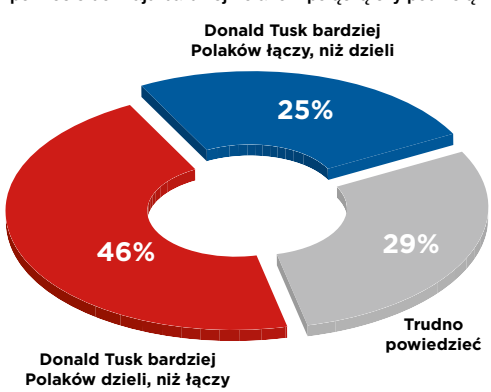
Czy Pani/Pana zdaniem Rosja może zaatakować Polskę z użyciem wojska?



Czy Polska powinna wziąć pod uwagę sprzeciw Izraela i wycofać się z wprowadzenia nowelizacji Kodeksu postępowania administracyjnego, które zakończy roszczenia dotyczące mienia bezspadkowego?



Czy według Pani/Pana działania Donalda Tuska po powrocie do kraju bardziej Polaków połączą czy podzielą?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1064.

Zakres czasowy badania 30 lipca–2 sierpnia 2021 r.

eprasa.pl 7fbdb83319

Reporter, który nie boi się pytać

Mimo brutalnych ataków reporter TVP Miłosz Kłeczek uparcie broni honoru polskiego dziennikarstwa i twardo pyta także polityków opozycji, w tym Donalda Tuska. Kim jest? Co sądzi o agresorach? Czy go nie złamią?



KAMIL KWIATEK

Na Miłosza Kłeczka czekam w Sejmie. Idę korytarzem prowadzącym z sali plenarnej do Senatu. Sejmowy dzień jak co dzień. Konferencje i pogonie za politykami. Miesiąc temu tym samym korytarzem i w tym samym kierunku Miłosz Kłeczek szedł za byłym premierem Donaldem Tuskiem, próbując uzyskać odpowiedź na pytanie o to, dlaczego jeszcze w kwietniu nazywał Sławomira Nowaka „więźniem politycznym", ale kiedy wrócił do krajowej polityki, stwierdził, że to „sprawa między prokuraturą, sądem i Nowakiem". Kiedy się dowiedział, że zarzuty są tak poważne? Polityka i dziennikarza otaczały kamery i mikrofony innych stacji. A oni tak szli.

Irytacja Tuska rosła. Wreszcie rzuca: „Nastąpiła zmiana, jeśli chodzi o wyobrażenia Polaków na temat tego, jak funkcjonuje wasza telewizja". Kłeczek nie ustępuje. „Nie odpowiadam za proces wychowawczy, jakiemu pan podlega"... – szydzi dalej Donald Tusk. Kłeczek spokojnie replikuje: „To bardzo słabe uwagi i na niskim poziomie, myślałem, że pan wyższy poziom reprezentuje".

Tuskowi puszczają nerwy. Zatrzymuje się nagle i zwraca do otoczenia: „Co tu się dzieje, przepraszam?!".

To zdanie symbol. Wyjeżdżał z Polski, gdy jego konferencje z dziennikarzami przypominały pogawędki wychowawczyni z podstawówki z niesfornymi dziećmi, a wszystkie niemal stacje to samo śmieszyło i oburzało. Wrócił, gdy przynajmniej część mediów także jemu patrzy na ręce. Trzeba przyznać, że Miłosz Kłeczek szczególnie konsekwentnie.

REPORTERSKA HISTORIA

Obecny reporter TVP Info nie zawsze zajmował się polityką, choć gdy rozmawiamy, to przyznaje, że od zawsze się nią interesował. Tuż obok prawa. – Zacząłem studia politologiczne i prawnicze, to zawsze były moje zainteresowania: polityka i prawo – mówi. Na studiach poszedł na staż do Programu I Polskiego Radia. I jak to stażysta, zajmował się tam każdym tematem. Później przyszedł czas na TVN, gdzie realizował materiały o sporcie, pogodowe, ale jednocześnie pracował również w TTV. Do TVP Info przeszedł w 2016 r. z Superstacji, gdzie, jak mówi, „też było dużo polityki", ale robił „w zasadzie wszystko".

Do dzisiaj można znaleźć w sieci materiał pod tytułem „Afrodyzjaki gwiazd i masaż na rozluźnienie", który Kłeczek zrealizował jeszcze jako dziennikarz Superstacji. Gdy trafił na Woronicza, zasugerował, że chciałby się zajmować polityką. – Trafiłem wtedy do Sejmu i tak już tutaj do dzisiaj zostałem – mówi.

To nie jest łatwa ani lekka praca. – Zdarza się, że pracujemy po 16 godzin. Posiedzenia Sejmu trwają czasem do późnych godzin nocnych – przypomina Kłeczek. W jego opinii, aby wytrzymać takie tempo, trzeba to lubić, ale na wagę złota są także determinacja i zdrowie. – Kondycja fizyczna jest ważna – podkreśla. I nie rzuca słów na wiatr. – Nie ukrywam, że każdy weekend, każdą wolną chwilę spędzam na siłowni albo uprawiam jakiś sport, aby odreagować. Od 19 lat ćwiczę sztuki walki. Zacząłem od karate, później był boks, a teraz są mieszane sztuki walki – mówi.

Czy te umiejętności mogą pomóc w „utarczkach z politykami"? Odpowiada śmiechem, bo przecież nie o bijatyki w tym wszystkim chodzi, a o docieranie do prawdy. – Na pewno dodają odwagi – mówi. Ale chwilę później poważnieje. – Niestety, ale polityka w wykonaniu naszej opozycji stała się bardzo brutalna i agresywna. Często dochodzi do naruszenia nietykalności cielesnej, a to nie powinno mieć miejsca – zaznacza.

TE WYBORY SĄ O TYM

Bo przecież problem jest nie tylko w specyficznej wizji wolności słowa Donalda Tuska, wyraźnie przyzwyczajonego do medialnej ochrony. Także Rafał Trza-

eprasa.pl 7fbdb83319



skowski w kampanii prezydenckiej dopytywany przez TVP Info o potężną katastrofę ekologiczną w Warszawie, rzucił z wściekłością: „O tym są te wybory, żeby nie było takich pytań".

Kłeczek przypomina pewną historię z czasu zeszłorocznej kampanii prezydenckiej. Pojechał za Rafałem Trzaskowskim do jednej z podwarszawskich miejscowości. Żeby się dostać do mikrofonu, musiał się przepychać ze sztabowcami prezydenta Warszawy. – Próbowali mnie przepchnąć, zasłaniali mi drogę, musiałem się przedzierać. Dzisiaj taką politykę proponuje Platforma Obywatelska. Myślę, że to jest całkowite zwyrodnienie i wypaczenie. To jest patologia – mówi wprost.

Opowiada również o strategii, jaką przyjęto w Senacie, aby odciąć go od zadawania pytań. – Gdy stoję np. trzeci w kolejce do zadania pytania, to marszałkowi Grodzkiemu sygnalizuje się, że czas jest tylko na dwa pytania. Tak, abym ja nie mógł zabrać głosu – tłumaczy. Jednocześnie zwraca uwagę, że partia rządząca nigdy nie traktuje w podobny sposób dziennikarzy mediów komercyjnych. – Nigdy politycy PiS na konferencji prasowej niezależnie od tego, jak trudne pytania by dostawali, nie obrażają dziennikarzy mediów komercyjnych. Nie atakują ich ani słownie, ani fizycznie. To działa wyłącznie w jedną stronę – podkreśla.

> Miłosz Kłeczek: – Niestety, ale polityka w wykonaniu naszej opozycji stała się bardzo brutalna i agresywna. Często dochodzi do naruszenia nietykalności cielesnej, a to nie powinno mieć miejsca

SŁABA FORMA TUSKA

Szukam w pamięci podobnych zdarzeń, ale przypominam sobie pojedyncze wypadki, gdy np. prof. Krystyna Pawłowicz mówiła do Radomira Witta z TVN24, aby „klękał i przepraszał". Wszystko jednak w formie żartu, nawet jeśli niesmacznego. Starć z dziennikarzami nie unikał nigdy Dominik Tarczyński, a wicepremier Gliński potrafił nazwać „Wiadomości" TVP „domem wariatów" albo wyjść ze studia jednej z komercyjnych stacji. Dopytuję więc o zarzuty polityków opozycji, głównie tych związanych z Koalicją Obywatelską, którzy oskarżają Telewizję Polską, a zwłaszcza TVP Info, o robienie propagandy i to jest najłagodniejsze określenie. – To jest sposób na uniknięcie odpowiedzi na trudne pytania, które bardzo często ich kompromitują – odpowiada Kłeczek. Jego zdaniem politycy PO wciąż nie mogą się przyzwyczaić do tego, że jest w Polsce duży ośrodek medialny, którego dziennikarze nie boją się zadawać im trudnych pytań. – To dla nich nowa sytuacja – mówi. – Tusk nie był gotowy? – pytam. – On jest całkowicie rozbity i zdezorientowany tym, że ktoś ma czelność zadawać mu trudne pytania – odpowiada.

Tak, to powszechne wrażenie, że były premier wyszedł z formy. Gdy był w Brukseli, nie dostawał od dziennikarzy trudnych i niewygodnych pytań. Nikt nie wracał do przeszłości, nikt nie pytał o jego rządy. To mogło uśpić. Rolę dziennikarzy niejako próbowali przejąć politycy zasiadający w komisjach ds. Amber Gold i ds. wyłudzeń VAT. To oni mieli okazję dopytywać Tuska o dwie ogromne afery, które odcisnęły piętno na jego rządach. W innej atmosferze były premier występował w „Gazecie Wyborczej" i TVN. Tam mógł się czuć spokojnie, wręcz jak u siebie w domu. Nie było trudnych pytań. Spotkanie z Kłeczkiem musiało być dla niego szokiem. – To było bardzo widoczne – podkreśla reporter. – Myślę, że były premier nie jest przyzwyczajony, że ktoś może z takim uporem próbować usłyszeć odpowiedź na zadane pytanie. Nie jest również przyzwyczajony do trudnych pytań. Jest raczej przyzwyczajony do poddańczej roli mediów z lat 2007–2015 – stwierdza.

Konferencje prasowe organizowane przez polityków rządzą się swoimi

Fot. TVP Info

eprasa.pl 7fbdb83319



Fot. Andrzej Skwarczyński

prawami. Co z tego, że organizuje się półtoragodzinną konferencję i odpowiada po kilka, kilkanaście minut na jedno pytanie, skoro dziennikarz nie ma możliwości kontry albo musi sobie ją wywalczyć, jak Kłeczek. Ale nie każdy się na to decyduje. To wymaga jednak pewnej odwagi, a nie każdy ją ma. To bardzo wygodne dla polityków wszystkich ugrupowań. Mogą dużo mówić, nawet kilkanaście minut, a i tak nie odpowiedzą na zadane pytanie. Dziennikarzowi pozostaje wysłuchanie monologu. Być może jako media powinniśmy wymóc na politykach zmianę w tej kwestii.

> Miłosz Kłeczek: – Myślę, że były premier nie jest przyzwyczajony, że ktoś może z takim uporem próbować usłyszeć odpowiedź na zadane pytanie. Nie jest również przyzwyczajony do trudnych pytań. Jest raczej przyzwyczajony do poddańczej roli mediów z lat 2007–2015

TĘSKNOTA ZA MONOPOLEM

Ale z konferencjami, Tuskiem i dziennikarzami jest jeszcze inny problem. Wydaje się, że mało kto zauważył, że do kraju wrócił polityk, który przez siedem lat pełnił funkcję szefa rządu. Tusk, będąc w Brukseli, rzadko udzielał wywiadów polskim mediom, a jeżeli już się na to decydował, to robił to na łamach zaprzyjaźnionych mediów. Choć od objęcia przez niego funkcji szefa Rady Europejskiej minęło już kilka dobrych lat, a jego partia od sześciu lat jest w opozycji, to Tusk wciąż nie odpowiedział na wiele pytań dotyczących swoich rządów. I choć nie brakuje okazji, to pytania nie padają. Dlaczego? – Nikt nie jest tym zainteresowany – zauważa Kłeczek. – Mam przekonanie, że dzisiaj ogromna większość mediów jest zainteresowana tym, żeby Platforma doszła do władzy, a tym, kto ma do tego doprowadzić jest Donald Tusk. I trzeba zrobić wszystko, żeby pokazywać nowego szefa PO w jak najlepszym świetle. Dlatego my, którzy zadajemy trudne pytania, będziemy coraz bardziej poddawani presji, żeby tych pytań nie było, ale deklaruję, że te pytania będą tak długo, jak istnieją media publiczne i inne niezależne redakcje – dodaje.

Z Tuskiem jest jeszcze inny problem. To parasol ochronny, który roztoczyły nad nim liberalne media. Kłeczek przypomina słowa byłego premiera, który stwierdził, że osoba chcąca nazywać się dziennikarzem powinna „zadawać trudne pytania władzy, a nie opozycji". Gdyby powiedział to prezes Jarosław Kaczyński... Na palcach jednej ręki można wymienić dziennikarzy, którzy zaprotestowali. Jedną z takich osób był Michał Wróblewski z Wirtualnej Polski. Z kolei atakowi Tuska na tzw. dziennikarzy symetrystów sprzeciwił się Jacek Gądek z portalu gazeta.pl. Reszta pokornie zaakceptowała „nowy stary kodeks etyki dziennikarskiej" ogłoszony na początku lipca przez byłego szefa RE. – Niestety, to jest też tak, że ma on poklask wśród większości mediów komercyjnych, które posłusznie wykonują te sugestie i wskazówki – stwierdza Kłeczek.

Zdaniem reportera TVP Info dziennikarze reprezentujący te media nie tylko zgadzają się na reguły gry narzucone przez Tuska, ale również próbują narzucić je innym dziennikarzom. – Próbuje się stworzyć wrażenie, że dziennikarze nie mają prawa zadawać trudnych pytań politykom opozycji, a tym bardziej byłemu premierowi. To ma być w złym tonie, a jeżeli już ktoś spróbuje się z tego wyłamać, to poddawany jest ostracyzmowi. Odsuwa się taką osobę od środowiska dziennikarskiego i próbuje napiętnować – stwierdza.

Wracam do padających zarzutów o tendencyjność pytań. Czy pytania

eprasa.pl 7fbdb83319

o wiec Tuska w Gdańsku, na którym widzieliśmy ziewające dzieci stojące za przemawiającym byłym premierem, nie można było zadać inaczej? Kłeczek pytał wtedy o pomysł na przyciągnięcie młodego elektoratu. Drugie jego pytanie dotyczyło pakietu klimatycznego zaprezentowanego przez Komisję Europejską „Fit for 55". Reporter odpowiada: – Wszyscy widzieliśmy te obrazki. To nie były przypadkowe osoby. One miały tworzyć ładne tło, pokazywać, że Tusk przyciąga młodzież. On ma też taką misję, aby pozyskać młody elektorat. Niestety, ale nie wyszło to piarowo Platformie, bo te młode osoby, słuchając wystąpienia Tuska, ziewały – mówi. I dodaje, że próba wyśmiania tego pytania przez Tuska pokazuje tylko jego nieumiejętność odpowiada na trudne pytania. – Myślę, że ważniejsze było pytanie o pakiet „Fit for 55", do którego Tusk w ogóle się nie odniósł i miał jeszcze na tyle duży tupet, żeby powiedzieć, że nie udziela mi głosu. To niespotykane nawet w światowej polityce. Polska jest chyba tutaj fenomenem, bo tylko takie reżimy jak Łukaszenki na Białorusi i Putina w Rosji mogą pozwolić na tego typu zachowanie. Choć jak widzieliśmy na konferencji prasowej po spotkaniu Putina z przywódcą USA Joem Bidenem, to prezydent Federacji Rosyjskiej odpowiadał na wszystkie pytania, nawet te trudne. Dzisiaj jestem gotowy postawić tezę, że Donald Tusk i jego zaplecze polityczne ma do mediów stosunek bardzo wschodni – przekonuje.

Kilkakrotnie już zresztą niepokornego dziennikarza próbowano wyeliminować: w styczniu 2020 Marszałek Senatu Tomasz Grodzki złożył wniosek o odebranie jemu i jego ekipie akredytacji prasowych w Sejmie. W listopadzie tego roku wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski złożył do marszałek Sejmu Elżbiety Witek wniosek o wydanie Kłeczkowi zakazu wstępu do loży dziennikarskiej w galerii sejmowej. „Sprawa jest prosta: chcieli zamknąć mi usta" – komentuje Miłosz Kłeczek.

Pytam prezesa zarządu Telewizji Polskiej Jacka Kurskiego, czy ulegnie presji i wycofa Kłeczka z pierwszej linii? – Nie ma mowy. Redaktor Kłeczek jest symbolem przełamania monopolu informacyjnego w Polsce. Dzięki dziennikarzom, którzy mają odwagę zadawać pytania, mamy wreszcie w Polsce realny pluralizm. Jeśli dzisiaj Donald Tusk mówi, że wybory nie były uczciwie i nie będą uczciwe, dopóki ja jestem prezesem TVP, czyli dopóki są w niej dziennikarze tacy jak Kłeczek, to znaczy, że doceniam takich ludzi. Jestem dumny, że mam tak odważnych dziennikarzy, a chyba najodważniejszym z nich jest właśnie redaktor Kłeczek. Będziemy go wspierać i zawsze może na nas liczyć – deklaruje.

CENA ODWAGI

Media w Sejmie mają swoje specjalne miejsce. To tzw. stolik dziennikarski – kiedyś jeden okrągły, dziś kilka kwadratowych. Niewiele tam miejsca. Najczęściej są zajęte już od samego rana. Tam też często próbuje się narzucić tezę, że dociskać należy wyłącznie ludzi prawicy. – Staram się rozmawiać ze wszystkimi, ale nie są to żadne zażyłe kontakty – przyznaje jedna z reporterek sejmowych TVP Info, gdy pytam o atmosferę w środowisku dziennikarskim. Zdaniem Kłeczka dziennikarze

Panu Ministrowi
Pawłowi Szrotowi

Szefowi Gabinetu Prezydenta RP

serdeczne kondolencje

po śmierci

OJCA

składają

Szef Kancelarii Prezydenta RP,

Ministrowie

oraz Pracownicy Kancelarii

10/0821/F

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 27 lipca 2021 r. zmarł

ŚP.

KPT. JERZY STANISŁAW NOWICKI
PS. „PLASTUŚ"

urodzony 8 maja 1932 r. w Ciechanowcu.
Od października 1948 r. żołnierz 6. Wileńskiej Brygady
Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość",
zaprzysiężony przez kpt. Władysława Łukasiuka „Młota"
stacjonującego pod Ciechanowcem w Lesie Rudzkim.
Wykonywał fałszywe dokumenty, pieczęcie
oraz podrobione karty meldunkowe,
ratując życie wielu niezłomnym żołnierzom
II Konspiracji Niepodległościowej.
Łącznik i wywiadowca Brygady.
W 1950 r., zagrożony na Podlasiu aresztowaniem,
został przez dowództwo skierowany do Warszawy.

Zasłużony artysta plastyk, autor rzeźb i obrazów
o tematyce patriotycznej oraz sakralnej.
W latach 1990-1991 kierował renowacją wnętrza
kościoła pw. św. Stanisława na Manhattanie,
najstarszej polskiej świątyni w stanie Nowy Jork.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

1/0821/F

eprasa.pl 7fbdb83319

dali się podzielić. – Poddali się zabiegom Platformy, która stara się nas skłócić. Niestety, wiele osób jest podatnych na te działania – stwierdza. Jednocześnie przyznaje, że kiedyś, gdy pracował w innych mediach, było zupełnie inaczej. – Jesteś niby cały czas tą samą osobą, ale kiedy reprezentujesz Telewizję Polską, dziennikarze mediów komercyjnych, ci, którzy roztaczają ten parasol ochronny nad PO, nagle traktują cię jak kogoś obcego, kogoś, z kim nie powinno się rozmawiać. Panuje ostracyzm – mówi. Dodaje, że jego relacje z dziennikarzami innych stacji sprowadzają do mówienia sobie „cześć" i „do widzenia".

A politycy? Co ciekawe, nie wszyscy politycy opozycji są zachwyceni postawą Donalda Tuska w stosunku do dziennikarzy mediów publicznych. Po pierwszych utarczkach słownych reportera z byłym premierem dziennikarzy z Woronicza broniła m.in. posłanka Lewicy Karolina Pawliczak. „Nie należy w ten sposób odzywać się do dziennikarzy, niezależnie od tego, jaką stację reprezentują. Bo państwo po prostu wykonujecie swoją pracę. W mojej ocenie było to bardzo niezręczne, niefortunne i mówię to naprawdę bardzo dyplomatycznie" – mówiła w TVP Info posłanka. Z kolei posłance Hannie Gill-Piątek nie spodobało się atakowanie przez Tuska tzw. dziennikarzy symetrystów. „Na szczęście w Polsce mamy jeszcze różnorodne i wolne media, gdzie każdy z publicystów ma prawo do zabierania głosu zgodnie z regułami debaty publicznej. Świat nie jest czarno-biały i polityk tego formatu, co Donald Tusk powinien doskonale zdawać sobie z tego sprawę. W 2015 r. PiS przekonało, a potem zawiodło wielu swoich wyborców. Niemniej doceniają oni ciągle zdobycze zamknięte w tym „ale", które Tusk tak radykalnie odcina, np. 500+ czy 13. emeryturę. Zła wiadomość dla PO jest taka, że nie wygra się wyborów bez tych zawiedzionych wyborców PiS. Obrażanie ich, zawstydzanie, mówienie, że stoją po stronie zła, jest pewnym przepisem na przegraną PO w siódmych z kolei wyborach" – powiedziała.

Również Miłosz Kłeczek podkreśla, że nie wszyscy politycy opozycji zachowują się tak jak przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej. – Myślę, że Lewica jest ugrupowaniem dość umiarkowanym, również w kontaktach z Telewizją Polską. Inne partie również starają się zachowywać w normalny sposób. Najbardziej skrajnym środowiskiem jest Koalicja Obywatelska – ocenia reporter TVP Info. Dodaje również, że pewnym paradoksem jest to, iż politycy KO, którzy zbierają podpisy pod postulatem likwidacji jego stacji, później przychodzą do jego programów. Sam zresztą w zapowiedzi polityków PO nie wierzy. – Platforma nigdy nie zdecyduje się na zlikwidowanie mediów publicznych. Gdyby doszła do władzy, to jestem przekonany, że całkowicie by je sobie podporządkowała. To dzisiaj wyłącznie metoda deprecjonowania mediów, które bardzo dobrze sobie radzą. Mamy świetnych dziennikarzy, którzy zadają pytania, które kiedyś nie padały w mediach publicznych. To jest problem PO – podkreśla.

> Co ciekawe, nie wszyscy politycy opozycji są zachwyceni postawą Donalda Tuska w stosunku do dziennikarzy mediów publicznych. Po pierwszych utarczkach słownych reportera z byłym premierem dziennikarzy z Woronicza broniła m.in. posłanka Lewicy Karolina Pawliczak

I JESZCZE BIZNES

Miłosz Kłeczek to jednak nie tylko dziennikarz, ale również biznesmen. Po konferencji, na której pytał Tuska o pakiet „Fit for *55*" i „ziewające na wiecu Tuska dzieci", w mediach przypomniano o biznesach, które prowadzi reporter. Jedna ze spółek, w której Kłeczek jest udziałowcem, otrzymała 3,6 mln zł pomocy publicznej. Z tarczy kryzysowej od PFR otrzymała ok. 500 tys. zł, od prezydenta Częstochowy zaś 58 tys. zł. Kolejne 3 mln otrzymała ze Śląskiego Centrum Przedsiębiorczości. Czy prowadzenie takiej działalności nie dyskredytuje dziennikarza w oczach odbiorcy? Czy nie jest to wbrew etyce dziennikarskiej?

– Nie ma żadnej podstawy prawnej, która zakazywałaby dziennikarzowi prowadzić jakikolwiek biznes, zwłaszcza taki jak mój – niemający związku z samorządem, z politykami, z żadną opcją polityczną, nie ma umów ze spółkami samorządowymi, miejskimi, ze spółkami skarbu państwa. To obszar zupełnie niezwiązany z wykonywaną pracą medialną – przekonuje Kłeczek. – Insynuacje, jakie pojawiają się pod moim adresem po konferencjach, gdzie padają trudne pytania, odczytuję jako próbę dyskredytacji. Ale nie robi to na mnie żadnego wrażenia, bo nie mam nic do ukrycia. Wszystkie artykuły, które się ukazują, próbują postawić mnie lub firmę, w której mam udziały, w złym świetle, zarzuty są wyssane z palca, to są zwyczajne kłamstwa. Jeżeli będą powielane, to spotkają się z odpowiedzią prawną – dodaje.

NIE ZŁAMIĄ GO?

– Myślisz, że śnisz się już Tuskowi jako koszmar? – pytam na koniec. – Nie chodzi mi o to, żeby śnić się Tuskowi jako koszmar, ale mam nadzieję, że zdeterminuję go do tego, żeby w końcu zaczął merytorycznie odpowiadać nawet na trudne pytania. I jeżeli będę miał jakikolwiek w tym swój udział, że Tusk zacznie rozmawiać ze wszystkimi, a nie tylko z tymi, z którymi chce rozmawiać, i z tymi, którzy zadają mu łatwe pytania, będę miał z tego ogromną satysfakcję. Mam nadzieję, że kiedyś do takiego momentu dojdzie – mówi Kłeczek.

Na razie szykuje się na nowe wyzwanie. Już 3 października o 17:30 na antenie TVP3 widzowie zobaczą premierowy odcinek nowego programu „Układ", który poprowadzi Miłosz Kłeczek. W programie będą ujawniane wszelkie nieprawidłowości, korupcja i układy w samorządach – choć nie tylko tam. Można się spodziewać, że kilka świętych krów znowu się oburzy, że ktoś śmie je pytać.

eprasa.pl 7fbdb83319

Bank Pekao zaprosił dzieci na przyrodniczy spacer z żubrami

Bank Pekao wspólnie z zagrodą żubrów w Pszczynie zorganizował edukacyjną przygodę dla podopiecznych fundacji i świetlic z województwa śląskiego. Najmłodsi mieli okazję do spotkania z żywą przyrodą i razem z wolontariuszami banku zwiedzili zagrodę, poznając przedstawicieli różnych gatunków zwierząt





Żubr to jedno z najciekawszych zwierząt zamieszkujących Polskę, ale pomimo wielu starań wciąż jest gatunkiem chronionym o najwyższym priorytecie. W obecnych warunkach przyrodniczych żubry nie są w stanie egzystować bez specjalnej ochrony i opieki człowieka. Bank Pekao, dla którego ten największy dziki ssak w Europie ma szczególne znaczenie, ponieważ stanowi element jego identyfikacji, od lat wspiera działalność placówek, które zapewniają opiekę żubrom. Jedną z nich jest Pokazowa Zagroda Żubrów w Pszczynie – malowniczym mieście, położonym w województwie śląskim.

Bank Pekao zorganizował wspólnie z placówką lekcję przyrodniczą dla dzieci objętych pomocą Ośrodka Pomocy Społecznej w Czerwionce-Leszczynach oraz podopiecznych fundacji Dom Aniołów Stróżów. W trakcie spaceru w towarzystwie wolontariuszy Banku Pekao maluchy miały szansę na poznanie żubrzej rodziny oraz innych gatunków zwierząt. Zwiedzających czekało spotkanie z łosiem, jeleniem, dzikiem, muflonem, pawiem egipskim i innymi ciekawymi mieszkańcami zagrody. Mnóstwo zabawy dostarczyło wszystkim uczestnikom układanie postaci żubra z drewnianych puzzli. Dodatkowo wolontariusze Pekao sprawdzili się w roli opiekunów zwierząt, pomagając przy uzupełnianiu siana w jaślach przy paśnikach oraz przy podawaniu karmy.

– Nasi pracownicy kochają zwierzęta, co wielokrotnie pokazali poprzez liczne akcje wolontariackie na ich rzecz. Nasz bank szczególnie utożsamia się z żubrem, dlatego współpracujemy z miejscami, które dbają o te zwierzęta. Efektem takiej współpracy był zorganizowany przez nas spacer edukacyjny, dzięki któremu wiele dzieci miało pierwszy w życiu tak bliski kontakt z mieszkańcami puszczy i lasu. Zwiedzanie zagrody i udział w zajęciach pozwoliły najmłodszym poznać mnóstwo ciekawostek przyrodniczych – powiedział Leszek Skiba, prezes zarządu Banku Pekao SA.

Warto zaznaczyć, że Bank Pekao od dwóch dekad wspiera Białowieski Park Narodowy, dbając o ochronę największego na świecie wolnożyjącego stada żubrów, które zamieszkuje tereny Puszczy Białowieskiej. Środki przekazane przez bank pokrywają część wydatków parku na monitorowanie żubrów w puszczy, zakup karmy na zimę oraz inwentaryzację. Dzięki wsparciu banku możliwa była m.in. modernizacja Rezerwatu Pokazowego Żubrów i doposażenie pawilonu edukacyjnego.

Pekao pomaga też rezerwatom hodowlanym Białowieskiego Parku Narodowego, w których łączy się ze sobą zwierzęta najbardziej odległe genetycznie, co pozwala zwiększyć szanse na przetrwanie gatunku. Za sprawą wieloletniej współpracy w 2018 r. bank otrzymał oficjalny tytuł Partnera Białowieskiego Parku Narodowego oraz Opiekuna białowieskich żubrów. Kolejne miejsce, do którego Pekao kieruje pomoc finansową, to warszawski Ogród Zoologiczny. Bank przekazuje środki fundacji Panda, działającej przy placówce, i pomaga w opiece nad stadem warszawskich żubrów.

– Tego typu inicjatywy są przykładem realizacji wartości Banku Pekao, które ogłosiliśmy na początku roku. To one mają wskazywać nam kierunki działań oraz inspirować. Wartość „Razem" przypomina nam, żeby otaczać troską tych, którzy tego potrzebują. Wartość „Odpowiedzialnie" mobilizuje nas za to do dbania o sprawy lokalnych społeczności. W tym roku wdrożyliśmy też strategię ESG, która jest kompleksowym dokumentem regulującym podejście naszej firmy do zrównoważonego rozwoju. Stawiamy w tej strategii na edukację i podnoszenie świadomości ekologicznej społeczeństwa. Zorganizowane w Pszczynie wydarzenie jest jednym z tych, które bank zainicjował z myślą o ochronie zwierząt – podkreślił prezes Banku Pekao.

Materiał powstał przy współpracy z Bankiem Pekao SA | 71/0521/F

eprasa.pl 7fbdb83319

Szczepionkowi technokraci w natarciu



JAN ROKITA

Z dnia na dzień coraz bardziej wygląda na to, że chiński koronawirus zainfekował również europejską politykę. Albowiem to właśnie za sprawą wirusa zarysowują się teraz w Europie nieznane dotąd ostre podziały ideowe, a w konsekwencji nowe linie politycznych frontów, być może już za chwilę decydujące o przyszłości naszych demokracji

Wystarczy rzut oka na zdarzenia polityczne ostatnich dni we Francji, Niemczech czy w Polsce, by uświadomić sobie, iż zaraza dopiero teraz, gdy jej niszcząca siła znacznie w Europie osłabła, wywołuje polityczny pożar. W ciągu pierwszej połowy br. dwa kluczowe problemy w unijnej Europie to ekonomiczne skutki lockdownów i rywalizacja o dostęp do szczepionek. Dziś w większości krajów (choć nie w Polsce) ruszyły już wielkie unijne programy gospodarczej rekonwalescencji, szczepionka stała się zaś w zasadzie powszechnie dostępna. I to dopiero w takich warunkach wychodzi na jaw, jak głęboki polityczny rów został wykopany w czasie zarazy, a teraz dzieli nasze społeczeństwa wedle nowych linii i kryteriów konfliktu.

SEGREGACJA SANITARNA I PROTESTY

Oficjalne dane rządu francuskiego (zawsze, jak z praktyki wiadomo, zaniżane) podają, że w sobotę 31 lipca przeciw wprowadzonym w tym kraju „paszportom szczepionkowym" manifestowało ponad 200 tys. osób. Przewlekłe anty-Macronowskie protesty na tle socjalnym, wywołane trzy lata temu przez żółte kamizelki, nabrały nowej dynamiki po tym, jak Zgromadzenie Narodowe uchwaliło 25 lipca ustawy wprowadzające segregację sanitarną. Ludzie niezaszczepieni tracą na ich mocy lwią część swobód osobistych, a ich życie ma zostać tak utrudnione, aby nawet największych sceptyków zmusić do zaaplikowania sobie szczepionki. Już teraz nie mogą oni bowiem uczestniczyć w żadnych formach życia kulturalnego, ale to dopiero początek ich kłopotów. Od 9 sierpnia nie wejdą do pociągu ani restauracji, raczej nie uda im się też



Francuz manifestujący przeciw szczepieniom, dla którego COVID-19 to orwellowska utopia

Fot. Neyat/iStock/Shutterstock.com

załatwić żadnej sprawy w urzędzie. Jednak najbardziej drastyczną formą sanitarnej represji jest... zakaz wstępu pracownika do jego zakładu pracy, co ma zostać wyegzekwowane przez pracodawcę. Niesubordynowanych pracowników pracodawca może pozbawić wynagrodzenia na dwa miesiące; sam zaś, jeśli nie dopilnuje sumiennej kontroli w swojej firmie, będzie płacić grzywny (9 tys. euro za każdego pracownika), a w razie recydywy pójdzie do więzienia.

Z kolei w Berlinie tylko w ciągu jednego dnia – 1 sierpnia – policja aresztowała tysiąc osób podczas antyszczepionkowych manifestacji, przenoszących się na skutek policyjnych pacyfikacji z jednej dzielnicy do następnej. Berlińska policja informuje o wszczęciu 503 karnych śledztw. Jeden z założycieli partii dieBasis (to nowa wolnościowa partia powstała w sprzeciwie wobec restrykcji lockdownowych) umarł podczas aresztowania na skutek nagłego ataku serca. Ale w ostatnim tygodniu niemiecką opinię publiczną gwałtownie podzielił przede wszystkim spór o szczepienie dzieci poniżej 12. roku życia. Niemiecka Komisja Szczepionkowa STIKO – instytucja o dużym prestiżu naukowym (jakiej, nawiasem mówiąc, w Polsce bardzo teraz brakuje) jest przeciwna szczepieniom dzieci, argumentując, iż nadal nie ma wyników badań oceniających skalę ryzyka szczepień dla fizycznego i psychicznego rozwoju dzieci. Tymczasem rząd w Berlinie, wraz z ministrami zdrowia poszczególnych landów, nakazał w trybie administracyjnym pilne rozpoczęcie takich szczepień, po raz pierwszy od wybuchu zarazy przeciwstawiając się otwarcie medycznym zaleceniom STIKO.

Ton niemieckich mediów po tej wątpliwej decyzji jest w większości dla władz nieprzyjazny, choć zarazem te same media zdecydowanie nieprzychylnie traktują sam ruch antyszczepionkowy. Zarządzenie władz jest traktowane jako objaw przedwyborczej paniki liderów partyjnych, przerażonych wizją znaczącego wzrostu zachorowań tuż przed wyborami, które mają się odbyć 26 września.

Warto zacytować przykładowy fragment komentarza z lewicowej „Berliner Zeitung", odnoszący się m.in. do stanowiska Marcusa Södera – premiera Bawarii i szefa CSU, bo to raczej nietypowy ton dla niemieckich mediów. Czytamy tam: „Ta arogancja jest nie do zniesienia. Partyjni politycy wzmagają presję na STIKO i chcą wzywać lekarzy, aby wreszcie zalecili szczepienie dzieci. Odwołują się przy tym – jak Markus Söder – do nieudolnej pogardy. Miejmy nadzieję, że STIKO wytrzyma presję nieodpowiedzialnych, pozbawionych skrupułów i agresywnych polityków. A ty polityku milcz, po prostu milcz, jeśli kompletnie nie rozumiesz, o czym mówisz!". Jak widać, sami lekarze, jak również media, okazują się w Niemczech daleko bardziej roztropni w posługiwaniu się ryzykowną inżynierią sanitarną niż politycy u władzy.

WYGNANIE ZE WSPÓLNOTY

W Polsce od dłuższego czasu na wprowadzenie systemu segregacji sanitarnej na wzór francuski napiera Jarosław Gowin. Wicepremier argumentuje to przede wszystkim bezpieczeństwem ekonomicznym, i ten argument w ustach ministra odpowiedzialnego za gospodarkę jest zrozumiały. Gowin zapewne lepiej niż ktokolwiek w Polsce zdaje sobie sprawę, że każda następna próba wprowadzenia ekonomicznego lockdownu skończyłaby się w dzisiejszych okolicznościach wielkim buntem biznesu i niezdolnością państwa do uruchomienia kolejnego „helikopterowego" zrzutu pomocowych pieniędzy, jak to się działo w ciągu ub.r. O ile więc motywacje wicepremiera w nakłanianiu do szczepień nie powinny być kwestionowane, o tyle jego fascynacja Macronowskim projektem segregacji sanitarnej jest już rzeczą o wiele bardziej wątpliwą i niebezpieczną.

Ale radykałem prącym ostatnio do administracyjnych represji wobec tych, którzy nie chcą się szczepić, stał się także minister zdrowia Niedzielski. Niedawny przypadek nocnego podpalenia przez jakiegoś osobnika na rowerze kontenera szczepionkowego w Zamościu Niedzielski wykorzystał do zapowiedzi wniesienia na agendę rządu „planu walki z antyszczepionkowcami". Chuligański wybryk zniszczenia kontenera nazwał z wyraźną przesadą „aktem terroryzmu". Do tej wojennej retoryki skierowanej przeciw mniej więcej połowie obywateli, okazujących jak dotąd sceptycyzm wobec szczepień, ma też ostatnio coraz większą skłonność premier Morawiecki.

Dane statystyczne są nieubłagane. Dorosłych obywateli mamy ok. 30 mln, a w pełni zaszczepionych grubo poniżej 15 mln. Zatem ci, którzy na wypadek wprowadzenia w Polsce francuskiego modelu segregacji sanitarnej mieliby szansę otrzymać status pełnoprawnych obywateli, stanowiliby połowę dorosłego społeczeństwa. Pomysł, aby w imię jakiejś nawet najbardziej racjonalnej wizji przeciwstawić sobie dwie połówki narodu, z jednej strony tych realnie wolnych, z drugiej zaś tych wolnych tylko w pewnym sensie, należy do gatunku najbardziej szalonej inżynierii społecznej. I mógł wpaść do głowy tylko skrajnym technokratom, niewidzącym istotniejszej różnicy pomiędzy ludzką wspólnotą polityczną a ulem albo mrowiskiem. Nie mówiąc już nawet o pomyśle uchwalonego przez Radę Ministrów „programu walki" z połową społeczeństwa, co sugerował ostatnio w przypływie technokratycznego entuzjazmu minister zdrowia.

Oczywiście, ma się rozumieć, że ministrowi chodzi tylko o tę część owej połówki narodu, która jest publicznie antyszczepionkowo aktywna, nie zaś o antyszczepionkowców biernych, których jest w tej liczbie zapewne ogromna większość. Ale minister musi zdawać sobie przecież sprawę, że taki „rządowy program walki" będzie prowadzić do swoistego wygnania ze wspólnoty nie tylko tych czynnych, a więc aktywnie przeszkadzających polityce ministra, lecz również owych biernych, których „tylko" zamierza się pozbawić swobód. A w najbardziej zaciekłych sanitarnie mediach (np. w gazecie „Rzeczpospolita") oskarża się ich o to, że w gruncie rzeczy są zabójcami moralnie odpowiedzialnymi za łamanie piątego przykazania Dekalogu.

Co więcej, owo wygnanie ze wspólnoty przez technokratów ma

eprasa.pl 7fbdb83319

w dzisiejszych okolicznościach duże szanse na to, aby okazać się trwałe, a nie chwilowe. Jeśli bowiem istotnie wałęsający się po świecie koronawirus został wyprodukowany w chińskim laboratorium jako broń biologiczna, a więc mająca zabijać ludzi, i za sprawą błędu człowieka wymknął się z owego laboratorium, to zapewne kolejne jego mutacje pozostaną na wolności jeszcze długo. A zatem i obecne zarządzenia sanitarne nie będą krótkotrwałe. Jeśli więc teraz pozwolimy zaprowadzić w Polsce jakiś model segregacji sanitarnej, to stanie się on precedensem pokutującym potem przez lata. A obywateli będzie można swobodnie przypisywać do kategorii ludzi wolnych albo półwolnych, w zależności od aplikacji trzeciego, czwartego... dziesiątego szczepienia, albo też dowolnej innej wymyślonej akurat eksperymentalnej terapii. Nie zważając już na liberalne prawa i wolności zagwarantowane w konstytucji.

DWIE GRUPY DO WYKLUCZENIA?

Politycznie ciekawe jest szczególnie to, że w dzisiejszych polskich warunkach owo potencjalne wygnanie ze wspólnoty grozi przede wszystkim dwóm grupom społecznym, najsłabiej reprezentowanym dotąd w statystyce szczepień. Jedną jest konserwatywna wieś na polskiej ścianie wschodniej, od Warmii, przez Podlasie, Lubelszczyznę, Podkarpacie, aż po południową Małopolskę. To właśnie o tych regionach mówił ostatnio Niedzielski jako wystawionych w największym stopniu na nowe restrykcje ze strony władz. Ale drugą grupą zagrożoną jest młode pokolenie, bo jak wyraźnie pokazują statystyki i badania opinii – im młodszy wiek, tym mniejsza chęć do szczepień. Rzecz jasna, motywacje jednej i drugiej grupy są mocno odmienne. W przypadku wsi na ścianie wschodniej jest to zdrowa i organiczna nieufność tamtejszych społeczności do wszelkiej technokracji u władzy. W przypadku młodzieży rzecz tkwi (jak sądzę) głównie w nasilonym ostatnio w Polsce konflikcie pokoleń, a tym samym przekornej niechęci do okazywania subordynacji wobec presji władzy, tym bardziej jeśli jest to władza uważana za staroświecką i nazbyt skłonną wtrącać się w swobodę życia prywatnego.

Tych dwóch grup nie łączy żadna wspólna tożsamość. Ale każdy, kto zechce w dzisiejszej Polsce zaprowadzić segregację sanitarną, musi wiedzieć, że konstruuje w ten sposób polityczny sojusz tych dwóch grup, na pozór lokowanych na antypodach polityki, ale mających wspólny interes w przeciwstawieniu się władzy, jeśli ta w imię technokratycznej idée fixe zagroziłaby im wygnaniem ze wspólnoty.

Jeśli teraz pozwolimy zaprowadzić w Polsce jakiś model segregacji sanitarnej, to stanie się on precedensem pokutującym potem przez lata. A obywateli będzie można swobodnie przypisywać do kategorii ludzi wolnych albo półwolnych

To oczywiście niosłoby zagrożenie dla PiS, zwłaszcza dla ekipy Morawieckiego, okazującej w sprawach sanitarnych mocne inklinacje w kierunku technokratycznym. Ale także dla każdej innej formacji politycznej, która by takie posunięcie chciała wspierać i go bronić. Generalnie segregacja jest świetnym pomysłem dla każdego polityka, który by kombinował, jakby tu całkiem odsunąć od życia publicznego młode pokolenie Polaków albo też nakłonić je (co udało się Macronowi we Francji) do poważniejszego niż strajk kobiet buntu przeciw całej politycznej rzeczywistości. Dziś można odnieść wrażenie, że jedynym dostrzegającym to politykiem ze szczytów władzy jest prezydent Duda, który choć nie ma już żadnego własnego interesu wyborczego, stara się balansować tak, by nie rujnować wspólnoty, pozostając głową państwa zarówno dla szczepionkowców, jak i antyszczepionkowców.

Technokraci w polityce są zawsze niebezpieczni. Choć owszem czasem przydają się, kiedy są do wykonania konkretne zadania menedżerskie, np. przygotowanie publicznej ochrony zdrowia na kolejny atak zarazy. Poważny kłopot z technokratami rodzi się wtedy, gdy zaczynają oni aspirować do przesądzania o tym, co w polityce jest słuszne, a co naganne; w co ludziom wolno wierzyć, a co jest już zabobonem; albo też komu należy się wolność i równość, a kto na nią do końca nie zasłużył. Dla technokratów bowiem takie pojęcia to raczej slogany z zakresu obowiązującej poprawności, przydatne do przemówień z okazji świąt resortowych albo wręczania odznaczeń. Nie rozumieją oni praktycznego znaczenia liberalnego konceptu godności, wedle którego obywatel jest celem, a nie środkiem wszelkiej polityki.

Technokraci zawsze chcą dobrze i straszliwie irytuje ich, że jacyś ciemni ludzie stawiają opór ich oświeconym wizjom urządzenia ludzkiego ula albo mrowiska. I tak już nas wszystkich ponumerowali i opatrzyli licznymi kodami; zagregowali wiedzę o naszych upodobaniach, tak by była użyteczna dla reklamy i marketingu; poddali nas anonimowemu panowaniu koncernów BigTech. Obecnie w Polsce planują pobranie od nas danych biometrycznych i zaczipowanie ich w dowodach osobistych. Zaraza dała im wymarzoną okazję, aby jeszcze racjonalnie posegregować nas i przydzielić nam bądź odebrać prawa wedle reguły sanitarnej użyteczności. Nie należy mieć złudzeń, że w przyszłości się cofną, gdy się okaże, że bezpośrednie zaczipowanie każdego z nas (tak jak krów w UE) może się przydać dla jakichś sanitarnych albo innych pożytecznych społecznie celów. Niestety fanatyczni antyszczepionkowcy, zapatrzeni w teorie spiskowe, w tej sprawie mają wyjątkowo poprawną i przenikliwą intuicję.

eprasa.pl 7fbdb83319

Wymknąć się śmierci

Tę historię powinni przeczytać wszyscy, którzy uważają, że COVID-19 nie istnieje. Może będzie ona inspiracją także dla tych, którzy szukają odpowiedzi na pytanie o sens szczepień



DOROTA ŁOSIEWICZ

Doktor Jacek Kita ma 53 lata. Jest specjalistą chorób wewnętrznych oraz rehabilitacji medycznej. Od wielu lat pracuje na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku, w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym oraz w białostockim POZ. Gdy zaczęła się pandemia, nie spodziewał się, że sam zostanie pacjentem, a o jego życie będą musiały walczyć całe zastępy specjalistów różnych dziedzin.

DWA I PÓŁ MIESIĄCA POD RESPIRATOREM

Wszystko zaczęło się pod koniec października 2020 r. Choć teleporady stawały się coraz powszechniejsze, Poradnia Lekarza Rodzinnego, w której przyjmuje pracowała względnie normalnie: odbywały się szczepienia przeciw grypie, przyjmowano także pacjentów, którzy nie mogli poprzestać na teleporadzie, gdyż ich stan na to nie pozwalał.

– W połowie października zaczęli chorować pracownicy POZ. Zachorowały wszystkie pielęgniarki, rejestratorki, połowa zespołu lekarskiego. Także u mnie pojawiły się objawy infekcji górnych dróg oddechowych oraz układu moczowego – wspomina dr Kita. – Poszedłem na zwolnienie lekarskie, wydawało mi się jednak, że to nie jest „to". Liczyłem, że po tygodniu wyzdrowieję. Po powrocie ze zwolnienia miałem być oddelegowany do pracy w oddziale covidowym w szpitalu, w którym pracowałem. Po tygodniu nie było lepiej. Pojawiła się temperatura, choć bez wielkiego kaszlu i spektakularnej duszności, mimo twierdzeń rodziny, że coraz gorzej oddycham – opowiada lekarz.

Wreszcie dr Jacek zrobił test w kierunku COVID-19. Wynik, podobnie jak u córki, wyszedł pozytywny. Wynik żony był ujemny. Córka przeszła chorobę łagodnie (przejściowe zaburzenia węchu), żona nie zachorowała, a Jacek Kita czuł się coraz gorzej, choć próbował sobie wmawiać, że wcale nie jest jeszcze źle. W końcu to żona zadecydowała, że nie można dłużej czekać i trzeba zasięgnąć opinii zaprzyjaźnionego lekarza pulmonologa. Dr Łukasz Minarowski stwierdził, że jego kolega powinien jak najszybciej trafić na izbę przyjęć do szpitala i poddać się badaniom.

– Wezwaliśmy karetkę. Wszedłem do niej o własnych siłach. Pojechaliśmy do szpitala MSWiA w Białymstoku. Saturacja nie była już najlepsza, a mimo tego nadal nie czułem się dramatycznie. Mój stan nie poprawił się przez kolejne dwie godziny. Było coraz gorzej. Gdy już faktycznie oddychanie zaczęło sprawiać mi problem, usłyszałem, że należy podłączyć respirator. Zgodziłem się, pomyślałem, że wytrzymam kilka dni, w końcu będę pod fachową opieką. Zostałem zaintubowany 5 listopada, w drugim tygodniu choroby... Obudziłem się 15 stycznia.

O tym, co się z nim działo w czasie tych dwóch i pół miesiąca, lekarz dowiedział się później z relacji innych medyków, żony Agnieszki i córki Zuzanny. Pomimo podłączenia pod respirator stan dr. Kity się pogarszał. Ponad 80 proc. płuc opanował wirus. Były one niemal wyłączone z użycia. Pacjenta zakwalifikowano do podłączenia pod ECMO, czyli rodzaj protezy zastępującej pracę płuc i serca. Jest to technika pozaustrojowego natleniania krwi i eliminacji z niej dwutlenku węgla. Technika ECMO, choć ratuje życie, jest bardzo inwazyjną i ryzykowną terapią. Stosuje się ją wobec wyczerpania innych sposobów leczenia.

– Do Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego przewieziono mnie, by podłączyć pod tę aparaturę – opowiada doktor. – Z uwagi na postępujące zajęcie płuc poważnie rozważane było ich przeszczepienie. Przeprowadzone konsultacje z zespołem pulmonologów i transplantologów z Gdańska, koordynowane przez prof. Roberta Mroza i dr. Łukasza Minarowskiego, zakończyły się zakwalifikowaniem do zabiegu. Okazało się jednak, że mój stan kliniczny i powikłania (sepsa, wstrząs septyczny, zaburzenia układu krzepnięcia) stanowiły przeciwwskazanie do przeprowadzenia przeszczepienia. Pozostawiono mnie więc na respiratorze z szerokim wachlarzem antybiotyków oraz innych leków podtrzymujących życie – relacjonuje dr Kita.

Medyk nie ma wątpliwości, że od samego początku hospitalizacji był pod znakomitą lekarską opieką. Na pewno nie bez znaczenia okazało się to, że sam jest lekarzem i zna środowisko. Ze szczególnym wzruszeniem i niedającą się wyrazić słowami wdzięcznością wspomina zastępcę ordynatora Oddziału Kardiologicznego Szpitala MSWiA dr. Mirosława Charkiewicza, kierownika Oddziału Intensywnej Terapii USK dr. Sławomira Czabana z całym zespołem, kierownika Kliniki Chorób Wewnętrznych i Metabolicznych UMB prof. Irinę Kowalską z zespołem lekarskim i pielęgniarskim, jak również dr. Krzysztofa Tyburczego czy wspomnianego

eprasa.pl 7fbdb83319

wcześniej dr. Minarowskiego. Nie ma też wątpliwości, że żyje nie tylko dzięki fachowej ludzkiej interwencji, ale jest przekonany, że spotkał się także z Bożą pomocą. Podczas śpiączki modliło za niego morze ludzi. Prośba o wsparcie obiegała wiele wspólnot modlitewnych (dr Jacek z żoną należą do Domowego Kościoła – gałęzi rodzinnej Ruchu Światło-Życie) i zakony. Małe i duże parafie, wsie i miasteczka. Jak w takich przypadkach bywa, dr Kita nigdy się nie dowie do końca, jak szeroki był szturm modlitewny. Jest pewne, że był na tyle silny, że wraz z wiarą samego zainteresowanego i rodziny wystarczył. Przekonanie Jacka Kity i otoczenia o doświadczeniu cudu w żaden sposób nie umniejsza starań wspaniałych lekarzy, którzy równolegle działali w rzeczywistości ziemskiej.

– Kryzys przełamano w okresie świąt Bożego Narodzenia. To wówczas mój stan zaczął się wreszcie poprawiać na tyle, że pod koniec grudnia podjęto próbę rozintubowania. To się nie udało – opowiada lekarz.

Dopiero w połowie stycznia próba odłączenia od respiratora zakończyła się sukcesem.

WALKA O POWRÓT DO ZDROWIA

– Gdy się obudziłem i otworzyłem oczy, zrozumiałem, że jestem w szpitalu. Za oknem była szarówka. Usłyszałem pikanie sprzętów, poczułem rurkę intubacyjną, zobaczyłem kroplówki i usłyszałem, że pielęgniarki składają sobie życzenia noworoczne. Zaświtała mi taka myśl, że to już nie jest listopad. Zasnąłem. Znów się obudziłem. Na zewnątrz było jaśniej. Sprzęty wokół mnie wciąż pikały i szumiały, kroplówki kapały. I znów usłyszałem, że pielęgniarki składają sobie życzenia szczęśliwego Nowego Roku. Przez myśl mi przemknęło, że to druga zmiana. Zasnąłem. Gdy się obudziłem, sytuacja się powtórzyła. Za czwartym razem było to samo – śmieje się Jacek Kita. – I wtedy, jakoś na migi, spróbowałem się dowiedzieć, jaki jest dzień. Usłyszałem, że 15 stycznia, godz. 17. Wtedy zaczęło mi świtać, że to pasuje. Na naszych terenach bowiem w Białymstoku żyje wiele osób prawosławnych. Z 13 na 14 stycznia obchodzi się sylwestra juliańskiego, czyli prawosławny Nowy Rok. Pomyślałem, że to wszystko tłumaczy. Jednak w kolejnych dniach dowiedziałem się, że próby wybudzania mnie podejmowano już wcześniej, pod koniec grudnia, na początku stycznia, czyli według kalendarza gregoriańskiego wówczas świętowano sylwestra i Nowy Rok. Tak więc te pierwsze życzenia, które usłyszałem, musiały być z przełomu grudnia i stycznia. Kolejne były już związane z kalendarzem juliańskim i tak mi się wszystko zlało w jedno pasmo życzeń. Z czasem to zrozumiałem – śmieje się dr Jacek Kita.

Od 15 stycznia dr Kita był już świadomy czasu i miejsca. – Od 5 listopada byłem w stanie agonalnym. Wiele osób pytało, czy bardzo cierpiałem, ale tak dobrze się mną zajęto, dobrano takie leki, że nie czułem bólu, nie czułem, że umieram. Miałem za to piękne słoneczne sny. Te sny były przyjemne, radosne, nie były straszne – wspomina swój pobyt w innym wymiarze.

Do momentu zaintubowania i od chwili pełnego wybudzenia dr Jacek pamięta wszystko. Nie ma luk w pamięci. Dochodzenie do pełni sprawności to kolejny rozdział powrotu do zdrowia.



Fot. arch. prywatne

– Gdy się wybudziłem, miałem czterokończynowy niedowład. Mogłem poruszyć odrobinę dłonią i palcami. Natychmiast zacząłem walczyć o powrót do sprawności. Wiedziałem, że podczas śpiączki przychodzili do mnie fizjoterapeuci: pan Maciek, pracujący w USK w Klinice Kardiochirurgii, oraz pan Karol z mojej Kliniki Rehabilitacji. Gdy już byłem świadomy, starałem się jak najaktywniej ćwiczyć. Wraz z Maćkiem i Karolem walczyłem z całych sił – wspomina lekarz.

19 stycznia pan Jacek został przeniesiony do Kliniki Chorób Wewnętrznych i Metabolicznych, gdzie cały zespół podjął kolejny etap walki o usprawnienie pacjenta.

– 6 lutego wypisano mnie ze szpitala i zawieziono do domu. Bardzo chciałem jak najszybciej się uruchomić i usamodzielnić, by sprawiać żonie i córce jak najmniejszy problem. One przez cały czas były przy mnie, chętnie pomagały i nigdy nie dały odczuć, że jestem dla nich ciężarem. Jednak miałem bardzo silną motywację i wspaniałą opiekę ze strony wymienionych wcześniej rehabilitantów, by wrócić do sprawności.

eprasa.pl 7fbdb83319

Tym bardziej że jestem słusznej postury i mimo utraty podczas choroby 25 kg (nikomu nie życzę takiej diety), to wciąż nie byłem piórkiem – śmieje się Jacek Kita. – Teraz mięśnie i apetyt się odbudowują, ale będę się raczej starał nie wrócić do wagi sprzed choroby – dodaje lekarz.

Po opuszczeniu szpitala lekarz zaczął się poruszać samodzielnie, wspomagając się na początku chodzikiem czterokółkowym, później kulami ortopedycznymi, które następnie zastąpiła laska. W Wielkanoc mógł już pójść z jej pomocą do kościoła. Gdy rozmawiamy, dr Kita planuje podjęcie pracy od października. Wówczas zaczyna się rok akademicki, a nasz bohater bardzo ceni sobie pracę ze studentami.

– Dziś już funkcjonuję normalnie: jeżdżę samochodem, na rowerze, spaceruję z moim ukochanym psem. Nigdy bym nie sądził, że takie zwykłe rzeczy będą tak cieszyć. Może odczuwam jeszcze lekkie powikłania neurologiczne w postaci porażenia nerwu łokciowego czy strzałkowego, ale mam nadzieję, że i to się cofnie. A jak nie, to da się z tym żyć – opowiada lekarz.

> Od 5 listopada byłem w stanie agonalnym. Wiele osób pytało, czy bardzo cierpiałem, ale tak dobrze się mną zajęto, dobrano takie leki, że nie czułem bólu, nie czułem, że umieram. Miałem za to piękne słoneczne sny

ZASZCZEPIĆ SIĘ, BY ZYSKAĆ SPOKÓJ

Okazało się, że mimo tak ciężkiego przebiegu choroby, dr Kita praktycznie nie miał przeciwciał, mimo choroby nie nabył odporności. Możliwe, że zniwelowała ją silna farmakoterapia. Dlatego bez wahania podjął decyzję o szczepieniu, gdy usłyszał taką rekomendację od kolegów po fachu.

– Odczekałem do początku kwietnia i się zaszczepiłem. Wirus wciąż jest, mutuje. Nie wiadomo, czy kolejnym razem udałoby mi się uciec śmierci – zamyśla się dr Kita. – Szczepienia wyeliminowały z naszego życia wiele chorób, to dobrodziejstwo ludzkości. Niestety w przestrzeni publicznej częściej podnosi się argumenty antyszczepionkowe niż proszczepionkowe. A szczepienie pozwala na powrót do normalności. Nie ma innego sposobu na ochronę przed wirusem – nie ma wątpliwości doktor. – Zaufałem lekarzom, którzy mnie uratowali. Poza tym ciężko chorował także mój starszy brat. Może w jakiś sposób jesteśmy predysponowani do ciężkiego przebiegu COVID-19? Proszę sobie wyobrazić, co przeżywała nasza mama, mając w tym samym czasie dwóch synów w szpitalu – jednego ciężko chorego na tlenoterapii, drugiego wręcz konającego na respiratorze. Zaszczepiłem się także w trosce o nią i moją rodzinę. Cała moja rodzina się zaszczepiła. Szczepienie dało mi poczucie ulgi i wewnętrznego spokoju. Nie boję się kontaktu z ludźmi i miejsc publicznych, choć nadal, zgodnie z zaleceniami, używam maseczki w zamkniętych pomieszczeniach, dezynfekuję ręce – mówi dr Kita.

– Obserwuję antyszczepionkowe burdy i myślę sobie, że osoby zaszczepione nie są agresywne w przeciwieństwie do tych niezaszczepionych. Może warto się zaszczepić, by odzyskać spokój? – pyta lekarz. – Dużo niepokojów wynika z niewiedzy lub szczątkowej wiedzy uzyskanej od dr. Google'a lub na różnych portalach społecznościowych. Ludziom wydaje się, że dzięki internetowi mają wszechwiedzę. A to nieprawda, to wiedza wybiórcza. Ja nikogo nie potępiam, nie obrażam. Mogę się tylko powoływać na wiarygodne źródła wiedzy oraz własne doświadczenie i przez nie mówić, że warto skorzystać z dobrodziejstwa szczepień – nie ma wątpliwości dr Kita.

Na koniec dodaje: – Po przechorowaniu COVID-19 przestałem podchodzić do śmierci jak do zjawiska odległego, które mnie jeszcze nie dotyczy. Wyzbyłem się lęku. Byłem na granicy. Dziś nie mam wątpliwości, że trzeba tak żyć, by być na nią gotowym w każdej chwili. Trzeba żyć dla siebie i innych, w zgodzie z własnym sumieniem, być pojednanym z Bogiem i innymi ludźmi. Bo nikt nie zna dnia ani godziny. Codziennie staram się kończyć dzień modlitwą: „Noc spokojną i śmierć szczęśliwą niech nam da Bóg Wszechmogący. Amen".



Reklama | 52/0721/F

eprasa.pl 7fbdb83319



Rewolucja wrześniowa

Celem Donalda Tuska jest rewolta jesienią 2021 r.: dzięki ulicy, zagranicy, atakowi na Polski Ład i delegalizacji wyborów, gdyby zostały one przez opozycję przegrane



STANISŁAW JANECKI

Powrót Donalda Tuska do polskiej polityki został skoordynowany z planami zrobienia w Polsce rewolucji: najpierw we wrześniu 2021 r., a jeśli się nie uda, to w kolejnych miesiącach. Byłoby upiornym chichotem historii, gdyby doszło do rewolucji październikowej, gdyby właśnie w tym miesiącu nastąpiła kulminacja działań, które były przewodniczący Rady Europejskiej ma firmować. Oczywiście z udziałem ulicy i zagranicy. Już nikt z ważnych polityków Platformy Obywatelskiej nie ukrywa, że chodzi o zradykalizowanie ulicy. Ale nie tej spod znaku Ogólnopolskiego Strajku Kobiet czy Obywateli RP (choć ich także, lecz dopiero po rozkręceniu się protestów), a przede wszystkim zwykłych pracowników, mających różne postulaty płacowe i socjalne. Ulicy tym razem nie mają rewolucjonizować radykałowie. Oni co najwyżej udostępnią know-how, a potem mają przekierowywać nastroje w stronę agresji, także fizycznej. Na początku chodzi o jak najszersze protesty pracownicze.

Nikt ważny w Platformie nie ukrywa też, że bardzo istotnym elementem rewolucji mają być: maksymalne opóźnianie akceptacji przez Komisję Europejską polskiego Krajowego Planu Odbudowy, blokada unijnych środków dla Polski, kary finansowe nakładane przez Komisję Europejską, kolejne wyroki Trybunału Sprawiedliwości UE wiążące się z karami finansowymi. A generalnie chodzi o kwestionowanie suwerenności Polski we wszystkich tych dziedzinach, które nie są objęte prawem Unii na zasadzie przyznania (w tych podlegających zasadzie przyznania – to oczywiste). To ma wywoływać reakcje rządzących, bo trudno, by nie wywoływało, a one z kolei mają być pretekstem do rozpętania kolejnej kampanii przeciwstawiania się polexitowi.

Porównanie w tej sytuacji powrotu Donalda Tuska do Polski z wyprawieniem przez niemiecki sztab generalny Lenina w 1917 r. do Piotrogrodu wcale nie jest abstrakcyjne, choć oczywiście czasy są inne i nie toczy się żadna klasyczna wojna. Zresztą Leninowi też nie wszystko od razu się udawało.

ULICA, ZAGRANICA, ATAK NA POLSKI ŁAD

Rewolucję mają zainicjować nauczyciele, protestując od początku nowego roku szkolnego i domagając się podwyżek

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fbdb83319



oraz wysadzenia w powietrze reformy zrealizowanej przez Annę Zalewską. Do nauczycieli mają dołączyć pracownicy ochrony zdrowia i te części budżetówki, które już wcześniej domagały się podwyżek. Zgodnie z informacjami na stronie Naczelnej Izby Lekarskiej, 11 września 2021 r. o godzinie 12.00 „wszyscy" pracownicy ochrony zdrowia (pielęgniarki, lekarze, technicy laboratoryjni, ratownicy, sanitariusze, salowe, pracownicy niemedyczni) mają wyjść na ulice, by strajkować. Domagając się zwiększenia nakładów na ochronę zdrowia i podwyżki płac. Ratownicy medyczni chcą wzrostu wynagrodzenia zasadniczego o 1,2 tys. zł brutto do podstawy, do wysokości współczynnika co najmniej 0,95 dla wszystkich ratowników medycznych zatrudnionych na umowę o pracę w jednostkach finansowanych ze środków publicznych z równoczesnym zapewnieniem wzrostu stawek dla ratowników na umowach innych niż o pracę. Powołany już został Ogólnopolski Komitet Protestacyjno-Strajkowy, ukonstytuowany po konsultacjach między przedstawicielami związków zawodowych i samorządów medycznych. Strajk ma wymusić spotkanie z premierem Mateuszem Morawieckim, skoro dotychczasowe negocjacje z ministrem zdrowia Adamem Niedzielskim nie doprowadziły do uzgodnienia wspólnych celów.

Taki jest cel pracowników ochrony zdrowia, ale nie rewolucjonistów spod znaku Donalda Tuska. Dla nich optymalny jest brak porozumienia, nie tylko w ochronie zdrowia, i eskalacja protestów. We wrześniu przede wszystkim nauczycieli, żeby podgrzać nastroje i tak już gorące po wszystkich problemach szkół związanych z pandemią. Najlepiej, żeby protesty uliczne i strajki odbywały się z udziałem służb mundurowych oraz jak najszerszej reprezentacji budżetówki, w tym urzędników. Żeby powstało wrażenie, iż także ci, którzy bezpośrednio zależą od obecnej władzy, wymawiają jej posłuszeństwo.

Od września 2021 r. ma się pogłębiać anarchia, poczucie kompletnej destabilizacji i braku bezpieczeństwa – socjalnego, zdrowotnego, osobistego, ekonomicznego i międzynarodowego. A to wszystko nałożone na spodziewaną czwartą falę pandemii, coraz ostrzejsze spory wokół szczepień oraz tego, co zrobić z osobami niezaszczepionymi. Życie w Polsce ma być przedstawiane jako nieznośne, upokarzające ludzi, doprowadzające ich do rozpaczy.

Ważnym elementem rewolucji jest zdyskredytowanie Polskiego Ładu, a wręcz przedstawianie go jako wielkiego skoku obecnie rządzących na pieniądze Polaków. 3 sierpnia, występując w TVN 24, prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski przedstawiał Polski Ład jako największą aferę w Polsce po 1989 r. Nie tylko jako pomysł na ograbienie Polaków i urządzenie się ludzi władzy, ale też na zniszczenie samorządów, zbrodnię na klasie średniej, szczególnie na małych i średnich firmach. Inni mówią o rozdawaniu pieniędzy niepracującym, w tym środowiskom patologicznym, zabierając je aktywnym, przedsiębiorczym, zaradnym, twórczym. A zasadniczy atak na Polski Ład ma przypuścić sam Donald Tusk.

Ten atak jest o tyle zrozumiały, że jako zestaw konkretów i plan poprawy statusu materialnego niemal 20 mln Polaków Polski Ład odbiera Platformie i reszcie opozycji tlen. Tym bardziej że jest też planem wielkich inwestycji w infrastrukturę i skokiem modernizacyjnym polskiej gospodarki. Platforma i reszta opozycji nie mają żadnej własnej propozycji programowej, nie mają konkretów do zaoferowania, więc muszą zrobić „kryminał" z tego wielkiego projektu cywilizacyjnego awansu Polski. Nieprzypadkowo Rafał Trzaskowski, sceptyczny wobec poczynań Donalda Tuska, tak agresywnie i demagogicznie atakuje Polski Ład, bo to dla opozycji największe zagrożenie. Dlatego ustawy wdrażające ten plan mają być na wszelkie sposoby blokowane, zmieniane, kwestionowane, zwłaszcza w Senacie. Chodzi o to, żeby uniemożliwić ich przyjęcie i wprowadzanie w życie, a jeśli to się nie uda, maksymalnie opóźnić prace nad nimi, korzystając z tego, że wiele elementów Polskiego Ładu kwestionuje Porozumienie wicepremiera Jarosława Gowina. I to wysadzanie w powietrze Polskiego Ładu ma być skoordynowane z działaniem ulicy oraz zagranicy.

WŁADZA, NIE PROGRAM

Odpowiedź na pytanie, dlaczego Donald Tusk od swojego powrotu do polskiej polityki nie przedstawił żadnego programu, który chciałby realizować, jest prosta. Taki program nie jest do niczego potrzebny. Wynika to z dwóch przesłanek, a właściwie jednej: zdobycia za wszelką cenę władzy. W drodze wyborów albo rewolucji, nawet w bolszewickim stylu, skoro przecież i tak operację z Leninem wymyślono w niemieckim sztabie generalnym i sfinansowano niemieckimi pieniędzmi (docelowo miała to być ogromna na owe czasy suma 50 mln marek). Jeśli Niemcom na czymś zależy w obcym kraju, to robią, co trzeba. A tym razem Niemcom (i nie tylko im) zależy na „odzyskaniu" Polski dla Europy, czyli na tym samym, co Donaldowi Tuskowi. To „odzyskanie" ma przywrócić Polsce stosowne miejsce w europejskiej hierarchii, czyli zaplecza gospodarczego Niemiec oraz pokornego, a nie zbuntowanego człowieka Europy. Tym bardziej że ten zbuntowany jest przedstawiany jako „chory człowiek Europy", którego trzeba wyleczyć – nawet siłą i wbrew jego woli. Tusk ma być w tym dziele naczelnym lekarzem, a właściwie sanitariuszem.

eprasa.pl 7fbdb83319

W lipcu 2019 r. nieżyjący już prof. Marcin Król postulował: „Pora skończyć z programami i całym tym banalnym i pustym językiem polityki. (...) Przestańmy mówić o programach, uzgadnianiu ich szczegółów i spierać się o nie, jakby programy to była forma wiedzy i obietnica praktycznych działań. Żaden program nie uratuje teraz Polski, ale przede wszystkim program to bardzo kiepska forma opowieści". Programy tylko odciągają od zasadniczego celu, czyli zdobycia władzy.

Donald Tusk okazał się jednym z najbardziej pojętnych czytelników tez prof. Króla. Także tych z 18 stycznia 2020 r. Napisał on wtedy (w „Gazecie Wyborczej"): „Polityka jest sztuką zdobywania i utrzymania władzy. Tylko tyle. Jedyną miarą polityki jest jej skuteczność. (...) Kto o tym zapomina – przegrywa. Przegrywa także ten, kto walczy o prawdziwą demokrację". Demokracja to iluzja, a władza to konkret: „Polityka, rozpatrywana na tym najwyższym poziomie, nie podlega żadnym ocenom: z punktu widzenia moralności, z punktu widzenia wartości, celów czy metod działania". Co oznacza, że polityka (walka o władzę) może być całkiem niemoralna. Zasada jest prosta: „Walczący o władzę musi pozyskać większość, rozumiejąc zarazem potrzebę tolerowania mniejszości. A potem w celu utrzymania władzy większość będzie zawsze i w każdym kraju narzucała swoją wolę".

Gdyby streścić cele, jakie chce realizować po 3 lipca 2021 r. Donald Tusk, to opisał je właśnie prof. Król: „Jest jedyny cel, czyli zdobycie władzy. Wszystkie inne są pochodne lub drugorzędne, bo będzie można je realizować tylko wtedy, kiedy się władzę zdobędzie. Celem może być samo zdobycie władzy i przyjemności z tego płynące (tyran, despota). Celem mogą być pieniądze dla siebie czy dla całej grupy, a zatem kłamstwo, złodziejstwo, nepotyzm, oligarchizacja kraju. Celem może być przyjemność odnajdywana w manipulowaniu ludźmi. Przyjemność ta, niezrozumiała dla większości ludzi, jest jednak ogromna. Wreszcie celem może być zdobycie takiej władzy politycznej, kiedy wie się więcej niż inni, niż ogromna większość obywateli, i czuje się od nich bardziej wprowadzonym w sprawy tajemne". Donald Tusk te cele chce zrealizować, a przyjemność czerpie już z samego przystąpienia do akcji, zanim cokolwiek osiągnął.

DELEGALIZACJA WYBORÓW

We wrześniu br. na ulice polskich miast mają wyjść pracownicy, ale od października już także Ogólnopolski Strajk Kobiet i wszyscy zadymiarze znani z protestów pod koniec 2020 r. Jednocześnie pod przywództwem Tuska protestować mają „Europejczycy" broniący Polaków przed polexitem, demokraci broniący przed zsuwaniem się Polski w dyktaturę, legaliści niemogący znieść łamania praworządności i konstytucji, tolerancjoniści zrozpaczeni łamaniem praw LGBT+. Do tego dojdą opisywane już akcje instytucji europejskich, ale także naciski USA, Izraela i innych państw w sprawie nowelizacji Kodeksu postępowania administracyjnego (kwestia tzw. mienia bezspadkowego), naciski Stanów Zjednoczonych w sprawie nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji (w kręgach Tuska zwanej lex TVN), prowokacje i cyberataki ze strony Rosji, dogadywanie się administracji Joego Bidena z Niemcami i Rosją kosztem Polski, czego skutkiem może być rewizja polityki USA wobec wschodniej flanki NATO i ustawienie Polski na celowniku Władimira Putina.

> Ważnym elementem rewolucji jest zdyskredytowanie Polskiego Ładu, a wręcz przedstawianie go jako wielkiego skoku obecnie rządzących na pieniądze Polaków

Ma powstać wrażenie, że jesienią br. nic w Polsce i u jej granic nie jest stabilne, rząd zawinił w kwestii szczepień, więc przeciętnym Polakom grozi lawina różnych złych wydarzeń i procesów. W tle zamieszania i poczucia zagrożenia będą apele o rozwiązanie Sejmu i rozpisanie nowych wyborów, a z drugiej strony pojawią się „obywatelskie" akty oskarżenia przeciwko politykom PiS. Wesprzeć je ma uliczna kampania (billboardowa) dyskredytowania liderów PiS i nagonka na nich w postaci protestów przed prywatnymi domami. W sumie na początku listopada 2021 r. (wykorzystane będzie także Wszystkich Świętych) ma powstać poczucie apokalipsy i wrażenie, że rząd niczego już nie kontroluje.

Politycy PO opozycyjni wobec Tuska nie wierzą w realizację apokaliptycznego scenariusza, ale on im nie przeszkadza. Zamierzają nawet Tuska popierać, spodziewając się, że w ten sposób szybciej przejdzie próbę ognia i okaże się, że nie ma wcale takiej mocy sprawczej, jak on sam i jego zwolennicy sądzą. Ludzie Grzegorza Schetyny i Rafała Trzaskowskiego liczą nawet na to, że Tusk się skompromituje. Ale jego plany w niczym im nie przeszkadzają.

Gdyby doszło do przyspieszonych wyborów (a nawet w wypadku tych odbywających się w konstytucyjnym terminie) w następstwie stworzenia klimatu apokalipsy oraz otoczenia Polski kordonem sanitarnym, a PO i opozycja tego głosowania by nie wygrały, zacząłby być realizowany następny scenariusz – kwestionowania tego, że elekcja była uczciwa i demokratyczna. Donald Tusk miałby uruchomić wszystkie swoje zasoby i znajomości, wsparty przez wpływowych za granicą polskich prawników, żeby dowodzić, iż wybory sfałszowano, a przynajmniej nie odbyły się one zgodnie z Kodeksem wyborczym i konstytucją. Cała ta powyborcza histeria zostałaby rozpętana głównie z tego powodu, że przecież urodzony zwycięzca, na jakiego kreuje się Tusk, nie może przegrać żadnej elekcji. Dlatego trzeba byłoby rozpętać wielką międzynarodową kampanię, że wyniki głosowania nie mogą być uznane, podobnie jak było z wyborami prezydenckimi na Białorusi.

W tych wszystkich planach Donalda Tuska tkwi mały szkopuł: uważa on Polaków za głupich, nieracjonalnych, bezbronnych wobec kłamstwa i manipulacji oraz chcących zaszkodzić sobie samym. Ale Polacy tacy nie są.

Reklama | 79/0721/F

eprasa.pl 7fbdb83319

PGNiG

W SPORCIE JAK W BIZNESIE LICZY SIĘ SUKCES

Do wspólnego kibicowania zaprasza
PGNiG, oficjalny partner pomiaru czasu na

78.TourdePologne® UCI WORLD TOUR

eprasa.pl 7fbdb83319

Miłość, tolerancja i „j...ć PiS”

Tegoroczna impreza muzyczna Jerzego Owsiaka, Pol’and’Rock Festival, była inna niż jej wcześniejsze odsłony. Była płatna, ograniczona przeciwpandemicznymi obostrzeniami, ale też bardziej... fanatyczna





JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

A przecież organizatorzy i uczestnicy zgodnie nazywają to wydarzenie „Najpiękniejszym festiwalem świata”. Organizowany przez Fundację Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Pol’and’Rock Festival (przed 2018 r. znany jako Przystanek Woodstock) gromadzi dziesiątki tysięcy młodzieży. W tym roku frekwencja była mniejsza – imprezę przeniesiono z Kostrzyna nad Odrą do niewielkiej wsi Makowice w Zachodniopomorskiem. Istniejące tam ogrodzone wojskowe lotnisko świetnie się nadawało do zorganizowania imprezy z obostrzeniami przeciw COVID-19. W tym roku wstęp nie był darmowy – chętni musieli kupić wcześniej bilety za 49 zł. Zmiana lokalizacji i lekkie zamieszanie komunikacyjne w sprawie osób niezaszczepionych sprawiły, że frekwencja była dużo niższa.

– Ale wy nie rozumiecie, co tam się naprawdę dzieje – mówi 30-letnia Marta, która od kilku lat nie opuszczała żadnego Owsiakowego wydarzenia. – To jest najlepszy i najbardziej profesjonalny festiwal w Polsce – przekonuje, pokazując zdjęcia uśmiechniętych przyjaciół na tle sceny koncertowej albo pełnego ludzi pola namiotowego. – Tam ładujesz baterie na cały rok, a po powrocie wszystkie problemy znikają – przekonuje Marta, która tym razem także pojechała tam ze swoim chłopakiem Danielem. – No, prawie znikają – poprawia się z uśmiechem na twarzy. Oboje wykształceni, mieszkający w Krakowie, dobrze zarabiający, nie należą do festiwalowych młodziaków. Sami żartują, że zawyżają średnią wieku, bo wokoło kręciło się pełno małolatów, 20-latków, często jeszcze młodszych.

Nasze spojrzenia krzyżują się w pewnym zakłopotaniu, bo w końcu musi paść to jedno pytanie. Co sądzą o wezwaniu Łony, czyli 39-letniego rapera Adama Zielińskiego, który jednego wieczoru porwał uczestników imprezy do okrzyku „j...ć PiS”?

Jako showman i gwiazda rapu wskazał ręką na poszczególne części tłumu i rozdzielił role:

„Lewa strona mówi: j...ć, prawa odpowiada: PiS”. Młodzież posłusznie zafalowała i wydała z siebie znane ze strajku kobiet okrzyki. Łona dorzucił jeszcze trzecią grupę, która miała dopowiadać „mocno, mocno, mocno”. Rechotom nie było końca. – To nie było polityczne – zapewniają Marta z Danielem. – To się po prostu stało młodzieżowym okrzykiem i tyle – twierdzą. Wymieniają kolejnych wykonawców, którzy „zaczarowali” tłumy: Dżem, Pidżama Porno, Raz Dwa Trzy czy Kasia Kowalska.

Inaczej uznał wojewoda zachodniopomorski Zbigniew Bogucki, który zadzwonił po incydencie z raperem do Jerzego Owsiaka i poprosił o dopilnowanie, by nie było tam podtekstów politycznych. „Pan Owsiak deklarował,

Fot. Karol Makurat/REPORTER

eprasa.pl 7fbdb83319



bo rozmawialiśmy o tym, że festiwal ma być festiwalem tolerancji, miłości, zabawy, festiwalem muzyki" – komentował urzędnik dla Radia Szczecin. To sam szef WOŚP miał zapewniać, że atmosfera nie będzie politycznym pałkarstwem. „Była deklaracja pana Owsiaka o tym, że festiwal ma być apolityczny. Nawet nie ja o to pytałem, ale sam pan Jerzy Owsiak mówił, że tutaj polityki nie będzie, po czym niestety ta rzeczywistość była zdecydowanie inna" – opowiadał wojewoda.

Właściwie samego Owsiaka można by rozgrzeszyć – w emocjonalnym wzmożeniu masowej imprezy niejedno się wymknie spod kontroli, niejednego gwiazdora poniesie fantazja. Ale Owsiak następnego dnia publicznie, ze sceny, pogardliwie wyszydził rozmowę z wojewodą. „Panie wojewodo, nie pan będzie mówił, o czym mają śpiewać artyści i co ma krzyczeć publiczność, nie pan będzie ten festiwal tworzył, mówiąc, co ma mówić publiczność, o czym mają śpiewać artyści. Nigdy pan tego nie może robić, żaden wojewoda, żaden król, żaden cesarz i żaden bóg. Proszę nie dzwonić do mnie o tej porze i nie mówić mi, o czym ma mówić publiczność, na miłość boską, panie wojewodo!" – ryczał Owsiak ku uciesze tłumu.

Podekscytowane media liberalne podchwyciły temat – oto słusznie zagniewana wolnościowa młodzież wymyka się znienawidzonym dziadersom z PiS. Sam Łona częściowo przyznał niestosowność swojego zachowania. „Przyznaję, że forma tych pokrzykiwań była mało wyrafinowana – nie jestem dumny z miotania ze sceny wulgaryzmów tego rodzaju" – stwierdził w oświadczeniu. Ale zaraz po tym dodał: „Ale już emocja, która za tym stoi, jest zupełnie szczera i wynika z autentycznego gniewu. Gniewu człowieka, który ma dość słuchania o tym, że geje i lesbijki nie są równi normalnym ludziom; dość dewastowania wymiaru sprawiedliwości i podsycania chaosu prawnego; dość rozwalenia publicznych mediów" – wyliczał dalej raper.

– Nikogo – komentują Marta z Danielem – nikogo to nie obchodzi, to taki folklor. A jednak w mediach społecznościowych tysiącom młodych ludzi spodobało się to szydzenie w niewybrednych słowach z PiS. I nikt nie czuje się za to odpowiedzialny, bo „emocje były szczere", a „żaden bóg nie będzie cenzurował festiwalu". W skrócie? „Róbta, co chceta".

Tysiące młodych ludzi w emocjonalnym uniesieniu krzyczy: „J...ć PiS", ale dla autorytetów III RP nic się właściwie nie stało. A gdyby tak na innej imprezie skandować: „J...ć Platformę" albo „J...ć LGBT"? Skowyt mediów słychać by było od Bugu po Missisipi, a sceny z nienawistnym wrzaskiem byłyby pokazywane jako dowód na faszyzację kraju. Tymczasem sympatycy Pol'and'Rock Festival nie czują się hejterami, ba – uznają się za wyznawców miłości. Ostatniego dnia Jerzy Owsiak odebrał coś na kształt – pół żartem, pół serio – ślubowania czy zbiorowej przysięgi. „To jest mój kawałek ziemi, o który będę dbał i który będę szanował. To jest mój dom, w którym panuje miłość, tolerancja, przyjaźń, muzyka, tak mi dopomóż rock and roll" – zebrani trzymali w rękach słoneczniki albo kładli dłonie na sercach. W innych warunkach powiedzielibyśmy, że to jakieś sekciarstwo, ale tu przecież media III RP nie pozwolą na takie interpretacje.

A gdyby tak na innej imprezie skandować: „J...ć Platformę" albo „J...ć LGBT"? Skowyt mediów słychać by było od Bugu po Missisipi, a sceny z nienawistnym wrzaskiem byłyby pokazywane jako dowód na faszyzację kraju

W ramach tzw. Akademii Sztuk Przepięknych odbyły się przecież panele tematyczne, a to o zdrowiu seksualnym, a to o praworządności – imprezę odwiedził nawet sędzia Igor Tuleya czy nowy rzecznik praw obywatelskich prof. Marcin Wiącek. Z górnolotnych opisów portalu Onet czy TVN24 można domniemywać, że młodzież przyjechała dzielić się dobrem i tolerancją, studiować konstytucję oraz uczyć się bezpiecznego seksu. Z całego uszlachetniania festiwalu przebił się przede wszystkim okrzyk rapera Łony, co paradoksalnie podsumowuje całą rzekomą troskę establishmentu III RP o Polskę – z podniosłych bajek wychodzi wulgarny okrzyk.

– Nie zamierzamy się z tego tłumaczyć – mówią już lekko zirytowani Marta z Danielem. – Nie możecie kilkudziesięciu godzin spotkań, rozmów, tańców i muzyki, sprowadzić do jednego okrzyku – komentują z rosnącym oburzeniem.

A jednak trudno przyjąć którekolwiek z tych tłumaczeń. Łona twierdzi, że szczere emocje usprawiedliwiają niechęć do PiS. Czyż morderca Ryszard Cyba, który dekadę temu zastrzelił w Łodzi członka PiS Marka Rosiaka, a potem przyznał, że chciał zabić Jarosława Kaczyńskiego, nie był kierowany takimi „szczerymi emocjami"? Jeśli w tłumie był jakiś fanatyk, głupiec albo szaleniec (a bo to mało takich?) i po skandowaniu „j...ć PiS" usłyszał tylko, że „żaden bóg nie będzie go cenzurował", to czy nie dostanie jeszcze więcej żółci w postrzeganiu przez siebie polityki? Trudno zbagatelizować fakt, że to był tylko epizod całej wielkiej imprezy. Nikt tego nie potępił. Nikt nie załagodził, a wręcz podkręcono atmosferę. Istniały przecież tysiące niewinnych imprez, na których np. uprawiano sport, zdrowo się odżywiano, rywalizowano w zawodach i rozbijano namioty, a nawet składano „ślubowania", podobne w formie do tego, które odebrał Owsiak. I potem dodawano mały element ideologii, nienawiści, wezwania do zniszczenia kogoś. Mamy nawet filmy z takich obozowisk – Leni Riefenstahl, najlepsza reżyserka III Rzeszy, autorka podniosłych dzieł, takich jak „Triumf woli", pozostawiła wiele dokumentów z takich młodzieżowych zjazdów.

eprasa.pl 7fbdb83319

Maksymalizm nam się należy

Jako Polacy mamy prawo do tego, by odbudować Pałac Saski. Żeby pokazać, że Warszawa jest miastem zwycięskim, mimo że w przeszłości porażonym totalitaryzmami

Z prof. Janem Żarynem, dyrektorem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego oraz redaktorem naczelnym magazynu „wSieci Historii", rozmawia Marcin Wikło

Czy historia Polski jest jakoś wyjątkowa na tle innych państw, czy jest interesująca dla kogoś z zagranicy?

Jan Żaryn: Dla mnie wystarczające jest to, że powinna być i rzeczywiście jest wyjątkowa dla Polaków. Nie mam też wątpliwości, że np. dla Francuzów to ich historia jest szczególna. I dobrze, i niech tak będzie. Jesteśmy osadzeni w kulturach narodowych. Tak było przez wieki i wydaje się, że większość Polaków, nawet jeśli tego nie artykułuje, przeżywa własne życie wśród polskich pojęć, definicji, czyli tego wszystkiego, co wpływa na naszą świadomość i rozwój. W tym sensie historia jest nieodzownym warunkiem bytowania na każdym poziomie.

Sto numerów magazynu „wSieci Historii" za nami. Ciekaw jestem, co pan myśli, patrząc na półkę z tymi wydaniami.

Setny numer „wSieci Historii" to dobry pretekst, by podziękować fantastycznym autorom, bo to przede wszystkim ich wysiłek intelektualny i wiedza wpływają na kształt tego pisma. Mamy u siebie wybitnych przedstawicieli szeroko pojętej polskiej humanistyki, i to uważam, wraz ze współredagującymi miesięcznik, moją żoną Małgorzatą Żaryn oraz Michałem Karpowiczem, za nasz największy sukces.

Pierwsze, co przyciąga uwagę, to okładki miesięcznika ze wspaniałymi inscenizacjami historycznymi nawiązującymi do kalendarza wydarzeń historycznych.

Jesteśmy pismem wychodzącym w formule tradycyjnej, papierowej, co sprawia, że nie możemy konkurować z szybkością przekazu internetowego, ale mamy rzeczywiście ogromną przewagę – to są wspomniane przez pana okładki. To zasługa dyrektora artystycznego Michała Korsuna, fotografa Andrzeja Wiktora i grup rekonstruktorów, którzy wcielają się w te inscenizacje. To zawsze jest lekcja historii w pigułce, sposób na zachęcenie do tego, by sięgnąć głębiej.

Od maja 2013 r., gdy ukazał się pierwszy numer, czytelnicy dostali setki artykułów. Jakie macie poczucie po tych ponad siedmiu latach? Że już wszystko zostało opowiedziane i misję można kończyć, czy wręcz przeciwnie, jest jeszcze wiele do przekazania?

Zdecydowanie niczego nie kończymy! Chcemy wpływać na Polaków i kształtować współczesny patriotyzm, bo nazwałbym nasze pismo właśnie „patriotycznym". Bardzo chcemy, by przekaz o tym odziedziczonym umiłowaniu Ojczyzny był nadal prezentowany na naszych łamach. A to działanie nie ma końca.

Mówił pan o tym, że zadaniem „wSieci Historii" jest docieranie do współczesnych patriotów. Jak wyważyć konieczność lżejszej niż akademicka formuły czasopisma z dbałością o wierność przekazu historycznego?

Łączymy kilka celów jednocześnie. Niewątpliwie ten merytoryczny jest największy i najważniejszy, ale musi się wpasować w konieczność dotarcia do masowego odbiorcy. Nie ma to być pismo ekskluzywne w rozumieniu zawodowym, skłaniające naukowców do polemik. Stawiamy sobie za cel bycie elitarnymi w inny sposób, skupiając ludzi chcących być Polakami, którzy niesionej przez nas informacji o historii z życia naszego narodu potrzebują do życia. Mamy skąd czerpać. Jesteśmy zaprzyjaźnieni i stale współpracujemy z największymi i najważniejszymi instytucjami muzealnymi i historycznymi w kraju. Rozmawiamy w sierpniu, tuż po 77. rocznicy wybuchu

eprasa.pl 7fbdb83319



> Polacy mają olbrzymią dynamikę wtedy, gdy są optymistami, to znaczy wierzą w możliwość realizacji wielkich celów. Należy więc używać pozytywistycznych narzędzi, ale z myślą, że wielka Polska jest do osiągnięcia

powstania, podam więc jako przykład Muzeum Powstania Warszawskiego i jego pracę z wciąż żyjącymi powstańcami. Niezwykłość tego pokolenia, nieustanne jego oddziaływanie na nas, współczesnych, i wiedza na temat tych 63 dni jawią się jako bezkresne. Ciągle jesteśmy w stanie opowiedzieć czytelnikom coś nowego o tym fenomenie.

Historia powstania warszawskiego w zasadzie powinna nas łączyć, ale jego oceny doprowadzają nawet do zachowań agresywnych. Czy spór o sens tej walki kiedyś zgaśnie?

Ten spór nie zaczął się dzisiaj, on był toczony przed wybuchem powstania, w jego trakcie i po klęsce również. W tej dyskusji po obu stronach brali udział również uczestnicy zrywu. Dobrym przykładem jest upamiętniony przez Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej (IDMN) dopiero niedawno komendant główny Narodowej Organizacji Wojskowej AK płk. Józef Rokicki, który był dowódcą powstania na Mokotowie. Dlaczego jest honorowany dopiero 77 lat po powstaniu? Jest to właśnie element tego historycznego sporu. Został dowódcą całej dzielnicy z rozkazu gen. Antoniego Chruściela „Montera" i jako żołnierz wziął na siebie tę odpowiedzialność, ale osobiście był przeciwnikiem wybuchu insurekcji. Ministerstwo Obrony Narodowej, Instytut Pamięci Narodowej oraz Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych na moją prośbę wydały jednoznaczną i pozytywną opinię dla tego upamiętnienia i jako IDMN mogliśmy uroczystość przeprowadzić.

Młodzi Polacy co roku proponują własną formę upamiętnienia bohaterów powstania warszawskiego, nie potrzebują od nikogo zgody ani certyfikatu. 1 sierpnia o godz. 17.00 wychodzą na ulicę, odpalają race – i dzieje się to nie tylko w Warszawie. Podoba się to panu?

Jestem dumny z tych Polaków, ale także z instytucji, które to spowodowały. Dzisiaj wygląda to na spontaniczny zryw, ale nie doszłoby do niego bez udziału ludzi, którzy się starali, byśmy mieli świadomość, że

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 7fbdb83319

powstanie, które wybuchło w Warszawie, było warszawskie z nazwy, ale jego celem było odzyskanie niepodległości przez Polskę. Całą. Nie można nie wspomnieć prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego intuicji jako włodarza stolicy, że należy zbudować Muzeum Powstania Warszawskiego. Natomiast dzięki Januszowi Kurtyce, prezesowi IPN, wykonano olbrzymią pracę w ośrodkach instytutu w całej Polsce, by wytłumaczyć ludziom, że powstanie to była sprawa polska, a nie tylko warszawska.

Co jeszcze powinno być źródłem naszej narodowej dumy i jak powinno to się przekładać na nasze dzisiejsze życie?

Jesteśmy przebogaci w tradycje, zarówno republikańskie, sięgające I Rzeczypospolitej, wolności życia publicznego, jak i narodowo-demokratyczne. Szczególnie potrzebne dzisiaj wydają się te ostatnie, oparte na indywidualnej odpowiedzialności za przestrzeń publiczną i umiejętność organizowania się wokół celów, które nie muszą mieć patrona państwowego, tylko biorą się z sumienia wewnętrznego. Dobrze, gdy ludzi łączy chęć oddawania ojczyźnie tego, co jej należne. Może to czynić każdy, czy to poprzez dobrze wykonywaną pracę zawodową, czy zaangażowanie samorządne w organizowanie przestrzeni publicznej.

Czyli dziś Polsce potrzebni są pozytywiści, nie romantycy?

Nie do końca. W mojej ocenie patriotyzm pozytywistyczny jest w bilansie szkodliwy, bo wyrastał z poczucia klęski i minimalizmu. Z zadowolenia się granicami, w które ktoś nas wstawił – zaborca. Polacy mają olbrzymią dynamikę wtedy, gdy są optymistami, to znaczy wierzą w możliwość realizacji wielkich celów. Należy więc używać pozytywistycznych narzędzi, ale z myślą, że wielka Polska jest do osiągnięcia.

Niewątpliwie tak też myśleli politycy, o których teraz chcę zapytać. Piłsudski czy Dmowski? Który z nich – parafrazując Gombrowicza – większym Polakiem był?



Obaj zmierzali innymi drogami, ale do jednego celu, do odzyskania przez Polskę niepodległości. Jak spojrzy się na biografie tych dwóch wielkich Polaków, to widać wyraźnie, że obaj oni byli – być może zabrzmi to dzisiaj trywialnie – suwerenni.

Ojców polskiej niepodległości jest wielu, jednak to Piłsudskiego jest najwięcej w przestrzeni publicznej. A pan kieruje Instytutem Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Jakie są jego zadania?

Polacy nigdy nie mieli szans na poznanie niezwykłego dziedzictwa obozu narodowego i katolicyzmu społecznego. Najważniejsze dzieło instytutu z minionego roku to wydanie czterech tomów „Słownika biograficznego". Kolejne dwa są już na etapie recenzji, zatem w tym roku czytelnicy będą mogli już do nich sięgnąć i przekonać się, jaki potencjał mieliśmy, jeśli chodzi o polską inteligencję narodowo-chrześcijańską. Wspaniali ludzie, częściowo nam znani, ale często nie wiemy, że wyrastali z tego pnia intelektualnego i ideowego. Nie ustajemy w pracy dokumentacyjnej, digitalizujemy zbiory dotyczące działaczy obozu narodowego, o którym wciąż wiadomo za mało, nawet na płaszczyźnie inspiracji. Nie wiemy np., że dramat „Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego jest oparty na „Myślach nowoczesnego Polaka" Romana Dmowskiego, nie wiemy, że Tetmajer, Kasprowicz, Rostworowski, Baczyński, Gajcy swoim talentem przekazują nam idee wyrastające z programu narodowej demokracji. Podobnie jest z twórczością Karola Wojtyły, to także nurt katolicyzmu społecznego. Nie wiemy, że w czasie wojny był w konspiracyjnej organizacji katolickiej Unia, m.in. z Zofią Kossak.

Jakie są jeszcze widoczne znaki pracy IDMN?



Wraz z PKP prowadzimy np. akcję nadawania imion dworcom: Warszawa Wschodnia ma za patrona Romana Dmowskiego, dworzec w Katowicach – Konstantego Wolnego, szerzej nieznanego współpracownika Wojciecha Korfantego, a dworzec w Krakowie nosi imię Józefa Piłsudskiego. A za chwilę dworzec w Białymstoku będzie miał za patronkę Danutę Siedzikównę „Inkę" – wspaniały symbol umocowania polskiego życiorysu od najmłodszych lat w pięknej tożsamości chrześcijańsko-narodowej.

Komu więc zależy na tym, by przymiotnikowi „narodowy", a widać to często w mediach, nadać pejoratywne znaczenie?

Myślę, że współczesnym stalinowcom, którzy nawet nie wiedzą, że wyrastają z tego reżimu powojennego, ale jednocześnie bardzo głęboko uwierzyli i odziedziczyli przekaz, który komuna o obozie narodowym przez lata sączyła. Chodzi przede wszystkim o wydumany antysemityzm, który przeciętnemu odbiorcy każe rozumieć, że byli to ludzie współodpowiedzialni za Holokaust. Prawda natomiast jest taka, że jedyny związek między polskimi narodowcami a nazistami jest taki, że byli oni więźniami obozów koncentracyjnych zakładanych przez Niemców. Polscy narodowcy byli chrześcijanami, wprowadzali więc w życie i w każdą płaszczyznę funkcjonowania społecznego zasady dekalogu, a niemiecki nazizm oparty był na pogaństwie. Jest także wiele przekazów o narodowcach pomagających Żydom w czasie wojny, mimo że polityka żydowska w czasie zdobywania przez Polskę niepodległości w 1918 r. była antypolska i nie było powodów, by ją szczególnie wielbić.

Taka dziedziczona manipulacja jest możliwa tylko przy braku wiedzy. Może dlatego tak bardzo zależy niektórym politykom dalekim od

eprasa.pl 7fbdb83319







prawicowego konserwatywnego myślenia na ograniczaniu, a nie poszerzaniu nauki historii? Może to ma sprawić, że młody człowiek nie zdziwi się nawet, gdy po śmierci stalinowskiego sędziego Stefana Michnika przeczyta w polskich mediach, że to „bardzo smutna wiadomość", bo „odszedł człowiek, który wiele wycierpiał"?

Opór rzeczywiście jest duży. Ale przykład Michnika to bardzo jasny sygnał świadczący o porażce cywilizacji europejskiej. Patrzę na to jeszcze szerzej i widzę, że jest to problem nie tylko Polski. Europa, to dziś już wiemy, nie poradziła sobie z rozliczeniem nazizmu. Poza Norymbergą, do której doprowadziła żydowska słuszna determinacja w dopominaniu się o sprawiedliwość, więcej rozliczeń nie było. Kat powstania warszawskiego Heinz Reinefarth nie został osądzony, ale brał udział w życiu publicznym jako burmistrz miasta Westerland czy poseł do Landtagu Szlezwika-Holsztynu. Jeszcze gorzej poszło światu z rozliczeniem zbrodni komunistycznych. Uważany za demokratę i twórcę pierestrojki Michaił Gorbaczow był w rzeczywistości człowiekiem współodpowiedzialnym za organizację zamachu na papieża Jana Pawła II, co w istocie stawia go w jednym rzędzie z innymi sowieckimi bandytami. Demokratyczny świat okazał się zbyt słaby moralnie, by móc jednoznacznie zdefiniować zło w przypadku obu totalitaryzmów. I wykluczyć. Okazało się, że jesteśmy relatywistami i symetrystami. Norma moralna przegrała z cynizmem.

Ale czego zabrakło konkretnie? Czy to pokłosie tej swoistej segregacji katyńskiej, gdzie została przerwana ciągłość polskiej tkanki patriotycznej, gdzie wymordowano ludzi, którzy po latach zapewne tworzyliby wielkość Polski i o taką sprawiedliwość moralną walczyli?

Elity wówczas straciliśmy na dwa sposoby. Po pierwsze, to ci, którzy zginęli, a po drugie, ci, którzy uratowali się z pożogi wojennej, ale zostali zmarginalizowani i znaleźli się na emigracji. Gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz w wolnej Polsce nie czyściłby czyichś sreber, gen. Stanisław Maczek nie byłby kelnerem, ci ludzie staliby na czele sił zbrojnych niepodległego państwa. Tymczasem w ich miejsce wyrosła hybryda „nowej inteligencji", peerelowskich wykształciuchów, którzy zawłaszczyli polską kulturę, służąc komunizmowi. Za mało było w nich polskości, by doprowadzić do całkowitego rozliczenia nawet po 1989 r., mimo że ci ludzie znaleźli się już po „właściwej" stronie. Szczególnie środowisko „Gazety Wyborczej" stało się nosicielem pomysłu, by wstydzić się polskich „izmów", by uznać w istocie, że PRL niosła jakieś większe wartości, a złe jest to, co było wcześniej. I wrzucono to do jednego wora: szowinizm, nacjonalizm, klerykalizm. Nawet warstwa słowna ma wskazywać, że to wszystko co najgorsze.

Jak nam idzie z odwracaniem tych wektorów?

Mimo trudnych warunków udało się zbudować instytucje takie jak IPN, a wszystko nabrało tempa po 2015 r. Zjednoczona Prawica wygrała w dużej mierze dzięki temu, że zaproponowała prowadzenie polityki historycznej opartej na naszym niezwykłym dziedzictwie i dumę z niego. Werdykty demokratyczne w ostatnich latach potwierdzają, że Polacy nie chcą być szczurami zamykanymi ze swoją tożsamością w jakichś klatkach. Niech swojej historii wstydzą się Niemcy czy poststalinowcy, my nie musimy. Chcemy wzlatywać w górę z dumą, a nie być ograniczani przez zbiorowy wstyd.

Czy odbudowa Pałacu Saskiego ma być swego rodzaju pieczęcią polskiej dumy? Dzieje się to przy akompaniamencie tzw. głosów pragmatycznych, że jest tyle innych potrzeb, a oni się biorą za pałace.

Mój tata, inżynier architekt Stanisław Żaryn, był jednym z najbliższych współpracowników prof. Jana Zachwatowicza, członkiem zespołu odbudowy Warszawy po II wojnie światowej. To byli polscy patrioci, którzy rozumieli, że nie można poddać się determinizmowi narzuconemu przez okupanta niemieckiego i zmowę niemiecko-sowiecką w czasie i po upadku powstania. Odbudowa Starówki, kolumny Zygmunta, Zamku Królewskiego, wielu kamienic odbywała się w bardzo ciężkim boju wpisanym w realia Polski komunistycznej, ale dzięki zespołowi ludzi nieograniczonych myśleniem racjonalnym, minimalistycznym. Wręcz przeciwnie, trzeba było uzyskać w tej sytuacji najwięcej, jak się dało. Warszawę z jej najpiękniejszymi obiektami należało odbudować, by miasto było symbolem polskiej dumy, a nie znakiem zwycięstwa okupantów, którzy postanowili o jej zniszczeniu. Myśląc o odbudowie Pałacu Saskiego, należy się odwoływać, poza argumentami architektonicznymi i estetycznymi, do tej właśnie tradycji i myślenia szerokimi horyzontami. Podkreślam słowo „maksymalizm", bo jest właściwe i pozytywne. Plany maksymalne są wpisane w narody wolne i niepodległe. Jako Polacy mamy prawo do tego, by odbudować Pałac Saski. Żeby pokazać, że Warszawa jest miastem zwycięskim, mimo że w przeszłości porażonym totalitaryzmami. Dzisiaj to my jesteśmy za nią odpowiedzialni.

eprasa.pl 7fbdb83319



Trzęsienie ziemi w polskim Kościele

Nie ma drugiego kraju na świecie, w którym za tuszowanie afer pedofilskich w tak krótkim czasie zostałoby ukaranych przez władze kościelne tak wielu biskupów katolickich, jak w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy w Polsce



GRZEGORZ GÓRNY

Przez długie lata polskich hierarchów omijały zawirowania związane z tuszowaniem afer homoseksualno-pedofilskich. Informacje o dymisjach dostojników odpowiedzialnych za zamiatanie pod dywan skandali obyczajowych docierały do nas z USA, Irlandii, Szkocji czy innych krajów Zachodu. Najbardziej spektakularnym przykładem była bezprecedensowa decyzja episkopatu Chile, który w 2018 r. w całości podał się do dymisji (Stolica Apostolska nie przyjęła zbiorowej rezygnacji, lecz każdy przypadek zbadała osobno – w efekcie spośród 34 biskupów siedmiu straciło stanowiska). Na tym tle Kościół w Polsce, mimo wciąż pojawiających się doniesień medialnych o molestowaniu dzieci przez księży, jawił się jako wolny od tego typu problemów. Do czasu...

LAWINA RUSZYŁA

Od listopada zeszłego roku sprawy nabrały niezwykłego przyspieszenia. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy aż dziewięciu polskich hierarchów katolickich zostało ukaranych przez Stolicę Apostolską. Stało się to w następstwie dochodzeń dotyczących bądź wykorzystywania seksualnego osób nieletnich, bądź zaniedbań i niewłaściwych reakcji owych biskupów na przypadki molestowania dzieci przez podległych im kapłanów.

Zaczęło się od kard. Henryka Gulbinowicza, któremu zakazano używania insygniów biskupich oraz udziału w celebracjach i spotkaniach publicznych, a także pozbawiono prawa do nabożeństwa pogrzebowego i pochówku w katedrze wrocławskiej. Później kolejne sankcje Watykanu dotknęły bp. Edwarda Janiaka, abp. Sławoja Leszka Głodzia, bp. Jana Tyrawę, bp. Tadeusza Rakoczego, bp. Stanisława Napierałę, bp. Stefana Regmunta i bp. Zbigniewa Kiernikowskiego (osobny przypadek stanowi bp Jan Szkodoń, którego oczyszczono z zarzutów o molestowanie seksualne 15-latki, lecz nałożono nań pokutę za „nierozważne zachowanie" w postaci trzymiesięcznych rekolekcji zamkniętych). Ostatnio do tego grona dołączył metropolita katowicki abp Wiktor Skworc. Nie ma drugiego kraju na świecie, w którym w tak krótkim czasie zostałoby ukaranych tak wielu hierarchów.

Wiele wskazuje jednak, że to nie koniec. Wiadomo bowiem, że trwają obecnie postępowania w sprawie kolejnych dostojników, wśród których znajdują się m.in. abp Andrzej Dzięga, bp Andrzej Dziuba, bp Henryk Tomasik, bp Andrzej Suski czy bp Janusz Stepnowski.

Nie sposób postawić znaku równości między wszystkimi powyższymi przypadkami, w których orzeczono winy hierarchów. Różne były bowiem kary oraz rozmaite sposoby ogłaszania

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7fbdb83319

wyroków. Wszystkie historie łączyło jednak podobne modus operandi. Dochodzenia odbywały się w najgłębszej tajemnicy, a werdykt Watykanu spadał niczym grom z jasnego nieba na zaskoczoną społeczność katolików. Uzasadnienia decyzji, przedstawiane przez nuncjaturę apostolską lub nasze lokalne władze kościelne, były tak enigmatyczne, że nie sposób było z nich odczytać, za co tak naprawdę ukarani zostali wspomniani dostojnicy. Najbardziej ogólnikowy z komunikatów, dotyczący kard. Gulbinowicza, do dziś dzieli archidiecezję wrocławską. Nakładał bowiem na purpurata dotkliwe kary, nie precyzując konkretnie jego winy. Rezultatem był zamęt i dezorientacja wśród wiernych. Ów stan niepewności pogłębiały kolejne pytania, na które nie było odpowiedzi. Jedno z nich dotyczy osób prowadzących dochodzenia. Nie wiadomo, czy przybywają one w tym celu z Watykanu, czy też pochodzą z Polski.

WYSŁANNIK Z WATYKANU

W jednym tylko przypadku rąbek tajemnicy został uchylony. Nie stało się to oficjalną drogą, lecz dzięki ks. Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu, który ujawnił, iż był przesłuchiwany w sprawie kard. Stanisława Dziwisza osobiście przez kard. Angela Bagnasco, który specjalnie przyleciał z Rzymu. Dopiero wtedy opinia publiczna dowiedziała się, że w Watykanie powołano specjalną komisję, na czele której stanął purpurat pełniący w latach 2007–2017 funkcję przewodniczącego Konferencji Episkopatu Włoch.

O wszystkim nie zostały poinformowane nawet władze Kościoła w Polsce. Dopiero gdy historię upubliczniły media, nuncjatura w Warszawie wydała lakoniczny trzyzdaniowy komunikat: „Na prośbę Stolicy Apostolskiej, w dniach 17–26 czerwca br., przebywał w Polsce z wizytą kard. Angelo Bagnasco, emerytowany arcybiskup Genui. Jej celem była weryfikacja sygnalizowanych, także publicznie, zaniedbań kard. Stanisława Dziwisza podczas pełnienia przez niego funkcji arcybiskupa metropolity krakowskiego (2005–2016). Kard. Bagnasco zapoznał się z dokumentami i odbył szereg spotkań, a relację z wizyty przedstawi Stolicy Apostolskiej". Wszystko wskazuje więc na to, że już wkrótce poznamy decyzję Watykanu w sprawie najwyższego rangą i najbardziej rozpoznawalnego na świecie polskiego dostojnika katolickiego.

Wydarzenia w naszym kraju są żywo komentowane w mediach kościelnych i świeckich w innych państwach. Liczni wyznawcy Chrystusa właśnie z Polską wiążą bowiem nadzieje na nową ewangelizację i „wiosnę Kościoła". Tymczasem głosu polskich duchownych dotkliwie brakuje w międzynarodowych debatach religijnych, kulturowych i cywilizacyjnych, a zamiast tego znad Wisły docierają kolejne doniesienia o skandalach pedofilskich i karach dla biskupów. Wielu zadaje sobie pytanie: jak to się mogło stać?

ZIGNOROWANY DOKUMENT

Pierwszym papieżem, który rozpoczął systemową walkę z pedofilią wśród duchowieństwa, był Jan Paweł II. W 2001 r. ogłosił on list apostolski motu proprio (czyli powstały z jego własnej inicjatywy i mający moc dekretu) „Sacramentorum sanctitatis tutela". Postanowił, że odtąd wszystkie przypadki wykorzystywania seksualnego przez księży, łącznie z nakładaniem sankcji karnych, mają być rozpatrywane przez Kongregację Nauki Wiary, która ma działać jak „trybunał apostolski". Kilkanaście dni później wspomniana Kongregacja pod przewodnictwem kard. Josepha Ratzingera wydała normy wykonawcze do papieskiego dokumentu zatytułowane „De delictis gravioribus". Nakładały one na biskupów bezwzględny obowiązek zgłaszania do Stolicy Apostolskiej wszelkich prawdopodobnych doniesień o przypadkach molestowania nieletnich przez kapłanów na terenie podległych im diecezji.

Rok 2001 stanowił niewątpliwy przełom. Do tamtego czasu w Kościele nie istniał żaden obowiązujący sposób radzenia sobie z tego typu problemami. W związku z tym poszczególni ordynariusze działali na własną rękę, kierując się różnymi kryteriami. Zazwyczaj, zgodnie z „kulturą przemilczania", afery starano się wyciszać: sprawców przenoszono w inne miejsca lub kierowano na terapie, a w niektórych krajach podpisywano ugody z ofiarami i wypłacano im odszkodowania. Od 2001 r. stało się to, w myśl obowiązującego prawa kościelnego, niemożliwe. Wyłączne kompetencje w tych sprawach przejęła Kongregacja Nauki Wiary, biskupi, którzy nie zgłosili do niej przypadków molestowania, narażali się zaś na kary. Z tego powodu w latach 2005–2013 Benedykt XVI zdymisjonował na świecie ok. 80 biskupów.

Wiele wskazuje na to, że w Polsce przez siedem lat chyba ani jeden biskup nie zgłosił do Watykanu w sposób określony przez normy z 2001 r. żadnego przypadku wykorzystywania nieletnich przez duchownych. Dopiero w 2008 r. do Rzymu wpłynęły pierwsze formalne zgłoszenia z kurii płockiej. Decyzja podjęta przez władze tej diecezji w 2007 r. wymuszona została głośnym śledztwem dziennikarskim i doniesieniami do prokuratury. Potem wokół tego typu spraw zapanowała cisza – aż do roku 2013 i skandalu w parafii na warszawskim Tarchominie. Później znów zapadło milczenie. Prawdziwe trzęsienie ziemi nastąpiło dopiero w ciągu ostatnich dwóch–trzech lat.

W związku z tym rodzi się zasadne pytanie: czy rzeczywiście po roku 2001, przez tyle lat, w całym kraju nie było ani jednego przypadku molestowania dzieci przez księży? Ostatnie wyroki Watykanu w sprawie polskich biskupów podważają taką wersję, ujawniając jedynie wycinek problemu. Ks. prof. Andrzej Kobyliński, który o homoseksualnym lobby i pedofilii klerykalnej alarmował już od 1998 r., mówi wręcz o „systemowym tuszowaniu afer" w polskim Kościele po 2001 r. O szczegółach owego zamiatania pod dywan wiemy jednak więcej z doniesień dziennikarskich niż z oficjalnych komunikatów kościelnych. Jak choćby w przypadku abp. Skworca, który jako ordynariusz diecezji tarnowskiej nie tylko nie zgłosił do Kongregacji sprawy księdza pedofila, lecz wysłał go na Ukrainę, gdzie ten kontynuował swój niecny proceder.

Wielu zadaje sobie pytanie: kto będzie następny?

eprasa.pl 7fbdb83319

Podróże z tajemnicą

Globtroter, który widział więcej niż legendarny Marco Polo, bierze pod lupę odwieczne marzenia człowieka i głośne legendy, które nie zawsze są fikcją oderwaną od rzeczywistości. Sugeruje 15 tajemniczych i intrygujących miejsc na świecie, które zasługują, aby chociaż raz w życiu je zobaczyć



Dzisiejsze wojażowanie można porównać do spożywania posiłków w fast foodach. Jest tanie, szybkie, zadowala się niezbyt smakowitymi produktami. Turystyka, która zrobiła zawrotną karierę na całym świecie, przekształciła planetę w jednolitą esencję, skazując nas na poruszanie się w imitacji autentyków. Jej konsumpcyjny charakter i wszechobecne działania marketingowe wabią do obejrzenia nie tego, co by nas interesowało, lecz wyselekcjonowanych atrakcji i zwykle powierzchownej egzotyki porównywalnej do parku rozrywki Walta Disneya. Dla wielu urlopowiczów pierwsza okazja konfrontacji miraży reklamowych folderów z rzeczywistością przynosi gorzkie rozczarowanie. Nic dziwnego, że ludzie mający chociaż minimum doświadczenia podróżniczego starają się uciec od masowej turystyki.

Synowie Adama i Ewy z pokolenia na pokolenie rozpowszechniali rozbudzające namiętności opowieści, wokół których wyrosły mity i przekazy, których tak naprawdę nie można potwierdzić ani wykluczyć. Ożywiały fantazję łowców tajemnic i poszukiwaczy skarbów, mobilizowały śmiałków do wędrówki narażonej na rozmaite niebezpieczeństwa. Właśnie dzięki takim dociekliwym osobnikom odkrywano nowe ziemie i niezgłębione historie. Przypomnijmy Atlantydę, mityczny kontynent za Słupami Heraklesa, Lemurię – hipotetyczny zatopiony kontynent na Oceanie Indyjskim, wszechwładną królową pustynnej krainy Saby z ksiąg biblijnych, zamieszkały przez nimfy mitologiczny ogród Hesperyd, czy choćby budzący od wieków wiele kontrowersji, czczony przez chrześcijan święty kielich Graal, przedmiot pożądania badaczy utraconych cywilizacji. Ponadto starożytne ruiny wzniesione na wyspach Salomona przez nieznaną, acz bardzo rozwiniętą cywilizację, albo Hiperboreę, utopijną grecką krainę wiecznej szczęśliwości.

Człowiek zafascynowany od niepamiętnych czasów nieznanym z niedoścignioną odwagą podejmował wyzwania, aby dotrzeć do

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fbdb83319

najdalszych zakątków planety, stawiając czoła spiekocie i polarnym temperaturom. Nienasycony smak przygody i atmosfera niedostępności drzemią w każdym z nas. Nic tak nie potęguje ludzkiej zadumy, jak jakieś osobliwe, jedyne w swoim rodzaju miejsce. Od starożytnych egipskich piramid po świątynny kompleks Angkor, czy przepadłe pod piaskami pustyni Taklamakan, miasta ze swoimi pogrzebanymi skarbami, których sekrety wzbudzają emocje i napełniają nabożnym zdumieniem.

Mity, zjawiska nadprzyrodzone, science fiction, wszystko, co jest magiczne i niewyjaśnione, działa na wyobraźnię i przenosi w inny świat. Stanowi intelektualną odskocznię od zracjonalizowanego, coraz bardziej technicyzującego się świata. Spójrzmy na El Dorado, jeden z najbardziej wabiących mitów w historii ludzkości, który nie przestaje intrygować.

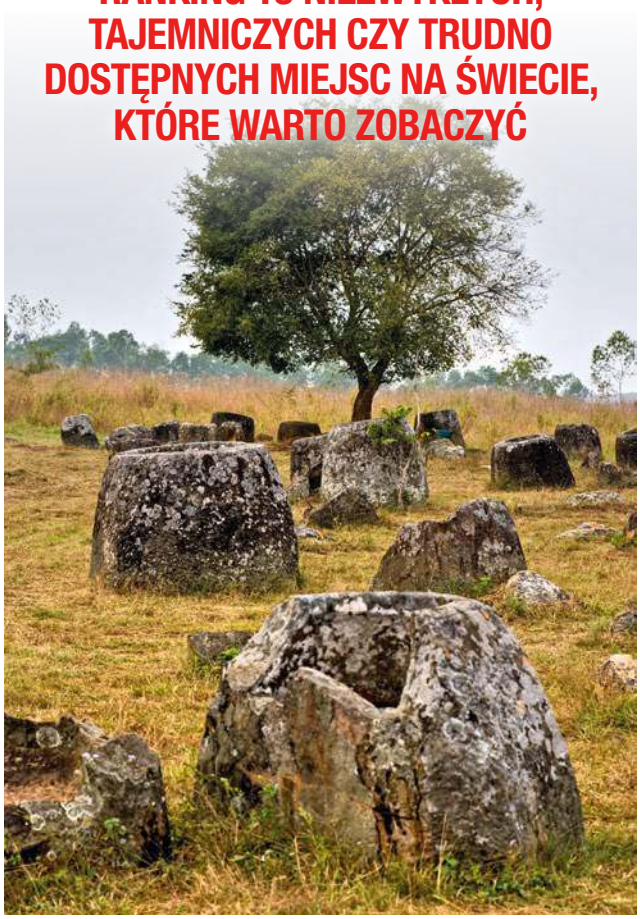
Wielkie legendy, które ugruntowały się od pokoleń w powszechnej świadomości, nie zawsze są fikcją oderwaną od rzeczywistości. Archeologia już niejednokrotnie uwiarygodniła, że delikatna linia pomiędzy faktem i wymysłem często ulega zatarciu. Dwie dekady temu, dysponując nowoczesnymi zdobyczami technologii, usiłowałem rozwiązać jedną z największych tajemnic Inków – lokalizację ukrytego w dżungli amazońskiej legendarnego Paititi, „ciudad perdida" – zaginionego miasta utożsamianego z legendarnym El Dorado. To tam ukryte zostały skarby i dorobek kulturowy Inków eksterminowanych bezlitośnie przez Francisca Pizarra, który z garstką 170 żołnierzy dokonał bezprecedensowego podboju jednego z największych imperiów ówczesnego świata.

Rozległy dziewiczy region szczyci się ponurą sławą ze względu na śmierć tysięcy romantycznych poszukiwaczy fantasmagorycznego miasta. Największą tragedią okryła się wyprawa konkwistadora Gonzala Jiméneza de Quesady, w której zginęło 250 Hiszpanów i prawie 1,5tys. lokalnych tragarzy. Sensacją było też tajemnicze zaginięcie w 1925 r. brytyjskiego pułkownika Percy'ego Fawcetta. Kilka lat przed nami tragicznie zakończyła się francusko-amerykańska ekspedycja kierowana przez Serge'a Debru. Prawdopodobnie jej członkowie zginęli z rąk cieszących się złą sławą Indian Huapakores, bezpośrednich potomków Inków, rzekomo posiadających do spełnienia posłannictwo ochrony starożytnej aglomeracji. My też przegraliśmy z nieprzyjazną amazońską dżunglą, wrogością tubylczych plemion, zabójczym klimatem i własną słabością. Niektórzy uważają, że to lepiej, bo w chwilach kiedy zawodzi codzienność, człowiek chętnie ucieka w świat fantazji, snując marzenia o jakiejś „wyspie skarbów", która nęci i rozpala wyobraźnię, bez względu na jego wiek, pochodzenie czy pozycję socjalną. Pozbawiony tego snu poczułby się zawiedziony w swojej podświadomości.

Popularność fantastyki poświadczają sukcesy literackie „Władcy Pierścieni" czy rodzimej „Sagi o wiedźminie" Andrzeja Sapkowskiego. A także toczące się w fikcyjnym świecie gry fabularne, w których gracze wcielają się w role wirtualnych postaci. Równe 40 lat temu na premierze filmu „Poszukiwacze zaginionej arki" Stevena Spielberga narodził się najsłynniejszy archeolog świata, Indiana Jones. Charyzmatyczny, o niepowtarzalnym uroku poszukiwacz skarbów, którego mrożące krew w żyłach i stymulujące wyobraźnię przygody stały się oknem na świat fantazji i sensacyjnych zdarzeń, po raz piąty wraca do roli nieustraszonego archeologa. Dołącza do tego nurtu także nowoczesna technologia. Aplikacja laserowego urządzenia Lidar pozwala dzisiaj lepiej poznać legendarne miejsca, w których niegdyś kwitły potężne cywilizacje. Pomaga szukać złotego miasta pokoju i harmonii: Camelotu, pradawnego raju Edenu, albo odkryć misterium rysunków naskalnych w Australii.

Postanowiłem, a nie było to proste zadanie, dokonać osobistego, wynikającego z doświadczenia eksploratorskiego, wyboru najbardziej intrygujących, enigmatycznych miejsc, w których rzeczywistość ociera się o legendę i które ze względu na swoją odrębność i wyjątkowość często znajdują się w centrum badań naukowców.

RANKING 15 NIEZWYKŁYCH, TAJEMNICZYCH CZY TRUDNO DOSTĘPNYCH MIEJSC NA ŚWIECIE, KTÓRE WARTO ZOBACZYĆ

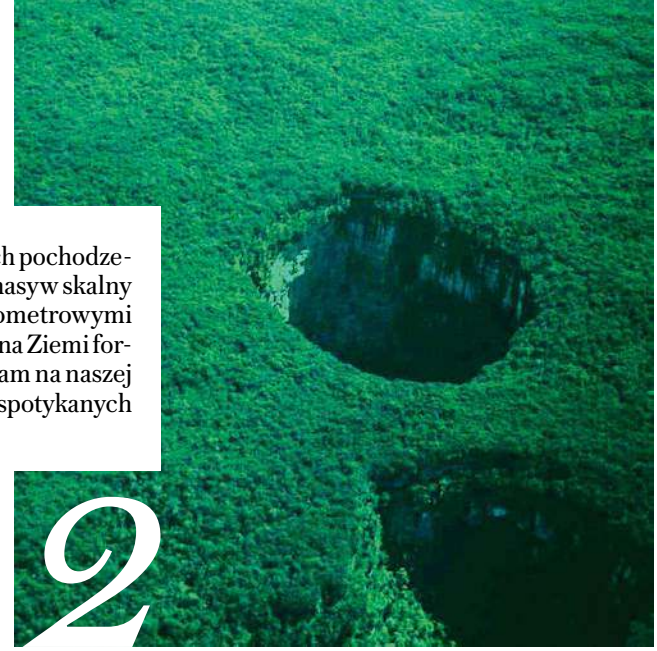


Zdjęcia Archiwum Autora

1 DOLINA AMFOR *(Laos)*

Krajobraz wokół Phonsavan jest usiany setkami kamiennych amfor sprzed 2 tys. lat, których pochodzenie przyprawia badaczy o ból głowy. Najbardziej prawdopodobną hipotezą o funkcji granitowych kolosów o wysokości 2 m i wadze kilku ton jest obrządek rytualny. Ten owiany do dziś tajemnicą archeologiczny rarytas doskonale wpisuje się w zagadkowy czar egzotycznego świata Indochin, jego mit egzotyki i błogiej egzystencji na łonie klimatu monsunowego.

eprasa.pl 7fbdb83319



2 TEPUI SARISARINAMA *(Wenezuela)*

Jedna z kilkudziesięciu trudno dostępnych gór stołowych, których pochodzenia nauka jeszcze nie potrafi logicznie wytłumaczyć. Potężny masyw skalny o płaskim wierzchołku, wznoszący się pionowymi, prawie kilometrowymi ścianami ponad dziewiczy las amazoński, należy do najstarszych na Ziemi formacji geologicznych, stanowiących jedną z ostatnich białych plam na naszej planecie. W studni o głębokości 350 m wykształciło się wiele niespotykanych gdzie indziej osobliwych form świata roślinnego i zwierzęcego.



3 WĘDRUJĄCE KAMIENIE *(USA)*

W sercu kalifornijskiej Doliny Śmierci dawno już odkryto enigmatyczne kamienie, które samodzielnie, pchane niewidzialną siłą, poruszają się po powierzchni ziemi. Dopiero kilka lat temu naukowcy rozwiązali tę zagadkę. W nocy temperatura spada tam poniżej zera, dochodzi wtedy do zamarzania powierzchni i utworzenia na niej cienkiej warstwy lodu. Wówczas silne wiatry wiejące w dolinie przesuwają po śliskiej lodowej powierzchni nawet ciężkie kamienie.

4 KRATER DARVAZA *(Turkmenistan)*

Miejscowi nazywają to miejsce „Bramą piekieł". 50 lat temu, poszukując ropy naftowej, natrafiono na wielką komorę wypełnioną gazem ziemnym. W obawie, że może ona mieć katastrofalny wpływ na środowisko, zespół naukowców zaplanował pożar i kontrolowane spalenie w ciągu kilku tygodni gazu i powrotu do wydobycia, kiedy zostanie całkowicie spalony. Kalkulacje okazały się błędne, w kraterze ogień nadal płonie i nic nie wskazuje na to, że przestanie w najbliższej przyszłości.





5 KOPALNIA SOLI W WIELICZCE *(Polska)*

Wizyta tutaj przypomina wyprawę Juliusza Verne'a w głąb Ziemi. Kopalnia z XIII w. została jako jeden z pierwszych 12 obiektów na świecie wpisana w 1978 r. na listę miejsc światowego dziedzictwa sporządzoną przez UNESCO. Skrywa surrealny świat atrakcji turystycznych. To podziemne solankowe jeziora, rzeźby, kaplice, kościół ozdobiony ogromnymi solnymi żyrandolami, sale balowa i koncertowa, a nawet sanktuarium i uzdrowisko.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 7fbdb83319

6 WYSPA WIELKANOCNA *(Chile)*

Pośród wodnych bezmiarów Pacyfiku, 3,6 tys. mil od wybrzeży Chile, leży najbardziej izolowana wyspa świata. Zdumiewa potężnymi kamiennymi posągami Moai, powstałymi na początku nowej ery. To kilkaset kuriozalnych figur ze sprasowanego popiołu wulkanicznego bądź bazaltu, które ukazują powstanie i upadek cywilizacji Polinezyjczyków. Być może są to kamienne wyobrażenia przodków, ale naukowcy jeszcze nie rozwiązali do końca tej niewiadomej.



7 STONEHENGE *(Wielka Brytania)*

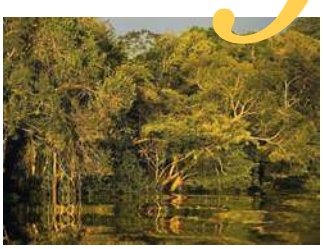
Nazwa swoistego kompleksu zabytków prehistorycznych oznacza „kręgi kamienne". To megalityczne, sprzed 3 tys. lat miejsce, pełne mistycyzmu z pogranicza legend i tradycyjnych wierzeń, nikogo nie pozostawia obojętnym. Kiedyś uważane było za dzieło szatana, obecnie uznaje się, że budowa jest oczywiście wynikiem ludzkiej pracy. Jedna z hipotez mówi, że była to nekropolia pełniąca funkcje kultowe, inna, że służyła jako obserwatorium astronomiczne. Naukowcy nie do końca potrafią wyjaśnić jego znaczenia.

8 QUINTA DA REGALEIRA *(Portugalia)*

Studnia Inicjacji, znana również jako Odwrócona Wieża, symbolizuje zejście do piekła przez kręgi Dantego. To wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO – niezwykłe, poruszające fantazję miejsce, pełne jest ukrytych symboli związanych z alchemią, zakonem templariuszy. Wykorzystywane było do odprawiania masońskich rytuałów. Jego popularność wzrosła po ukazaniu się w kinach mrocznego thrillera Romana Polańskiego „Dziewiąte wrota".



9 KANAŁ CASIQUIARE *(Wenezuela)*



Odgałęzienie Orinoko, jedyny taki na świecie kuriozalny fenomen geograficzny. Naturalny kanał długości 320 km wpadający do Rio Negro łączy, poprzez dział wodny, dwa ogromne systemy rzeczne: Orinoko i Amazonki. Potwierdził to 140 lat temu ojciec współczesnej geografii Alexander von Humboldt, który zbadał geograficzne monstrum i swoim autorytetem ostatecznie przypieczętował odkrycie bifurkacji Orinoko.

eprasa.pl 7fbdb83319



10 JIUZHAIGOU *(Chiny)*

Słynny ze swojej malowniczości rezerwat przyrody w prowincji Syczuan kusi reklamowym hasłem „raju na ziemi". To góry, turkusowe, krystalicznie czyste jeziora, wodne kurtyny ogromnych wodospadów oraz dominująca puszcza gigantycznych bambusów, która z biegiem lat przybrała nazwę ponadczasowego zielonego płuca Chin. Położona w zawsze spowitym mgłą głębokim i trudno dostępnym wąwozie przedstawia niepokojącą i tajemniczą atmosferę, będącą niewyczerpanym źródłem legend.



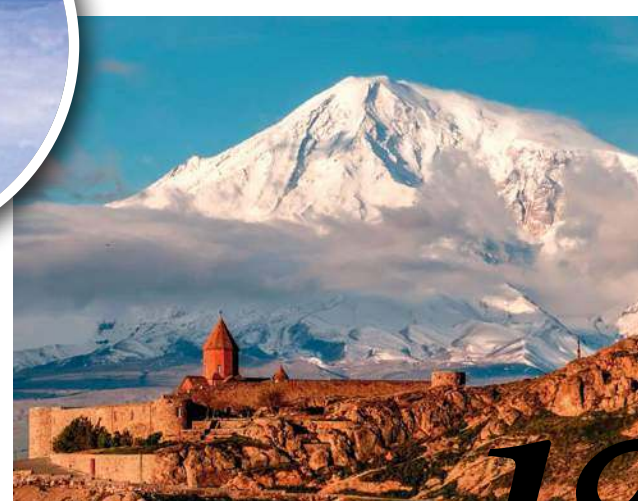
11 RYSUNKI Z NAZCA *(Peru)*

Odkryte z powietrza w 1927 r. geoglify, kilkanaście tysięcy imponujących linii tworzących ok. 800 wzorów zwierząt, roślin i figur geometrycznych, będących dziełem kultury Nazca, stanowią nieprzeniknioną, odległą w czasie zagadkę archeologiczną. Wśród różnych tez archeologów i miłośników UFO wysuwana jest teoria niemieckiej uczonej Marii Reiche, która uważała, że wzory mają związek z obserwacjami astronomicznymi i były wykorzystywane do określania pory siewu i zbiorów.

12 SALAR DE UYUNI *(Boliwia)*



To jedno z tych miejsc, które przekracza jakiekolwiek wyobrażenia i wymyka się wszelkim opisom. Położona na wysokości 3653 m n.p.m. unikatowa na skalę światową pustynia solna, pozostałość po istniejącym w plejstocenie słonym jeziorze. Rozciągająca się po horyzont oślepiająca śnieżnobiała tafla idealnie współgra z niewiarygodnym błękitem nieba, podczas gdy na horyzoncie rysują się niczym fatamorgana blade kształty wulkanów.



13 ARARAT *(Turcja)*

Ta zakorzeniona głęboko w tożsamości Ormian zjawiskowa góra jest symbolem ich kraju, początkiem narodu. Wygasły wulkan stanowi niepowtarzalne wyzwanie dla poszukiwaczy prawdziwych przygód. Opisany w Biblii, czyli w najstarszej księdze świata, kataklizm jako kara za grzechy uważany jest od niepamiętnych czasów za wiarygodny opis. Poszukiwania szczątków arki Noego nadal trwają. Zwolennicy dosłownej interpretacji Biblii do dzisiaj próbują znaleźć dowody na to, że właśnie tam miała ona osiąść.

SOSSUSVLEI *(Namibia)*

W środku pustyni Namib uwagę przyciąga otoczone majestatycznymi wydmami solnisko Deadvlei, czyli Dolina Śmierci. Z białej spękanej ziemi wyrastają robiące piorunujące wrażenie czarne skamieniałe kikuty uschniętych akacji. Wyglądają dramatycznie na tle monstrualnych czerwonych wydm.



W miejscu magicznej cmentarnej krainy nieużytecznego, lecz niezrównanego piękna, 1000 lat temu była woda, było zielono i krajobraz zupełnie nie przypominał tego z czasów obecnych.

15 KARA BOGAZ GOŁ *(Turkmenistan)*

Największe na świecie złoża mirabilitu mającego zastosowanie przy wyrobie środków piorących, szkła, farb i papieru. Najbardziej bezlitosne środowisko naturalne na świecie. Rozpalone słońce, oślepiająca biel rozległego bezludzia oraz obezwładniające, przesycone solą powietrze rozgrzane niczym w hutniczym piecu przypomina scenę z apokaliptycznego świata.

Jacek Pałkiewicz



Reklama | 3/0821/F

eprasa.pl 7fbdb83319

NARODOWY BANK POLSKI



ŚWIAT O NBP

L'OPINION

Mimo że decyzje podejmowaliśmy bardzo szybko i w warunkach ogromnej niepewności, dziś możemy już stwierdzić, że bez wątpienia zapewniły one skuteczne wsparcie dla polskiej gospodarki. Ten sukces znalazł odzwierciedlenie przede wszystkim w danych o PKB, zgodnie z którymi spadek produktu krajowego był w Polsce ponad dwukrotnie mniejszy niż średnio w Europie.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, „Stabilisation et défis après la pandémie", *L'Opinion*, 25.06.2021 r.

FINANCIAL TIMES

Nasze podejście podobne jest do podejścia Rezerwy Federalnej czy EBC – czekamy, aż ożywienie gospodarcze się ugruntuje. [...] I na pewno się nie zawahamy – będziemy działać natychmiast, jak tylko będzie to konieczne.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, „Inflation data not worrying, says Poland's central bank chief", *Financial Times*, 4.07.2021 r.

NASDAQ.COM

[...] określenie optymalnej strategii wyjścia z działań niekonwencjonalnych w polityce pieniężnej jest nie lada wyzwaniem. Można jednak z całą pewnością powiedzieć, że proces ten – zarówno na świecie, jak i w Polsce – powinien być mądrze rozłożony w czasie i postrzegany jako element ciągłości polityki banku centralnego.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, „Polish c.bank governor says exit from unconventional policy should be gradual", *Nasdaq.com*, 25.06.2021 r.

CAPITAL FINANCE INTERNATIONAL

Pomimo zakupu znacznych zasobów złota w ostatnim okresie, NBP nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w tej sprawie. Strategia zarządzania rezerwami walutowymi NBP zakłada dalsze zwiększanie zasobów złota, a skala i tempo tego procesu będą zależały od dynamiki oficjalnych aktywów rezerwowych i uwarunkowań rynkowych.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, „Investing for the long-term: gold as a pillar of NBP's reserve management strategy", *Capital Finance International (CFI.co)*, 2.07.2021 r.

REUTERS

W warunkach wysokiej niepewności związanej z kolejną falą pandemii i jej wpływem na polską gospodarkę nie należy się spieszyć z ewentualnymi decyzjami o zaostrzeniu polityki monetarnej [...] Dzisiaj najlepszym rozwiązaniem dla polskiej gospodarki jest utrzymywanie stóp procentowych NBP na niezmienionym poziomie i kontynuowanie pozostałych działań NBP.

„No need to hurry with rate hike, Polish c.bank governor says", *reuters.com*, 20.07.2021 r.

eprasa.pl 7fbdb83319



Spotkanie Swiatłany Cichanouskiej z prezydentem USA Joem Bidenem

Quo vadis, Białorusi?

Temat białoruski zszedł z czołówek światowych mediów i zaczął żyć własnym życiem, znanym tylko części obywateli Białorusi oraz specjalistom od spraw wschodnich. Czy ktoś pamięta jeszcze o tym, kim jest Pratasiewicz? W Polsce padnie zapewne pytanie „Który Pratasiewicz?". Taka jest logika dzisiejszego świata mediów, w którym informacja żyje dzień, dwa i jest wypierana przez kolejną. Zwłaszcza w czasach gdy historia się obudziła, a o zapowiadanym kilka dekad wcześniej jej końcu nikt nie wspomina

Swiatłana Cichanouska spotkała się z Joem Bidenem i powiedziała, że „rozmawiało się mile i spokojnie...". Widocznie poważnych tematów nie poruszono, a byłoby warto, bo to najwyższy czas w obliczu „nowego Monachium" lub „nowej Jałty", jak się komu podoba.

Po 2020 r. sytuacja Białorusi jest fatalna. Łukaszenka walczy o własną pozycję w obecnym lub przyszłym systemie władzy, nie gardząc żadnymi środkami, w tym hybrydową migracją czy piractwem powietrznym. Daje mu to inicjatywę polityczną, dzięki której nadal jest postrzegany przez elity lokalne oraz rosyjskie jako lider. Ale cena tego stanowiska wzrasta w tempie aukcji. Musi podwyższać stawkę i za każdym razem nie wiadomo, co jeszcze może uczynić, którą kolejną barierę przełamać.

W tej rozpaczliwej walce jest o wiele bardziej uległy wobec Moskwy, a to był przecież cel Kremla w trakcie operacji „wybory 2020 r. na Białorusi". Zmiana przywództwa w Mińsku była możliwa, ale niekonieczna. Łukaszenka może zostać, ale ma być całkowicie podporządkowany Moskwie.

Białoruś cały czas znajduje się w defensywie. Rosja wywiera presję na Łukaszenkę, Łukaszenka prowokuje i niszczy resztki mediów i grup dysydentów, by wykazać się wobec Rosji. Biełsat został wpisany na listę kanałów ekstremistycznych na Białorusi. Może teraz w końcu zacząć myśleć o skutecznej polityce Polski wobec Białorusi, a nie tylko o polityce demonstracji? O polityce, której miernikiem jest rezultat, a nie efektowność. Przykładem takiej skutecznej polityki było uwolnienie członkiń Związku Polaków na Białorusi, pań Paniszewej, Biernackiej i Tiszkowskiej.

Białoruś nie ma za wiele opcji w obecnej sytuacji geopolitycznej. Jest w zasa-

eprasa.pl 7fbdb83319

dzie skazana na bycie w strefie wpływów Rosji, która raczej rośnie, niż maleje. W sytuacji, w której Moskwa czuje się na siłach rozszerzać swe wpływy we wszystkich krajach Europy Środkowej, nie ma miejsca na zmianę na Białorusi. Dla wszystkich już rok temu było jasne, że nowy lider Białorusi musi się ułożyć z Rosją i dobrze, jeśliby mu się to udało nie gorzej niż Łukaszence. Ale wymiana przywództwa nie nastąpiła.

Przykryta covidem recesja nie daje dodatkowych szans na rozwój Białorusi. Wielu mówi: „Ach, jakież to fajne pokolenie Białorusinów wyrosło... są tacy wyedukowani, ogarnięci etc.". Co z tego, skoro warunki polityczne i gospodarcze nie pozwolą na wybicie się tego potencjału. Na razie widzimy, jak najlepsi z tego pokolenia opuszczają Białoruś, prawdopodobnie na długo, jeśli nie na zawsze.

NIC SIĘ NIE ZMIENIA

Mój dalszy krewny, ojciec rodziny wielodzietnej, członek Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji, zamierza wyjechać na Ukrainę. Różnimy się co do oceny sytuacji politycznej na Białorusi. On szczerze i aktywnie popiera ruch zmian i wierzy w jego zwycięstwo. Tym niemniej nie widzi teraz możliwości dalszej walki na Białorusi, także perspektyw rozwoju dla własnej rodziny. Nie potępiam go ani nie cieszę się z jego decyzji. Ale to wszystko pokazuje, w jakim impasie znajduje się teraz Białoruś.

Nowa opozycja białoruska zamieniła dawną w starych fotelach Wilna i Warszawy. Mam wrażenie déjà vu, zmieniają się dekady, a nic się nie zmienia. To samo, co w 1996, 2001, 2006... Podobne deklaracje, te same pomysły sankcji, rozmowy z zachodnimi politykami, w końcu spory i niesnaski. Żadnej skuteczności i pomysłu, jaką Białoruś chcą budować. Bo przecież w polityce międzynarodowej nie wystarczy koncentrować się na kwestiach proceduralnych, falach protestu i represjach, należy także zarysować perspektywę dla Białorusi, również w kontekście geopolitycznym.

Co prawda problem wydaje się szerszy, nie dotyczy tylko opozycji. Znaczna część prostych obywateli Białorusi chce widzieć Swiatłanę Cichanouską na czele własnego państwa, nie zadając pytań o jej przeszłość, powiązania, wykształcenie, zdatność do zarządzania państwem oraz o pomysł na Białoruś itd., dokładnie tak samo jak 27 lat temu (pamiętam to z autopsji) gromadnie szli głosować na Aleksandra Łukaszenkę, wtedy zwykłego przewodniczącego PGR, nie zadając mu tak skomplikowanych pytań.

> Zwycięstwa nie da się osiągnąć w perspektywie jednej generacji, ale kilku. Dlatego tak ważny jest rozwój kultury i języka białoruskiego. A tu jest dużo do odrobienia, przecież nawet wśród protestujących język białoruski był jakością ledwo zauważalną. Wydaje mi się, że właśnie ta przynależność do „ruskiego miru" w sensie językowo-kulturowym jest największym problemem Białorusi

PROGRAM NA LATA

Nadzieja na podmiotowość Białorusi jednak pozostaje. Pozostaje w związku z tym, czy taką podmiotowość utrzyma Polska, a wraz z nią kraje bałtyckie i Ukraina. Sytuacja nie jest prosta, ale nie jest bez szans. Siłom niepodległościowym na Białorusi warto przestawić się na operację „Przetrwanie". Należy zająć się pracą u podstaw, edukacją i wzmocnieniem własnego stanu posiadania. Podobne myślenie zwyciężyło w Polsce, po porażce powstania styczniowego i taka praca społeczna w końcu przyniosła swój efekt w odzyskaniu niepodległości w 1918 r.

Może warto mniej działać politycznie, a bardziej zająć się polityką w jej głębszym znaczeniu. Zwycięstwa nie da się osiągnąć w perspektywie jednej generacji, ale kilku. Dlatego tak ważny jest rozwój kultury i języka białoruskiego. Tym bardziej że tutaj jest dużo rzeczy do odrobienia, przecież nawet wśród protestujących język białoruski był jakością ledwo zauważalną. Wydaje mi się, że właśnie ta przynależność do „ruskiego miru" w sensie językowo-kulturowym jest największym problemem Białorusi. Tu należałoby skupić wszystkie siły, by z tego wyjść.

Zmiana kodu kulturowego zaowocowałaby zmianami politycznymi, a nie na odwrót. Nie może być tak, że osoba, która jest stale obecna w rosyjskojęzycznej przestrzeni, chłonąca informacje (jeśli to można tak określić) w dużej mierze ze źródeł rosyjskich, jest w stanie obiektywnie spojrzeć na sytuację Białorusi. Po takim nasyceniu propagandą nie będzie miała zastrzeżeń do tego, że wieloletni menedżer systemu bankowego Gazpromu reprezentuje białoruską rację stanu. Będzie mówiła, że protest białoruski to nie jest kwestia geopolityczna, będzie wymagała od swoich kandydatów, by układali się z Rosją na lepszych niż Łukaszenka warunkach. Pytanie tylko, czy to w ogóle jest możliwe?

Aby coś się na Białorusi zmieniło, potrzeba takich liderów, takich polityków, którzy mają wizję przyszłej Białorusi, która po transformacji nie ulegnie natychmiastowej deindustrializacji, ale zachowując swój potencjał przemysłowy, jest w stanie dalej się rozwijać. Białorusi potrafiącej bronić swoich eksporterów przed bezwzględną konkurencją, nieprzebierającą w środkach, będącej w stanie oprzeć się wrogiemu przejęciu swojego gospodarczego potencjału. I warto tu zauważyć, że na ten moment czekają nie tylko na Wschodzie...

Aleksander Stralcov-Karwacki

Fot. fot President Biden/twitter

eprasa.pl 7fbdb83319



MAREK BUDZISZ



Geneza pandemii

Wszystkich zbiegów okoliczności, zastanawiających zbieżności miejsca i czasu oraz związków przyczynowo-skutkowych jest zbyt wiele, aby nadal uparcie dowodzić, że pandemia COVID-19 nie ma nic wspólnego z badaniami prowadzonymi w Instytucie Wirusologii w Wuhan

„Nadszedł czas, aby rząd Stanów Zjednoczonych użył wszystkich narzędzi, jakimi dysponuje, aby odkryć pełną prawdę o tym, jak powstał ten wirus" – powiedział Michael McCaul, republikański członek Izby Reprezentantów z Teksasu, który kierował grupą ekspertów przygotowujących raport na temat laboratorium w Wuhan i genezy pandemii COVID-19. Raport został opublikowany na początku sierpnia, a McCaul rozpoczął kampanię medialną. Występując w stacji telewizyjnej Fox, wprost oskarżył Komunistyczną Partię Chin i siły zbrojne o to, że te najpierw „igrały z ogniem", modyfikując genetycznie wirus w laboratorium w Wuhan, a potem zorganizowały „największą w historii ludzkości" operację dezinformacji i tuszowania prawdy, aby uniemożliwić odkrycie genezy epidemii COVID-19, na którą zmarło już na świecie wg oficjalnych danych ponad 4,2 mln ludzi.

Chińskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych napisało w specjalnym oświadczeniu, że raport McCaula jest „całkowicie oparty na wymyślonych kłamstwach i zniekształconych faktach, bez dostarczania jakichkolwiek dowodów i nie jest wiarygodny ani naukowy". Jednak media na świecie, w tym nawet w Rosji, zaczęły pisać, że teoria o sztucznym pochodzeniu wirusa, który wydostał się z laboratorium w Wuhan, staje się coraz bardziej prawdopodobna. Dwa tygodnie wcześniej CNN, powołując się na źródła w amerykańskich służbach specjalnych, informowała, że „teoria o sztucznym pochodzeniu wirusa z laboratorium z Wuhan" staje się coraz bardziej prawdopodobna, a dziennikarze zauważyli też zaostrzenie tonu przedstawicieli administracji Joego Bidena wobec Pekinu w tej kwestii. Jake Sullivan, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego amerykańskiego prezydenta, zagroził Pekinowi, że ten „znajdzie się w międzynarodowej izolacji", jeśli nadal będzie blokował odkrycie prawdy na temat genezy pandemii COVID-19.

PANI GENERAŁ WKRACZA DO AKCJI

Raport Michaela McCaula oparty na powszechnie dostępnych źródłach, takich jak artykuły prasowe, wywiady, materiały internetowe etc., traktuje o obu tych sprawach. Jego autorzy szukają odpowiedzi na pytanie, co stało się w Wuhan i w jaki sposób na te wydarzenia zareagowały władze Chin. Dochodzą oni do wniosku, że coś wydarzyło się w Wuhan we wrześniu 2019 r. w laboratorium pracującym nad mutacjami genetycznymi wirusów pobranych u dziko żyjących nietoperzy. Przytaczają wiele informacji, które niczym elementy mozaiki złożone razem wskazują na zaistnienie w chińskim laboratorium sytuacji kryzysowej, a następnie opisują sekwencję działań władz chińskich starających się zatuszować to, co się stało. Jakie wydarzenia mają na myśli?

Otóż w nocy 12 września 2019 r. dostępna wcześniej baza danych Instytutu Wirusologii z Wuhan, w której znajdowały się próbki i sekwencje wirusów pobranych u nietoperzy i innych dzikich zwierząt, w tym wirusa SARS-CoV-2, została przestawiona w tryb off-line. Do dziś nie wyjawiono powodów tego kroku. Niemal w tym samym czasie instytut, w którym pracowano nad próbkami wirusa, ogłosił kilka prze-

eprasa.pl 7fbdb83319



Fot. Koki Kataoka/Yomiuri/The Yomiuri Shimbun via AFP

targów o łącznej wartości 2 mln dol. na modernizację systemu wentylacji i postępowania z odpadami niebezpiecznymi. Autorzy raportu zwracają też uwagę na to, że w grudniu 2019 r. na czele Instytutu Wirusologii stanęła gen. Chen Wei, specjalistka w zakresie broni biologicznej i chemicznej, co ich zdaniem potwierdza tylko, że w Wuhan realizowano i zapewne nadal realizuje się tajny program wojskowy, a sam instytut w sytuacji kryzysowej, w jakiej znajdował się w tym czasie, został podporządkowany bezpośrednio chińskim siłom zbrojnym.

Wątpliwości co do zakresu badań w Wuhan sygnalizowali już wcześniej przedstawiciele francuskiego wywiadu. Jego eksperci, którzy analizowali sprawę w związku ze współfinansowaniem przez Paryż chińskiego laboratorium, doszli do wniosku, że liczba zamówionych specjalistycznych kombinezonów ochronnych znacznie przewyższa potrzeby znanych programów badawczych i nie można wykluczyć, że w Wuhan „pracuje się jeszcze nad czymś innym". Jednocześnie analizując satelitarne zdjęcia parkingów przed szpitalami w Wuhan, autorzy raportu doszli do wniosku, że już we wrześniu 2019 r., a zatem długo, zanim Pekin oficjalnie poinformował o pandemii, można mówić o znacznie większej, ponadstandardowej ich aktywności, co oznacza znaczne zwiększenie liczby chorych. Wszystkie te szpitale znajdowały się w promieniu 6,5 km od Instytutu Wirusologii.

Niemała grupa sportowców uczestniczących w odbywających się w Wuhan w październiku 2019 r. 7. Światowych Wojskowych Igrzyskach Sportowych uskarżała się zarówno w ich czasie, jak i po powrocie do domu na dziwną i nieznaną wcześniej infekcję, której się nabawili, przebywając w Chinach. Sportowcy z przynajmniej czterech krajów (Francja, Włochy, Szwecja i Brazylia), które stwierdziły post factum przypadki infekcji COVID-19 u siebie, zanim pojawiły się pierwsze oficjalne doniesienia o pandemii z Chin, uczestniczyli w tych igrzyskach i to oni, zdaniem autorów raportu, mogli, nie wiedząc o tym, rozwieźć wirusa po świecie.

WIRUS GENETYCZNIE MODYFIKOWANY

Wszystkich zbiegów okoliczności, zastanawiających zbieżności miejsca i czasu oraz związków przyczynowo-skutkowych jest zbyt wiele, aby nadal uparcie dowodzić, że pandemia COVID-19 nie ma nic wspólnego z badaniami prowadzonymi w Instytucie Wirusologii w Wuhan.

Tym bardziej że w czerwcu br. dziennik „The Wall Street Journal" ujawnił, iż od 1992 r. na świecie przeprowadzono przynajmniej 11 eksperymentów z modyfikowanymi genetycznie koronawirusami. Naukowcy celowo wzmacniali śmiertelność badanych wirusów, zmieniając ich kod genetyczny, bo tego rodzaju posunięcia ułatwiały im poszukiwanie skutecznych leków. W opublikowanych w czerwcu tego roku wynikach badań grupy mikrobiologów pod kierunkiem Bruna Coutarda z Marsylii znajdują się informacje na temat genetycznych manipulacji z wirusem, który wywołał pandemię COVID-19. Francuscy eksperci odkryli sekwencję genów CGG, które ich zdaniem nie występują w stanie naturalnym, zwrócili też uwagę na niecodzienne cechy wirusa. Otóż w normalnych warunkach inne koronawirusy ewoluują od formy mniej zaraźliwej do szybciej rozprzestrzeniającej się postaci. Jeśli zaś chodzi o wywołującego COVID-19 wirusa, nic takiego nie miało miejsca, co wygląda na to, że w tym przypadku przeskoczono długi okres ewolucji oraz adaptacji i to też jest argumentem na rzecz tezy, iż były tu jakieś manipulacje genetyczne. Co ciekawe, opublikowane w lutym 2020 r. wyniki badań zespołu Shi Zhengli z Instytutu Wirusologii w Wuhan, w których ujawniono część genomu wirusa, sekwencja, która przez Francuzów uznana została za sztucznie zmodyfikowaną, akurat pomijają.

Amerykańscy eksperci, którzy przygotowali raport firmowany przez kongresmana McCaula, zauważają, że w Wuhan co najmniej od początku tego tysiąclecia prowadzono badania nad sztucznie modyfikowanymi genetycznie koronawirusami, w których uczestniczyli również specjaliści ze Stanów Zjednoczonych. W tym kontekście pojawia się nazwisko Petera Daszaka,

eprasa.pl 7fbdb83319

kierującego zarejestrowanym w Nowym Jorku NGO-sem EcoHealth Alliance. W ich opinii Daszak nie tylko uczestniczył w tajnym programie, lecz również, współdziałając z Chińczykami, dezinformował światową opinię publiczną co do genezy pandemii i powinien w związku z tym stanąć przed sądem.

Rola Daszaka zaznaczyła się szczególnie jasno w trakcie kierowanej przez niego na początku tego roku misji naukowców w Wuhan, która odbywała się pod egidą Światowej Organizacji Zdrowia i miała dać odpowiedź na pytanie o genezę pandemii. Już wówczas argumentowano, że naukowcy przybyli do Wuhan zbyt późno. „Negocjowanie możliwości prowadzenia dochodzenia w Chinach zajęło im cały rok" – powiedział dziennikowi „The Washington Post" Lawrence Gostin, profesor polityki zdrowotnej na Uniwersytecie Georgetown. „To tak, jakby doszło do morderstwa i rok później wracasz na miejsce zbrodni, po tym jak zostało ono wyczyszczone i spodziewasz się, że coś znajdziesz".

Inni wypowiadający się publicznie naukowcy dowodzili, że eksperci, którzy wybrani zostali przez Światową Organizację Zdrowia i weszli w skład zespołu, który pojechał do Wuhan, nie mieli doświadczenia w badaniu infekcji odzwierzęcych, a ponadto cała misja prowadzona była na organizacyjnych warunkach podyktowanych przez Pekin. Już wówczas media zwróciły uwagę na wypowiedzi kierującego zespołem WHO Petera Daszaka, który zanim jeszcze jego ekipa zaczęła pracować, wykluczył wersję o „ucieczce wirusa z laboratorium". Ostatecznie, mimo upływu kilku miesięcy od wizyty studyjnej w Wuhan, WHO nie opublikowała żadnego oficjalnego komunikatu na temat genezy pandemii, co zdaniem wielu obserwatorów, obiektywnie rzecz biorąc, jest na rękę Pekinowi utrzymującemu, że mogła ona wybuchnąć równolegle z nieznanych powodów w wielu miejscach na świecie. Nawet szef Światowej Organizacji Zdrowia Etiopczyk Tedros Adhanom Ghebreyesus, oskarżany przez część mediów o prochińskie sympatie, powiedział publicznie, że wysłany do Wuhan zespół badaczy nie zbadał należycie teorii o pochodzeniu wirusa z laboratorium i jeszcze dużo pracy musi zostać w tej sprawie wykonane.

Peter Daszak nie był zdaniem autorów raportu niezależnym ekspertem, ale naukowcem, który szczególnie w latach 2018–2019 zaangażowany był w realizowany w Wuhan i finansowany szczodrymi grantami przez Chińską Akademię Nauk program badawczy, którego jednym z głównych elementów było rozpoznanie mechanizmu przenoszenia się koronawirusów. W tym celu podlegały one modyfikacji genetycznej, a przykrywką dla badań było poszukiwanie uniwersalnej szczepionki na infekcje pochodzące od wirusów odzwierzęcych. Raport zawiera też kopie e-maili Daszaka kierowanych do przedstawicieli środowiska naukowego, w których przekonuje on, lecz również wywiera presję, aby nie hołdować teorii o ucieczce wirusa z laboratorium.

> Autorzy raportu zwracają też uwagę na to, że w grudniu 2019 r. na czele Instytutu Wirusologii w Wuhan stanęła gen. Chen Wei, specjalistka w zakresie broni biologicznej i chemicznej

REPUBLIKANIE ZAPROGRAMUJĄ BIDENA?

Amerykanie porównali też postępowanie chińskich władz w trakcie epidemii SARS, która wybuchła w 2002 r. w prowincji Guangdong, z działaniami na początku pandemii COVID-19. Wyszedł ten sam schemat reakcji, polegający na początkowym nieujawnianiu informacji o nowej chorobie, opóźnianiu przekazania danych do WHO, niedopuszczaniu mediów i cenzurze, zaniżaniu liczby chorych i niedopuszczaniu zagranicznych ekspertów.

Cała sprawa ma też oczywiście kontekst polityczny, zarówno wewnątrzamerykański, jak i międzynarodowy. Znajdujemy się właśnie w połowie 90-dniowego terminu, który prezydent Biden dał amerykańskim służbom specjalnym na dokonanie znaczącego postępu w kwestii wyjaśnienia genezy pandemii. Media donosiły o podziałach i rywalizowaniu dwóch linii interpretacyjnych. Zwolennicy jednej opowiadają się za wersją sztucznego pochodzenia wirusa. Republikański raport uznać wypada za próbę przechwycenia inicjatywy politycznej i „zaprogramowanie" poszukiwań. Otwarcie mówił zresztą o tym w publicznych wystąpieniach Michael McCaul, domagając się powołania komisji śledczej w Kongresie podobnej do tej, która wyjaśniała zamach na Twin Towers. Gdyby republikanom udało się przeforsować tę linię, mogliby przedstawiać administracje Bidena nie tylko jako opieszałą i nieudolną, ale wręcz niezainteresowaną wyjaśnieniem powodów pandemii, która pochłonęła już życie 630 tys. obywateli Stanów Zjednoczonych.

Kontekst międzynarodowy jest jeszcze ciekawszy. Napięcie na linii Waszyngton–Pekin się utrzymuje, co potwierdziła ostatnia wizyta Wendy Sherman, zastępczyni Antony'ego Blinkena w chińskiej stolicy. Chińczycy nie przejawiają gotowości pójścia na ustępstwa, o czym świadczą m.in. słowa Zhao Lijiana, rzecznika prasowego tamtejszego MSZ, który już po rozmowach z Sherman powiedział na konferencji prasowej, że „przyszłość relacji Chin i USA stoi pod dużym znakiem zapytania. Nie jest jasne, czy relacje dwustronne zmierzać będą ku konfliktowi i konfrontacji, czy poprawie i rozwojowi (...) ten, kto zawiązał ten węzeł, jest również odpowiedzialny za jego rozsupłanie". Jeśli wróci kwestia sztucznego pochodzenia wirusa i odpowiedzialności Pekinu za pandemię, to trudno się spodziewać, aby nastąpiły „poprawa i rozwój" we wzajemnych relacjach. Republikanie okazaliby się wówczas również tą siłą polityczną, która „zaprogramowała" na lata amerykańską strategię w polityce zagranicznej.

eprasa.pl 7fbdb83319

101 ROCZNICA ZWYCIĘSTWA W BITWIE WARSZAWSKIEJ

SIECI

DODATEK OKOLICZNOŚCIOWY



LICZYŁO SIĘ TYLKO

Zwycięstwo!

PARTNERZY DODATKU:

ORLEN

PKO Bank Polski

eprasa.pl 7fbdb83319

Bój o niepodległość Polski i wolność Europy



Gdyby pod ciosami bolszewików Polska upadła, w kolejce byłyby Niemcy i inne bolszewickie „republiki” w zachodniej i południowej Europie. Ale w październikowym przemówieniu z 1920 r. Lenin powiedział wprost: „Nastąpiła klęska wojenna. Zabrakło nam trochę sił, aby dojść do Warszawy”. O wojnie z bolszewikami Piotr Słabek rozmawia z ***dr. Maciejem Korkuciem***

eprasa.pl 7fbdb83319

Patrzymy na Bitwę Warszawską jako wydarzenie decydujące o dziejach Europy. Dlaczego? Jakie były rzeczywiste cele bolszewików?

Bolszewicy szli przez Polskę podbijać Europę. Potem – przy wykorzystaniu zasobów ludnościowych i gospodarczych Europy – resztę świata. Takie były cele komunizmu: obalić świeżo stworzony ład wersalski, aby na jego miejsce rozszerzyć system bolszewicki. Zbudować ogólnoświatowe państwo totalitarne. Lenin o tym mówił wprost. M.in. w lipcu 1920 r. powtarzał, że celem jest „dokonanie światowej rewolucji proletariackiej, stworzenie światowej republiki sowieckiej". Zakładał, że jeżeli połączy się rewolucja z Rosji z nastrojami rewolucyjnymi w Niemczech, powstanie siła, której już nikt na kontynencie nie zatrzyma. I to nie były czcze przechwałki.

Prąc na zachód, na zajmowanych terenach bolszewicy na bieżąco budowali struktury komunistycznego totalitaryzmu. Kolejno proklamowali sowieckie pseudorepubliki. Na całym zajętym obszarze tworzyli lokalne Komitety Wojenno-Rewolucyjne, czyli tzw. rewkomy, „milicje ludowe", „komitety folwarczno-parobczańskie" – wszystkie działające pod nadzorem partii bolszewickiej. W Mińsku 31 lipca 1920 r. proklamowali Białoruską Socjalistyczną Republikę Sowiecką. W Białymstoku zapowiedzieli utworzenie Polskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej i powołali „polski" rewkom. Wbrew podpisywanym jeszcze przez samodzielną Litwę, samobójczym z jej punktu widzenia traktatom, również w Wilnie od razu utworzyli rewkom. Do republik białoruskiej i polskiej miała dołączyć także litewska – bez oglądania się na podpisane traktaty. Litwini z Litwy Kowieńskiej, w ograniczonej formie również wspierający bolszewików przeciw Polsce, ratyfikowali umowę z nimi w pierwszej połowie sierpnia 1920 r., bo upadek Warszawy uznano za przesądzony. Tymczasem Sowieci już przygotowywali się do wyzwolenia „kułackiego Kowna". Dopiero polskie zwycięstwa odwróciły sytuację.

Bez wolnej Polski nie byłoby wolnych republik bałtyckich (dostrzegają to także niektórzy historycy litewscy). Gdyby pod ciosami bolszewików Polska upadła, w kolejce byłyby Niemcy i inne bolszewickie „republiki" w zachodniej i południowej Europie.

Polska, broniąc swej niepodległości, zatrzymała komunizm i odepchnęła go na linię swych granic wschodnich, ustalonych traktatem w Rydze.

Mówimy: Bitwa Warszawska. Ale przecież działania militarne nie rozgrywały się w samej stolicy Polski.

Oczywiście Warszawa była tylko centralnym punktem odniesienia dla działań sowieckiego Frontu Zachodniego, którym dowodził Michaił Tuchaczewski. Walki toczyły się na olbrzymim obszarze od granicy Prus Wschodnich, Działdowa i dalszego przedpola Torunia aż po Lubelszczyznę i Zamość. Z tego rejonu, z zakola Wieprza, wychodziła polska kontrofensywa. Właściwsze byłoby określenie „bitwa nad Wisłą" (tak jak mieliśmy wcześniej bitwy we Francji nad Marną czy Sommą, a później u nas – niestety słabo przypominaną – wielką bitwę nad Niemnem). Ale też trzeba przyznać, że utrzymanie przez Polaków Warszawy miało kolosalne znaczenie psychologiczne w całym przebiegu tej odsłony działań zbrojnych. Zresztą nie tylko dla polskiej strony. Tego psychologicznego aspektu nie należy bynajmniej lekceważyć.

Był też Front Południowo-Zachodni, dowodzony przez Aleksandra Jegorowa. Ten parł w kierunku Lwowa.

Wcześniej to Polacy byli w Kijowie.

Bo nasza wojna z bolszewikami nie rozpoczęła się w 1920, ale już w 1919 r. Należy pamiętać, że Armia Czerwona zaczęła marsz na zachód już wcześniej. Kiedy po przegranej wojnie Niemcy musieli w końcu ewakuować z zajętych terytoriów dawnej Rosji wojska tzw. Ober-Ost, wpuszczali na ich miejsce bolszewików. Nie mieli interesu pomagać Polakom. Mieliśmy wobec nich żądania terytorialne, właśnie zaczęło się powstanie wielkopolskie. Stąd woleli wspierać bolszewików. Prąca ich śladem na Zachód Armia Czerwona w końcu musiała wejść w styczność bojową z jednostkami dopiero budowanego Wojska Polskiego. Stąd walki z wojskami polskimi trwały już od początków 1919 r. Przy czym początkowo jeszcze obecni na zachodzie Niemcy uniemożliwiali przepuszczenie przez trzymane przez nich terytoria Wojska Polskiego z centralnej Polski np. na pomoc Wileńszczyźnie. Tam walkę przeciw regularnym dywizjom sowieckim prowadziły słabo uzbrojone polskie jednostki ochotnicze, tworzone przez tamtejszą ludność. Dopiero ofensywa wiosenna 1919 r. przeciw bolszewikom pozwoliła na wyzwolenie Wilna i Wileńszczyzny. W połączeniu z zakończeniem walk z Ukraińcami udało się ustabilizować front na linii między Dniestrem a Dźwiną.

W drugiej połowie 1919 r. ważyły się losy, kto będzie rządził w Rosji, kto się utrzyma. „Biała" Armia Ochotnicza Antona Denikina odnosiła sukcesy. Szła na Moskwę. Zwycięstwo zarówno czerwonych, jak i białych stawiałoby przed Polską nowe wyzwania. Ani jedni, ani drudzy nie byli zainteresowani odbudową silnej Polski. W okresie kilku miesięcy Armia Czerwona pokonała kryzys i rozbiła Denikina. Pokonała także innych „białych" generałów. Lenin mógł powrócić do wcześniejszych planów rozszerzenia rewolucji. Zyskał siły i możliwości na wznowienie pochodu na zachód. W pierwszych miesiącach 1920 r. szybko przygotowano plany frontalnej ofensywy przeciw Polsce. Lenin kilkakrotnie wzmocnił siły na froncie polskim. W lutym i marcu powstawały odpowiednie dyrektywy do ataku na Polaków.

Piłsudski zdawał sobie sprawę, że w sytuacji, kiedy Armia Czerwona może wszystkie posiadane rezerwy rzucić do wojny z Polską, najlepszym rozwiązaniem będzie atak uprzedzający. Ofensywa na Kijów była więc próbą uprzedzenia uderzenia, do którego bolszewicy i tak się przygotowywali.

Jakie znaczenie w wojnie polsko-bolszewickiej miały długie i dynamiczne ruchy wojsk, a jakie poszczególne bitwy?

Fot. NAC

eprasa.pl 7fodb83619

To była wojna manewrowa, inna niż np. walki pozycyjne na Zachodzie w czasie I wojny światowej. Dynamika zdarzeń była ogromna.

25 kwietnia 1920 r. ruszyła tzw. wyprawa kijowska. Polska chciała rozbić słabsze siły bolszewickie na ukraińskim odcinku frontu. Zajęto Kijów, ale nie udało się rozbić głównych sił wroga na tym odcinku. Bolszewicy wycofali się za Dniepr. Piłsudski liczył na ochotniczy nabór do sojuszniczej wówczas ukraińskiej armii Petlury. Gdyby Ukraińska Republika Ludowa była w stanie zabezpieczyć front południowy, zwolnione jednostki polskie mogłyby podjąć walną ofensywę przeciw bolszewikom na północy. Polacy i Petlura tłumaczyli, wydali odezwy do ludności Ukrainy, wyjaśniające, że celem operacji jest wyzwolenie Ukrainy, a Wojsko Polskie nie zamierza zatrzymać Kijowa dla siebie. Szybko się okazało, że na Ukrainie zmęczenie wojną, zmianami władzy (w niektórych rejonach kilkunastokrotnymi) spowodowało, że już nikomu nie ufano. Jak na liczbę ludności napływ ochotników do wojsk Petlury – mówiąc delikatnie – był mizerny, daleki od oczekiwań.

Siły bolszewickie zostały przegrupowane i rozpoczęły kontruderzenie. Na zaplecze polskiego frontu dostała się armia konna Siemiona Budionnego, która zaczęła siać spustoszenie na tyłach. Bolszewicy uchwycili przyczółki na prawym brzegu Dniepru. Teraz Polacy rozpoczęli odwrót, nie pozwalając na rozbicie głównych sił. Szybko powrócili na pozycje sprzed wyprawy kijowskiej.

Trzeba pamiętać o rozmiarach Rosji i o jej olbrzymim zapleczu ludnościowym. Do uderzenia na odcinku białoruskim Sowieci zarządzili dodatkową mobilizację, ściągnęli ogromne ilości wojsk. Polakom, będącym w odwrocie, nie udało się stworzenie rubieży obronnej. Próby zatrzymania bolszewików na Niemnie i Szczarze lub na linii Narwi i Bugu były nieskuteczne. Dopiero linia Wisły i przedpola Warszawy stała się miejscem dramatycznego powstrzymania wojsk bolszewickich. W sierpniu 1920 r. wszystkie walki miały znaczenie: nad Wkrą, na północny-zachód od Warszawy, zażarte boje na przedpolach Warszawy, i w końcu uderzenie znad Wieprza.

> Prąc na zachód, na zajmowanych terenach bolszewicy na bieżąco budowali struktury komunistycznego totalitaryzmu. Kolejno proklamowali sowieckie pseudorepubliki. Na całym zajętym obszarze tworzyli lokalne Komitety Wojenno-Rewolucyjne, czyli tzw. rewkomy, „milicje ludowe", „komitety folwarczno-parobczańskie" – wszystkie działające pod nadzorem partii bolszewickiej

Ta kontrofensywa była przełomem. Wycofujące się w popłochu armie frontu zachodniego w części poszły w rozsypkę, częściowo ewakuowały się do Prus Wschodnich. Bolszewicy błyskawicznie tracili wcześniej zajęte terytoria. Do odwrotu został także zmuszony sowiecki Front Południowo-Zachodni, którego celem było zdobycie Lwowa. Wspólna obrona wojsk polskich i ukraińskich odparła atak Budionnego na Zamość.

Jednak to, co nazywamy Bitwą Warszawską, nie zakończyło przecież wojny.

Bynajmniej. Sierpniowa kontrofensywa Wojska Polskiego była przełomem, ale nie przesądzała wyniku wojny. Jej wynik przypieczętowany został w drugiej wielkiej bitwie stoczonej w 1920 r. nad Niemnem. Szkoda, że nie uczciliśmy jej stulecia należycie. Jakbyśmy o niej zapomnieli. A to ona była kropką nad „i". Rosjanie liczyli na zmęczenie Polaków nieustanną ofensywą. Znowu sięgali do rezerw. Próbowali przegrupować siły i przygotować kontruderzenie, które odwróci bieg zdarzeń na froncie.

Dostrzegał to niebezpieczeństwo Piłsudski. Zmierzał do walnego rozstrzygnięcia, zanim Sowieci zrealizują swój plan. Stąd w dniach 20–28 września doszło do drugiej rozstrzygającej wielkiej bitwy w tej wojnie – właśnie bitwy niemeńskiej, prowadzonej na obszarze od Wołkowyska i Grodna po Druskienniki. Polacy przeprowadzili brawurowy, choć ryzykowny manewr oskrzydlający. Tak naprawdę zagrozili kompletnym zniszczeniem znacznej części sił całego frontu bolszewickiego. To spowodowało, że Sowieci zamiast doprowadzić do kontruderzenia, poszli w rozsypkę i paniczny odwrót.

Dlaczego Polska miała duże problemy w transportach uzbrojenia i amunicji z krajów ją wspomagających?

Niemcy jeszcze w lipcu ogłosili zakaz przewozu do Polski jakiegokolwiek zaopatrzenia wojennego dla Polski. Wchodzili w tajne rokowania z bolszewikami. Myśleli, że coś ugrają przeciw „wspólnemu wrogowi". Skądinąd popełniając taki sam błąd jak Litwini. I w tym wypadku bolszewicy to wykorzystywali: robili na pokaz przyjazne gesty wobec Berlina – dopóki Polska jeszcze nie padła. Zapowiadali zwrot „ich ziem" straconych na rzecz Polski. Lenin uważał, że każdy papier można podpisać i wszystko obiecać. A potem będą się liczyć twarde fakty i siła. Komuniści wszędzie byli mobilizowani przeciw Polsce – również wewnątrz kraju. Niemieccy robotnicy także w Gdańsku strajkowali, nie chcąc dokonywać rozładunków dla Polski.

Reklama | 69/0721/F

eprasa.pl 7fbdb83319

ORLEN W PORTFELU

WEJDŹ DO AKCJI

z Programem dla Akcjonariuszy Indywidualnych PKN ORLEN



- **OSZCZĘDZAJ** na paliwie aż do 540 zł rocznie
- **KUPUJ** taniej na stacjach PKN ORLEN
- **ZYSKAJ WIEDZĘ** o rynkach finansowych w Akademii Inwestowania
- **BIERZ UDZIAŁ** w wyjątkowych wydarzeniach

Poznaj korzyści na **www.orlenwportfelu.pl**

PARTNER PROGRAMU: Biuro Maklerskie | PARTNER EDUKACYJNY AKADEMII: CFA Society Poland | PARTNER MERYTORYCZNY PROGRAMU: Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych

Program ORLEN W PORTFELU ani też żaden z udostępnianych komunikatów czy dokumentów na jego temat, nie stanowi oferty sprzedaży ani zachęty do złożenia oferty kupna papierów wartościowych PKN ORLEN S.A. Publikacja takich materiałów nie oznacza również rekomendowania przez PKN ORLEN S.A. ani przez żaden inny podmiot sprzedaży bądź kupna jakichkolwiek papierów wartościowych, w szczególności papierów wartościowych PKN ORLEN S.A.

eprasa.pl 7fbdb83319



Dr Maciej Korkuć
naczelnik Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie

Fot. PAP/Jacek Bednarczyk

Z kolei Czesi byli przekonani, że Warszawa padnie i Polski nie będzie. Liczyli, że bolszewicy nie będą zajmować Czechosłowacji. Zatrzymają się na jej granicach. Zaczęli przyjazne umizgi wobec bolszewików. Dlatego na początku sierpnia zapowiedzieli wprost Polakom, że nie dopuszczą do żadnych transportów broni ani materiałów wojennych przez ich obszar.

Tak naprawdę olbrzymią pomoc okazały nam Węgry, przekazując bardzo duże ilości amunicji i broni. Postawa Czech uniemożliwiła wzięcie udziału specjalnie sformowanym kawaleryjskim jednostkom węgierskim do walki po stronie Polaków. Ale broń i amunicja dotarły – to miało trudne do przecenienia znaczenie dla walk frontowych.

Jakie znaczenie dla europejskiej geopolityki miała wygrana Bitwa Warszawska?

Tu znowu najlepiej zacytować głównego przegranego – Włodzimierza Lenina. 2 października 1920 r. mówił, że rozbicie armii polskiej umożliwiłoby przekreślenie ładu wersalskiego i całego systemu stosunków międzynarodowych, ustanowionego dzięki zwycięstwu Ententy nad Niemcami. Jego zdaniem międzynarodowe znaczenie „tej polskiej wojny" na tym polegało, że zdobycie Warszawy i pójście dalej spowodowałoby likwidację całego porządku międzynarodowego w Europie. I sam dodawał, że „zabrakło nam trochę sił, aby dojść do Warszawy".

Co w Rosji mówią o tej wojnie?

Lenin w tym samym październikowym przemówieniu z 1920 r. wprost nazywał to, co się stało, bez żadnych ogródek: „nastąpiła klęska wojenna". I tego wymiaru tej wojny nie odnajdziemy w dzisiejszych podręcznikach rosyjskich. Było i jest to wszystko marginalizowane, pomniejszane, łączone w szerszy kontekst rozprawy Armii Czerwonej z obcą interwencją i z Wranglem. Bo przecież za czasów sowieckich ukuto hasło: propagandową zbitkę słów: „Niezwyciężona Armia Czerwona". A przecież w kontekście całościowego udziału Armii Czerwonej w różnych potyczkach wojennych w XX w. to właśnie wojnę przeciw Polsce 1920 r. przegrała. W II wojnie – finalnie wygrała. W Afganistanie – nie była w stanie osiągnąć swoich celów, ale nie została pokonana w walnych militarnych starciach. To Polska w 1920 r. zmieniła historię światowego komunizmu rozbijając bolszewików nad Wisłą i nad Niemnem. U nas też zbyt rzadko się to zauważa na szerszym tle.

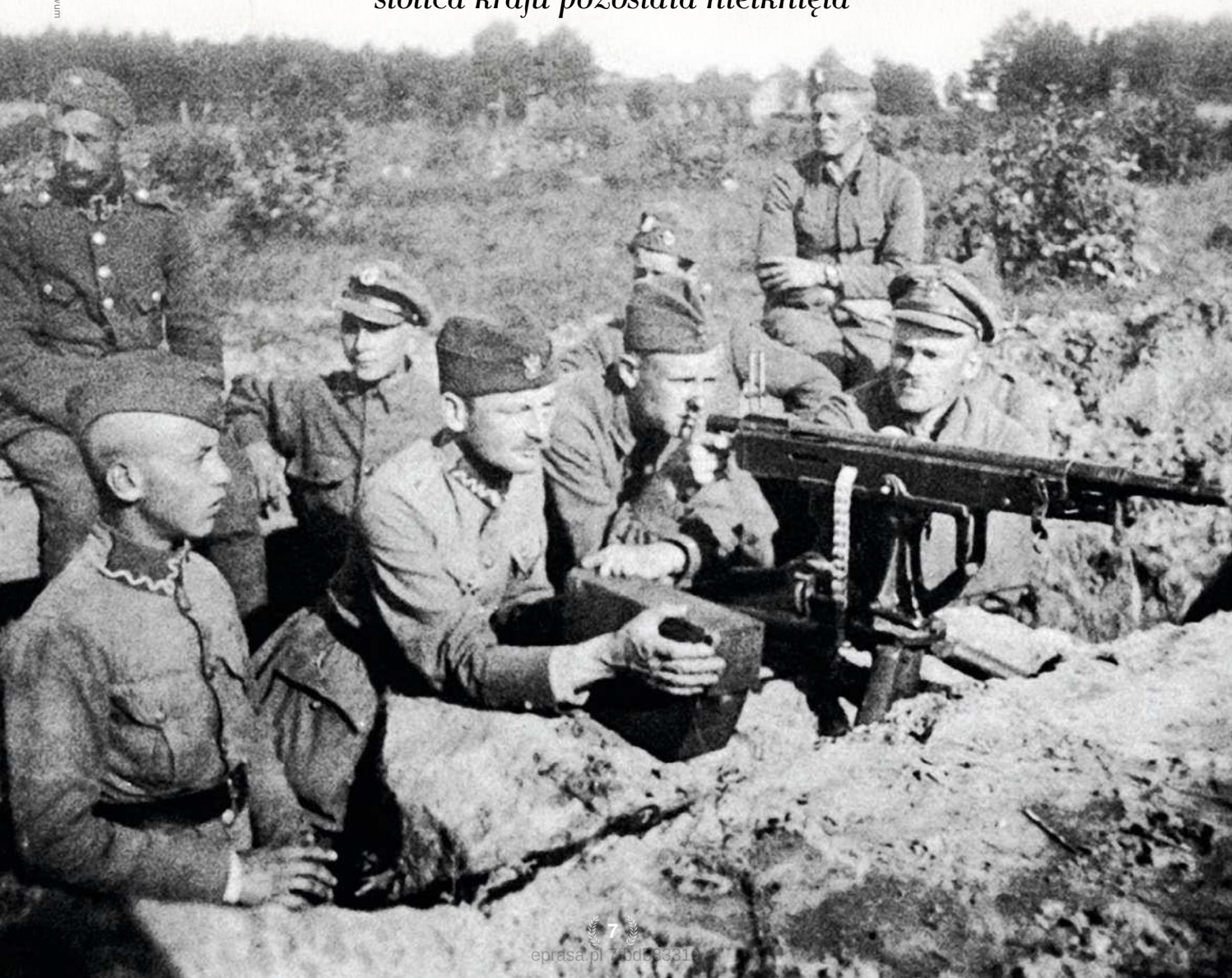
Oprócz chwalebnych wyjątków Zachód jakoś nie bardzo dostrzega, że w sierpniu 1920 r. ważyły się losy być może wolności wszystkich narodów kontynentu.

Czy w Portugalii, we Francji, Włoszech jest świadomość tego, że na polach pod Warszawą stoczył się bój o wolność Europy, a nie tylko walka o polską niepodległość? Nie ma. Ale to tak się dzieje. Jeżeli kataklizm dotyka wszystkich – łatwo go opisać, łatwo zrozumieć wspólnotę doświadczeń. Natomiast jeżeli tysiące kilometrów od nas ktoś kataklizmowi zapobiegł – jego wizja staje się abstrakcją z dziedziny historii alternatywnej. Nie powinno to wpływać na rozumienie skali zdarzeń. Tak się w historii dzieje, że nie zawsze rozumiemy wagę odległych zdarzeń również dla naszych losów.

eprasa.pl 7fbdb83319

Radzymin. Decydujące starcie

Okolice Radzymina stanowiły dla Armii Czerwonej „drzwi do Warszawy”. Otwierała je sobie zresztą kilkakrotnie, ale nawet o tym nie wiedziała. I właśnie głównie tej niewiedzy zawdzięczamy to, że w 1920 r. stolica kraju pozostała nietknięta



Fot. PAP/Archiwum

eprasa.pl



WOJCIECH LADA

Podwarszawski Radzymin nigdy nie był perłą architektury, ale chyba nigdy też nie wyglądał gorzej niż pod koniec sierpnia 1920 r. Kiedy nieco przypadkiem znalazł się tam wówczas Stefan Żeromski, zanotował: „Wkrótce ukazał się Radzymin ze zgliszczami w środku rynku jeszcze dymiącymi, z domami poprzewracanymi od pocisków i cmentarną pustką, która legła w zbombardowanych placach i zaułkach". Kilkanaście dni wcześniej był tu ppłk Kazimierz Jacynik, którego oddział przepędził z miasta bolszewików. Jego wspomnienia dobrze uzupełniają późniejsze spostrzeżenia pisarza. „Ściemniło się. Ogromny pożar obszernych zabudowań browaru oświetlił centrum miasta" – zapisał oficer, a jeden z cywilnych świadków dodał: „W zrujnowanym Radzyminie nie ostał się ani bezpański pies".

Walki o Radzymin nie były największymi starciami Bitwy Warszawskiej 1920 r. Jednak pod wieloma względami miały dla jej rozstrzygnięcia znaczenie kluczowe. „Bitwa pod Radzyminem była częścią bitwy nad Wisłą i zaangażowała niewielką część sił obu walczących stron, ale właśnie tutaj przez trzy dni ważyły się losy stolicy Polski, której upadek mógł spowodować nieobliczalne skutki w skali całego frontu" – zgadzał się z tą opinią prof. Janusz Odziemkowski. Dobrze jednak spojrzeć na te trzy dni również w mikroskali. Na przestrzeni kilkudziesięciu godzin miasto kilkakrotnie przechodziło z rąk do rąk, ostrzał artyleryjski i nieustanne strzelaniny z broni ręcznej rozpoczynały się i kończyły co kilka godzin – dla mieszkańców miasteczka były to trzy doby prawdziwego koszmaru.

PODWARSZAWSKI BAŁAGAN

To była wojna bardzo zmęczonych ludzi. Dla wielu trwał już piąty rok tułania się po wszystkich frontach Europy i Azji, ciągle wybuchających epidemii, niedożywienia i codziennego zagrożenia życia. Po obu stronach mnożyły się dezercje, a w najlepszym razie zobojętnienie. Broń była w coraz gorszym stanie, karabiny się zacinały, brakowało amunicji. Obserwujący walki francuski gen. Gaston Gillon zanotował: „Ze strony polskiej nie zauważyłem ani u żołnierzy, ani u wyższych oficerów wyczucia tego, że bitwa, która toczy się pod Warszawą, jest decydująca i że trzeba pozostać w okopach i tam zginąć". Zgadzał się z tą opinią również gen. Lucjan Żeligowski, kiedy pisał: „Sześciotygodniowe cofanie się wytworzyło jak gdyby chorobliwe uczucie konieczności odwrotu. Zasypiając i budząc się, żołnierz myślał o tym, że ma się cofać. Stało się to do pewnego stopnia chorobą, weszło niejako w krew". Ale nie lepiej było po stronie wroga. „Ludzie doszli do ostatecznego stopnia znużenia. Nastąpił ten moment, kiedy już nie jednostka, lecz cała masa traci wiarę w możliwość borykania się z przeciwnikiem" – przyznawał Witowt Putna, uznawany za jednego z najlepszych sowieckich dowódców, którego dywizja zyskała przydomek „żelaznej" i znalazła się właśnie pod Radzyminem.

W takiej atmosferze bolszewiccy żołnierze po południu 13 sierpnia dostali rozkaz ataku. Moment ten dobrze zapamiętał Bolesław Waligóra: „Pojawienie się Rosjan na przedmieściach Radzymina było ogromnym zaskoczeniem. Żółta fala tyraliery bolszewickiej wychodziła z lasu, w odległości jakichś 2 km od miasta. Nie to było takie koszmarne, byłem w różnych sytuacjach na wojnie, ale cisza zupełna, w jakiej to wszystko się odbywało. Jednego strzału już nie karabinów maszynowych, ale i zwykłych nie było słychać. Bolszewicy nie strzelali, lecz trzymając karabiny nastawione, szli wolno, ale ciągle ku miastu. Z naszej strony żadnego oporu, żadnej próby oporu. Zaskoczenie musiało być zupełne dla wszystkich, bo żaden także strzał armatni się nie odezwał" – wspominał kilka lat później na łamach „Przeglądu Piechoty".

Wcześniejszą linię obrony, rozciągniętą mniej więcej na linii rzeczki Rządzy, pokonali bez najmniejszych problemów. Były tam co prawda rowy strzeleckie i dwa rzędy zasieków, ale i jedne, i drugie były raczej żartem niż poważniejszą przeszkodą – z braku wykwalifikowanych saperów prace nad umocnieniami wykonywali cywilni robotnicy i zasieki były w zasadzie w ogóle nieumocowane – można było je po prostu odsunąć. Jeśli zaś chodzi o strzelców, była to zaledwie jedna cienka linia tyraliery, w dodatku obsadzona przez jeden z najgorszych pod względem morale oddziałów 1 Armii, dowodzony przez płk. Bolesława Jaźwińskiego. „Większość jej żołnierzy stanowili rozbitkowie, wstrząśnięci porażkami na froncie, dezerterzy wyłapani przez żandarmerię i ponownie wcieleni do szeregów, albo słabo przeszkoleni dezerterzy" – oceniał prof. Odziemkowski.

Nic więc dziwnego, że Rosjanie – jak opisywał to Waligóra – po prostu szli. Faktem jest, że było ich tu trzykrotnie więcej niż Polaków, mieli parokrotną przewagę w broni maszynowej i dwukrotną w artylerii, ale nie miało to większego znaczenia, bo opór praktycznie nie istniał. Co gorsze, dowódca obrony miasta płk Bronisław Krzywobrodzki nie stanął na wysokości zadania. „Nie zdawał sobie sprawy z groźby położenia nawet wówczas, gdy tyraliera nieprzyjaciela podchodziła pod Radzymin. Po uzmysłowieniu sobie tragizmu sytuacji nie był zdolny do podejmowania jakichkolwiek decyzji" – surowo oceniał oficera Lech Wyszczelski. On i większość żołnierzy uciekli w panice, w mieście broniły się tylko drobne grupki, ale były zupełnie bez szans. Pod wieczór 13 sierpnia Radzymin znalazł się w rękach bolszewików. Szczęśliwie nie wiedzieli, że przed nimi prosta droga na warszawską Pragę. Wystarczyłoby, żeby poszli dalej...

Polacy natomiast doskonale zdawali sobie sprawę z zagrożenia. Gen. Maxime Weygand pisał: „Sprawy stoją znaczne gorzej, aniżeli to wynikało z tego, co nam powiedziano przed chwilą i sytuacja wymaga szybkiej naprawy", a gen. Józef Haller jeszcze tej samej nocy określił postawę polskich żołnierzy jako „sromotną" i nakazał wszczęcie śledztwa przeciwko odpowiedzialnym. Było tak źle, że Weygand zasugerował Piłsudskiemu przyspiesze-

eprasa.pl 7fbdb83319

nie manewru znad Wieprza, co jednak ten uznał za niewykonalne. W tej sytuacji nie było innego wyjścia i gen. Haller wydał rozkaz kontrnatarcia na miasto.

W TĘ I Z POWROTEM

Polacy mieli ruszyć o świcie, ale atak rozpoczęli dopiero po godz. 10, a więc z pięciogodzinnym opóźnieniem. Rosjanie doskonale to wykorzystali i właśnie o świcie, pod osłoną mgły, spokojnie zajęli kolejne miejscowości: Aleksandrów, Wólkę Radzymińską, Ciemne oraz Helenów. Jak się wkrótce miało okazać – decydujące dla kolejnej serii polskich porażek. Tymczasem jednak wszystko zapowiadało się dobrze. W natarciu brał udział m.in. wileński pułk strzelców dowodzony przez ppłk. Stanisława Bobiatyńskiego – postać niezwykle wręcz malowniczą, o której sami jego żołnierze układali piosenki. Był ogromnej tuszy – do tego stopnia, że do walki ruszał, często jadąc wozem – ale nie mniejszej brawury, charyzmy i... ekscentryczności. Ze swoich ludzi sklecił np. orkiestrę i do walki ruszał w rytm wygrywanych przez nią melodii.

Tym razem obeszło się bez trąb i bębnów, ale wileniacy potwierdzili tylko opinię o sobie. Zupełnie nie zważając na ostry ostrzał, dosłownie na wyścigi biegli do miasta, a gdy już do niego wbiegli, w pół godziny Radzymin był ponownie w rękach polskich. Z dużymi jednak stratami. Sam Bobiatyński dwoił się i troił, w późniejszych udzielonych mu pochwałach podkreśla się, że zawsze znajdował się w kluczowych miejscach bitwy, a jego osobista charyzma miała dla walk zasadnicze znaczenie, ale w którymś momencie nawet on musiał odnotować ponuro: „Gen. Haller nazywa nas najlepszym pułkiem, w armii honorują nas bardzo. I ciągle topniejemy. Wczoraj straciłem 10 oficerów". Zresztą straty jego oddział poniósł nie tylko podczas walk, ale też w trakcie dość szybkiego odwrotu...

Problem polegał na tym, że o ile wileniacy zajęli miasto szybko i sprawnie, o tyle oddziałom mającym zdobyć flanki zupełnie się nie powiodło i wkrótce żołnierze Bobiatyńskiego zostali oskrzydleni, w dodatku przez przytłaczająco większe siły. W odróżnieniu od pierwszej klęski pod Radzyminem tym razem ucieczka nie była paniczna. Polacy starali się powstrzymać Rosjan jeszcze pod miejscowością Cegielnia, ale bezskutecznie – w nieładzie wycofali się na drugą linię obrony. Radzymin po raz kolejny stał się miastem sowieckim.

> Prawdziwą panikę wśród bolszewików wzbudzały samoloty. Gotowi byli maszerować wprost pod ostrzał artyleryjski, nawet się nie schylając, ale pojawienie się jednego samolotu potrafiło złamać ich szyk i rozpędzić całą kolumnę. Podczas bitwy pod Radzyminem było podobnie

Załamany porażkami Haller zdecydował się na wykorzystanie wszystkich dostępnych w tym momencie sił. Jeszcze tego samego dnia on i dowódca 1 Armii gen. Latinik spotkali się w Legionowie z gen. Żeligowskim, gdzie ustalono, że następnego dnia w ataku na Radzymin weźmie udział jego 10 Dywizja Piechoty, co zwiększało polskie siły do ok. 17 tys. żołnierzy, ponad 200 karabinów maszynowych i ponad 100 dział. W tym momencie Rosjan było mniej, a w dodatku dotkliwie odczuwali już niedobory amunicji. Znów planowano ruszyć o świcie, a to oznaczało bardzo pracowitą i bezsenną dla większości oddziałów noc. Wzmocnione siły należało bowiem przegrupować.

I właśnie w trakcie tych działań doszło do epizodu, który nieco symbolicznie wielu uznaje za prawdziwy przełom w dziejach całej wojny polsko-bolszewickiej. „W rejonie Wólki Radzymińskiej bohaterskim czynem wykazał się porucznik Stefan Pogonowski, dowódca batalionu 28 Pułku Strzelców Kaniowskich, który o godzinie pierwszej w nocy poprowadził niespodziewany i gwałtowny atak, uderzając w arterię ruchu wojsk bolszewickich, czyli w jej najczulsze miejsce" – pisał Andrzej Chwalba. Podczas ataku Pogonowski poległ, ale jego wyczyn zrobił wielkie wrażenie, niemal automatycznie podnosząc mocno kulejące w tym momencie morale Polaków. Strategicznie nie miał on większego znaczenia, ale – jak pisał gen. Żeligowski – dzięki niemu „nastąpił moment zwrotny w historii tej wojny. Psychologia klęski, cofania się, ciągłych odwrotów, została nareszcie przełamana. Odwróciła się karta historii".

NAJDZIWNIEJSZE ZWYCIĘSTWO

Nie tak od razu jednak. Wcześniej sporym wyzwaniem było dowiezienie żołnierzy Żeligowskiego na stanowiska ataku. Ponieważ brakowało środków transportowych, zdecydowano się wykorzystać... autobusy miejskie, w których podczas jednego kursu mieściło się 30 żołnierzy. Jak wyliczył prof. Chwalba, kurs w obie strony trwał godzinę, co oddaje skalę przedsięwzięcia. Zresztą nie było to pierwszy raz w tej wojnie, kiedy cywilne środki transportu miejskiego zmieniały bieg bitew. Za pomocą tramwaju zdobyto wszak Kijów, a pod Warszawą wykorzystywano nie tylko autobusy, ale też taksówki.

Mimo tych wszystkich logistycznych perypetii kontrnatarcie zgodnie z planem ruszyło o świcie. Ale mimo znacznych sił wcale nie było błyskawiczne. Putna zanotował wówczas: „Struna, którą naciągaliśmy od Bugu, pękła (...) W naszych wysiłkach daje się zaobserwować przełom, przejście od aktywności do pasywności". Nie dodał jednak, że była to pasywność desperacka. Rosjanie bronili swoich pozycji doskonale – wiązali siły polskie na znacznie dłużej, niż się tego spodziewano, co wprowadziło sporo chaosu w dowodzenie całością. Szwankowała zwłaszcza komunikacja między oddziałami i koordynacja działań. W tym momencie bitwa

eprasa.pl 7fodb83619

o Radzymin stała się bitwą dowódców drobniejszych jednostek i o jej wyniku zadecydowały w większym stopniu ich działania niż rozkazy dowództwa wyższego szczebla.

Ponownie błyszczeli więc „wilniuki" Bobiatyńskiego, których natarcie – jak pisał prof. Odziemkowski – było tak szybkie i precyzyjne, że wzbudziło podziw cudzoziemskich oficerów obserwujących akcję i wywołało panikę wśród Rosjan. Jeszcze więcej przerażenia wzbudziło pięć polskich czołgów – choć po prawdzie były w tak złym stanie, że do miasta dotarł początkowo tylko jeden. Ale już prawdziwą panikę wzbudzały samoloty. Z jakichś powodów bolszewicy bali się ich jak żadnego innego rodzaju broni. Jak wspominał służący wówczas w polskiej armii amerykański lotnik Merian C. Cooper – gotowi byli maszerować wprost pod ostrzał artyleryjski, nawet się nie schylając, ale pojawienie się jednego samolotu potrafiło złamać ich szyk i rozpędzić całą kolumnę na wszystkie strony. Podczas bitwy pod Radzyminem było podobnie. „Samoloty dosłownie terroryzowały nasze tyły, wykonując śmiałe naloty na sztaby i tabory i ostrzeliwały każdą grupkę karabinów maszynowych" – skarżył się Putna, pogodzony już z ostateczną klęską. Mimo tego wszystkiego walki toczyły się ze zmiennym szczęściem, a Radzymin pozostawał w rękach sowieckich, choć zbliżało się już późne popołudnie.

I mniej więcej ok. 16 nastąpiło coś, czego nikt nie mógł się spodziewać. Właśnie wtedy gen. Żeligowski rozkazał gen. Rządkowskiemu bezpośredni atak na miasto, w którym miał wziąć udział Grodzieński Pułk Strzelców. W skład tej jednostki wchodził 30 Pułk Piechoty ppłk. Jacynika, który wysłał do miasta niewielki konny oddział zwiadowczy. Ku zdumieniu żołnierzy nie tylko bez problemu przekroczyli granice miasta, ale też dotarli do centrum, nie napotykając praktycznie żadnego oporu. Wycofali się szybko do Cegielni, gdzie złożyli raport. Natychmiast do Radzymina ruszyły dwie kompanie pułku, które także spotkały się z minimalnym oporem. Prawdopodobnie ok. 17 Radzymin ponownie i ostatecznie został włączony do Polski – przez zaledwie grupkę kawalerzystów i jedną kompanię piechoty. Jak celnie skomentował to Janusz Odziemkowski: „Zdobycie miasta, o które toczono trzydniowy bój, kosztowało 30 pp dwóch rannych".



Fot. PAP/Alamy

Nieświadomi sytuacji bolszewicy rozpoczęli po prostu wycofywanie się z miasta.

DZIEWCZYNY ZE SKARYSZAKA

Tego dnia Aleksandra Zagórska wyprowadziła swoje umundurowane podkomendne z Ochotniczej Legii Kobiet, by zajęły stanowiska w okolicach dzisiejszego parku Skaryszewskiego. Idący od Radzymina bolszewicy musieliby prędzej czy później przejść tą właśnie drogą. Kolumna młodych kobiet w mundurach i pod bronią zrobiła na warszawiakach ogromne wrażenie. Ten i ów rzucił jakiś dowcip, ktoś przymrużył oko, ale większość wcale się nie śmiała – zasługi tych dziewczyn w Wilnie i Kijowie bywały naprawdę heroiczne i fakty te były szeroko opisywane w prasie. Zagórska wspominała:

„Przechodziłyśmy Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem, a liczny tłum zgromadzony na ulicach patrzył na nas ze zdziwieniem. Dawano nam kwiaty. (...) Weszłyśmy na most Kierbedzia. Wioślarze pełniący tam straż witali nas owacyjnie i oznajmili, że czekają na rozkaz wysadzenia mostu w powietrze. Salwy strzałów armatnich stawały się coraz głośniejsze – można było już odróżnić warkot karabinów maszynowych. Za Grochowem zajęliśmy przygotowane i opancerzone drutami kolczastymi okopy. Trwałyśmy w pogotowiu, oczekując pojawienia się lada chwila bolszewików".

Bolszewicy jednak nie pojawili się na Grochowie. Jak wspominała Zagórska, kiedy kobiety dotarły na miejsce i zajęły pozycje, huk armatnich wystrzałów zaczął się oddalać, a wieczorem dotarły do nich wieści o radykalnej zmianie układu sił na froncie. Gdyby nie Radzymin, dziewczyny z pewnością musiałyby walczyć, a piękny do dziś Skaryszak zamieniłby się w ostateczną być może linię obrony Warszawy.

eprasa.pl 7fbdb83319

Kapitulacja zamiast kompromisu



BRONISŁAW WILDSTEIN





Polityka stoi na kompromisie, ale prowadzona jest w jakimś celu. Rządy PiS miały zmienić stan rzeczy, w którym państwo nie reprezentuje obywateli, ale jest zakładnikiem silnych zewnętrznych i wewnętrznych środowisk. Jeśli partia Kaczyńskiego rezygnuje z tego imperatywu, to stawia pod znakiem zapytania swoją misję

Fot. nitpicker/Shutterstock.com

eprasa.pl 7fbdb83319

Małgorzata Manowska, I prezes Sądu Najwyższego, skierowała cztery listy do prezydenta, premiera, marszałek Sejmu oraz marszałka Senatu. Nawiązują one do niefortunnego wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z 15 lipca tego roku. „Niezależnie od grożących Rzeczpospolitej Polskiej, ewentualnych, daleko idących konsekwencji finansowych niewykonania orzeczeń TSUE, zwracam uwagę na wynikający ze wspomnianych orzeczeń, faktyczny paraliż systemu odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, który utrzymuje się od roku, a w ostatnich tygodniach drastycznie się nasilił". Zdaniem Manowskiej zastrzeżenia TSUE oraz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka nie dotyczą „praktyki orzekania w Izbie Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego", lecz „mankamentów regulacji ustawowych, w oparciu o które system ten funkcjonuje (...) doprowadzenie do stanu zgodności z prawem europejskim oraz standardami formułowanymi na podstawie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, w oczywisty sposób wymaga dokonania niezwłocznie (...) zmian ustawowych".

Czytam i oczy przecieram. Deklaracja Manowskiej to pełna kapitulacja wobec uzurpacji TSUE, który ze względów politycznych nie tylko radykalnie wykroczył poza przypisane mu kompetencje, złamał obowiązujące traktaty, ale jeszcze ostentacyjnie potraktował Polskę gorzej niż inne państwa UE. Owszem TSUE nie zajmuje się konkretnymi sprawami. Oto uzasadnienie orzeczenia: „Z uwagi na całościowy kontekst refom, którym niedawno został poddany polski wymiar sprawiedliwości, a w który wpisuje się ustanowienie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, oraz z powodu całokształtu okoliczności towarzyszących utworzeniu tej nowej izby, izba ta nie daje w pełni rękojmi niezawisłości i bezstronności, a w szczególności nie jest chroniona przed bezpośrednimi lub pośrednimi wpływami polskiej władzy ustawodawczej i wykonawczej". Trzeba przyznać, że jak na podstawę radykalnego wyroku, którego celem jest unieważnienie znaczącej instytucji polskiego wymiaru sprawiedliwości, argumentów tu nie znajdujemy. TSUE się tym nie przejmuje. Chce decydować o tym, jak będzie wyglądał w Polsce wymiar sprawiedliwości, który ma być własnością korporacji i stanowić nadparlament. W takim stanie rzeczy obywatele mogą sobie wybierać, kogo chcą. Naprawdę rządzić będzie środowisko wpisane w europejski establishment i uzależnione od niego. Dlatego w przeciwieństwie do Niemiec, Francji czy Hiszpanii polskie demokratyczne władze nie mogą mieć wpływu na wybór sędziów, którzy zawłaszczają nasz wymiar sprawiedliwości.

TSUE uzyskał natychmiastowe wsparcie KE, która obiecała kary finansowe dla naszego kraju, jeśli nie podporządkuje się on luksemburskiemu dyktatowi.

Problemy z TSUE, które per fas, a raczej nefas usiłuje rozszerzyć swoje prerogatywy, ma nie tylko Polska. W ostatnich kilkunastu miesiącach organy konstytucyjne Niemiec, Francji, Hiszpanii i Rumunii potwierdziły wyższość prawa krajowego nad unijnym, blokując tym zapędy sądu w Luksemburgu. Ale tylko Polska traktowana jest w ten szczególny sposób. Czy to chwila, aby ogłaszać pełną kapitulację? Wydaje się, że odwrotnie. Obecny wyjątkowy czas stwarza nam możliwość, aby uzyskać wsparcie trybunałów innych państw przeciwko uzurpacji instytucji unijnych. A w każdym razie trudno byłoby dziś innym państwom popierać ekscesy TSUE w stosunku do Polski. Poddanie się jej wytrąca nam z rąk taką możliwość.

* * *

W sierpniu Trybunał Konstytucyjny ma ogłosić odpowiedź na wniosek premiera Morawieckiego w kwestii interwencji TSUE dotyczącej wyboru polskiego Sądu Najwyższego, ale instytucje unijne wyraźnie nie chcą na to czekać. Nie czekają na ten wyrok także prezes Manowska ani prezydent, który zdeklarował: „Zgadzam się tutaj z panią prezes całkowicie (...) wszystko wskazuje na to, że będą potrzebne zmiany ustawodawcze". Zasugerował także brak skuteczności Izby Dyscyplinarnej. Premier stwierdził to jednoznacznie: „Dziś jesteśmy w takiej sytuacji, kiedy może i należałoby dokonać przeglądu działania Izby Dyscyplinarnej SN. A to dlatego, że ta Izba na pewno nie spełniła wszystkich oczekiwań, również moich, również naszej formacji".

Fakt, że Izba Dyscyplinarna nie spełniła oczekiwań, nie wynikał z błędów prawnych, ale z bojaźliwości (części) jej członków, w tym samej prezes, w stosunku do środowiska. Żadne normy nie wystarczą, jeśli funkcjonariusze nie będą mieli odwagi ich stosować. Tłumaczenia, że widocznie regulacje nie spełniają oczekiwań, jakby regulacje miały działać samoistnie, jest tylko ośmielaniem kpiącej z prawa sędziowskiej korporacji.

Wezwanie, aby podporządkować się wyrokowi TSUE, a tym jest pismo Manowskiej, stanowi kapitulację na całej linii. Jest uznaniem nadrzędności sądu z Luksemburga nad polskim porządkiem prawnym, a więc lekceważeniem polskiej konstytucji i roli naszego Trybunału Konstytucyjnego. Wyobrażenie, że idąc na kompromis, a więc ulegając TSUE po to, aby przy formalnych zmianach zachować zasadniczą treść naszego prawa, jest największym złudzeniem. Rezygnując z zasad, nie uzyskamy nic, a jedynie rozzuchwalimy totalnych, którzy, zgodnie z prawdą, uznają, że za pomocą zagranicy mogą w Polsce robić, co chcą, a demokratycznie wybraną władzę sprowadzić do roli figuranta. Skoro przyznaliśmy TSUE rolę arbitra naszego porządku prawnego, to z pewnością będzie on korzystał z tego uprawnienia.

Jeśli traktować wystąpienie Manowskiej jako próbę gry na czas, aby pod pretekstem niewypełnienia wyroku, KE, a w konsekwencji cała UE, nie zakwestionowała funduszu odbudowy dla Polski, to jest ono podejściem bardzo naiwnym, gdyż instytucje unijne informowane przez swoich eksponentów w naszym kraju doskonale sobie zdają sprawę z możliwości takiej strategii i łatwo mogą ją zablokować. Po zakwestionowaniu przez obecne władze nadrzędności polskiego prawa wobec instancji unijnych będzie to z ich strony dużo prostsze.

Władza Zjednoczonej Prawicy parokrotnie już ustępowała wobec bezprawnej presji UE, usiłując wykazać wolę porozumienia z dominującymi w niej

eprasa.pl 7fbdb83319

środowiskami. Spowodowało to tylko kolejne interwencje. Establishment UE, tak jak podporządkowana mu jego polska reprezentacja, nie chce porozumienia z demokratycznie wybranymi władzami. Domaga się ich kapitulacji. Solą w oku europejskiej oligarchii nie jest takie czy inne posunięcie rządu Morawieckiego, jest jego istnienie. Bruksela, czyli ogólnie rzecz biorąc Berlin, mogłaby ostatecznie tolerować jego trwanie, gdyby wyrzekł się on podmiotowości w polityce zewnętrznej i wewnętrznej oraz przyjął kurs gabinetu Tuska. Wtedy mogłaby się pogodzić z nim nawet część establishmentu III RP. Tylko po co wówczas byłby ten rząd i cały PiS? Po to, aby nieco lepiej lawirować wśród interesów możnych i wywalczyć może troszkę lepszą kondycję dla Polaków?

Polityka stoi na kompromisie, ale prowadzona jest w jakimś celu. Rządy PiS miały zmienić stan rzeczy, w którym państwo nie reprezentuje obywateli, ale jest zakładnikiem silnych zewnętrznych i wewnętrznych środowisk. Jeśli partia Kaczyńskiego rezygnuje z tego imperatywu, to stawia pod znakiem zapytania swoją misję.

* * *

W czasie, gdy Manowska wysyłała swoje pisma, polska Krajowa Rada Sądownictwa, która ją powołała, ogłosiła „Stanowisko KRS ws. orzeczenia TSUE".

„Trybunał [TSUE] postanowił odnosić się nie do faktów, co zawsze powinno być podstawą jakiejkolwiek decyzji jurysdykcyjnej, lecz do obaw i wrażeń, których uwzględnianie przynależy do sfery polityki i publicystyki" – czytamy w nim. Sędziowie podkreślają, że TSUE nie odnotowało żadnego konkretnego przykładu działania KRS – a w obecnym kształcie funkcjonuje już ona ponad trzy lata – który budzić mógłby wątpliwości w odniesieniu do jej niezależności. I dalej: „trudno nie odnieść wrażenia, że unijny trybunał w wyroku stanął na stanowisku, iż wyłącznie rada sądownicza, której członkowie nie pochodzą z wyboru dokonanego przez parlament, lecz są wybierani przez samych sędziów, daje gwarancje niezawisłości powołanych przez nią sędziów".

W ten sposób – zdaniem Rady – TSUE odszedł od swojego wcześniejszego orzecznictwa i podważył pośrednio niezawisłość sędziów we wszystkich państwach członkowskich Unii Europejskiej, w których wybór członków rady sądowniczej dokonywany jest przez parlament albo w których rady sądownicze w ogóle nie istnieją. Jednak niezawisłość sędziów w tych państwach nigdy nie była kwestionowana. Dodatkowo KRS podkreśliła, że dopiero od 2018 r. wybór sędziów do Sądu Najwyższego stał się przejrzysty i poddany kontroli ze strony przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego.

Polityka stoi na kompromisie, ale prowadzona jest w jakimś celu. Rządy PiS miały zmienić stan rzeczy, w którym państwo nie reprezentuje obywateli, ale jest zakładnikiem silnych zewnętrznych i wewnętrznych środowisk. Jeśli partia Kaczyńskiego rezygnuje z tego imperatywu, to stawia pod znakiem zapytania swoją misję

Dodać warto, że ledwie parę tygodni przed ogłoszeniem, iż wybór Izby Dyscyplinarnej w Polsce nie spełnia standardów prawnych UE, TSUE uznało, że zgodne z nimi jest nominowanie sędziów przez premiera na Malcie.

Czytelnicy „Sieci" doskonale wiedzą, że wtrącanie się Trybunału w Luksemburgu w polski ustrój sądowniczy narusza porządek prawny UE. Nawet prawnicy III RP, którzy zwracają się o pomoc do swoich komilitonów na Zachodzie, muszą dokonywać nie lada prawnych łamańców, aby uzasadnić ich ingerencje w naszą niepodległość. Oto przykład „Stanowiska Zespołu Ekspertów Prawnych Fundacji im. Stefana Batorego". Nawet ci, opłacani przez Sorosa prawnicy, którzy reprezentują radykalne skrzydło antyrządowe, tak uzasadniają swoje stanowisko: „Wskazujemy, że z utrwalonego orzecznictwa TSUE wynika, że jakkolwiek organizacja wymiaru sprawiedliwości w państwach członkowskich należy do kompetencji tych państw, jednak przy wykonywaniu tej kompetencji państwa członkowskie mają obowiązek dotrzymywać zobowiązań wynikających z prawa Unii Europejskiej. W rezultacie TSUE przesądził m.in., że zarówno tryb wyboru członków KRS, jak i sposób wykonywania obowiązków przez KRS podlegają ocenie z punktu widzenia prawa Unii Europejskiej. Potencjalny brak niezależności KRS od władzy ustawodawczej i wykonawczej podważa niezawisłość sędziów i może negatywnie wpływać na ich bezstronność, co stanowi podstawę do zakwestionowania niezależności sądów, w których orzekają tak powołani sędziowie".

Wynika z tego, że „mamy kompetencje", ale ich nie mamy, bo „potencjalny brak niezależności może negatywnie wpływać". Czy piszący to prawnicy są tak politycznie zacietrzewieni, że nie widzą groteskowości swoich wywodów? Ponieważ organy demokratycznego państwa mogą potencjalnie wpływać na niezależność sędziów, lepiej poddać je zewnętrznej kurateli.

„Przede wszystkim zgadzam się z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego. Uważam, że w ogóle wymiar sprawiedliwości to nie jest ten obszar, w który TSUE jest uprawniony do ingerowania (...) Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby nasza suwerenność była łamana poprzez działania pozatraktatowe" – oświadczył prezydent Duda. Nie sposób pogodzić tych sformułowań z tezami wystąpienia prezes Manowskiej i zmianami prawa pod dyktando TSUE. Czy rządzący w Polsce naprawdę liczą, że ułagodzą UE, idąc na kolejny kompromis?

eprasa.pl 7fbdb83319

Coś się stało z igrzyskami



Zainteresowanie olimpiadą jest wyraźnie mniejsze niż w poprzednich latach. Z powodu pandemii zawody rozgrywane są bez udziału publiczności, a rywalizację o medale przesłoniły ideologiczne i polityczne manifestacje. Być może czeka nas więc zmierzch idei olimpijskiej



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Igrzyska w Tokio od dawna prześladuje pech. To już trzeci raz, gdy japońska stolica organizuje olimpiadę. Za pierwszym razem miały się one odbyć w 1940 r., ale te plany pokrzyżowała wojna. Ostatecznie sportowcy spotkali się na igrzyskach w Tokio dopiero w 1964 r., ale już w zupełnie innych realiach międzynarodowych.

Po raz kolejny mieli przystąpić do zawodów olimpijskich w zeszłym roku, jednak niespodziewanie wybuchła pandemia i otwarcie igrzysk trzeba było przesunąć o rok. To wydarzenie bez precedensu, dotąd bowiem w sytuacjach, gdy zawody nie mogły się odbyć, po prostu je odwoływano. Jednak pandemia to nie wojna, więc XXXII igrzyska ostatecznie doszły do skutku. Tyle że – również po raz pierwszy w historii – bez publiczności na trybunach.

KŁOPOTLIWE IGRZYSKA

Czytelnicy, zwłaszcza ci w średnim lub starszym wieku, pamiętają zapewne, że olimpiada letnia była kiedyś wielkim wydarzeniem sportowym. Z uroczystym, patetycznym ceremoniałem i śledzonymi na całym świecie zmaganiami stanowiła powód do dumy dla kraju będącego gospodarzem, a także bodźcem do jego rozwoju – w Japonii przykładowo pozostałością po poprzedniej olimpiadzie z 1964 r. jest znakomicie dziś rozwinięta sieć szybkich kolei Shinkansen. Dziś jednak jest zupełnie inaczej.

Termin otwarcia olimpiady w Tokio do samego końca wisiał na włosku, bo – to kolejne novum – igrzysk nie chcieli mieszkańcy Tokio. W Japonii ciągle rosną wskaźniki zakażeń koronawirusem, dlatego dość powszechnie obawiano się niekontrolowanego wybuchu zarazy. W styczniu – według informacji brytyjskiego dziennika „The Times" – rząd japoński miał całkiem poważnie rozważać odwołanie igrzysk i przeniesienie ich na pierwszy wolny termin, który przypadał dopiero w 2032 r. Jak wiemy, ostatecznie do tego nie doszło.

Fot. Oli SCARFF / AFP / EastNews

eprasa.pl 7fbdb83319



Nie zmienia to jednak faktu, że japońscy gospodarze igrzysk postanowili zrobić wszystko, aby uspokoić złe nastroje w kraju. Przede wszystkim zrezygnowano z udziału publiczności i bardzo zaostrzono reżim sanitarny. Niewiele to jednak pomogło, bo – jak wynika z sondażu opinii publicznej przeprowadzonego przez Kyodo News tuż przed otwarciem igrzysk – aż 87 proc. ankietowanych wyrażało poważny niepokój w związku z olimpiadą, a blisko jedna trzecia z nich chciała jej odwołania.

Olimpiada jest na tyle niepopularna, że japońskie firmy sponsorujące zawody, nie chcąc narażać się na utratę klientów i straty wizerunkowe, postanowiły się wycofać z emisji reklam promujących igrzyska. Jako pierwsza zdecydowała się na taki krok Toyota, a jej prezes Akio Toyoda odwołał swój udział w ceremonii otwarcia. Później w ślad Toyoty poszły jeszcze firmy takie jak Panasonic i Bridgestone. Z kontraktów sponsorskich zrezygnowali także producenci żywności i gadżetów – nic dziwnego, bo nie byłoby komu ich sprzedawać.

Sytuacja, w której promocja olimpiady może zaszkodzić wizerunkowi firmy lub jej dochodom, jest bezprecedensowa. W tej chwili nie zaszkodzi to jeszcze Międzynarodowemu Komitetowi Olimpijskiemu (MKOl), bo duże kontrakty sponsorskie i reklamowe są zazwyczaj wieloletnie, ale jeżeli obecny spadek zainteresowania igrzyskami okaże się bardziej trwały, to za kilka lat ruch olimpijski może czekać poważny kryzys.

PANDEMICZNE ZNUŻENIE

Potencjalne kłopoty budżetowe mogą zresztą dotyczyć nie tylko igrzysk olimpijskich. Słabsze zainteresowanie – choć nie aż tak niskie jak w przypadku olimpiady – notuje się również ostatnio w przypadku innych wydarzeń sportowych, jak choćby niedawnego Euro 2020. Tu wprawdzie dopuszczono niewielką liczbę publiczności na trybunach, ale chodzi głównie o telewidzów. A ci nie dopisali już tak bardzo jak kiedyś. W przypadku olimpiady w Tokio jest jeszcze gorzej, bo nie dość, że emocje nie te, to jeszcze ze względu na różnicę czasu transmisje odbywają się w Europie w środku nocy lub nad ranem. Mało kto jest tak zdeterminowany, aby ślęczeć o tej porze przed telewizorem, choć pewnej nocy słyszałem przez okno, jak ktoś wyjątkowo wytrwały oglądał transmisję z igrzysk.

Oczywiście to nie pierwszy raz w historii, gdy olimpiada odbywa się w innej strefie czasowej, więc eksperci tłumaczą słabsze zainteresowanie igrzyskami reakcją na pandemię, która wymusiła u ludzi długie przebywanie w domach i spowodowała tym samym przesyt internetem oraz telewizją. Inni dodają, że nie opłaca się organizować w jednym roku dwóch dużych wydarzeń sportowych, bo z jednej strony publiczność jest znużona, a z drugiej sponsorzy – zwłaszcza w dobie pandemii – muszą się bardziej liczyć z finansami.

> Spośród reprezentacji obecnych na igrzyskach w Tokio najważniejsza stała się ponadnarodowa reprezentacja przedstawicieli środowisk LGBT

Wszystko więc teoretycznie powinno wrócić za jakiś czas do normy. Ale tylko teoretycznie, bo zapewne łatwiej będzie znaleźć sponsorów na rozgrywki w mocno skomercjalizowanych dyscyplinach, takich jak piłka nożna, niż na wyraźnie coraz mniej pociągającą olimpiadę z jej niszowymi zawodami, atrakcyjnymi wyłącznie dla pasjonatów.

Wiadomo już, że tegoroczna olimpiada, pozbawiona turystów, publiczności i reklam, przyniesie straty finansowe. Nie wiadomo tylko, czy będą one na tyle wysokie, aby pobić dotychczasowy rekord z 2000 r. w Sydney, gdy siedmiokrotnie przekroczono początkowy budżet i utopiono ponad 2 mld dol. Jak na razie łączne koszty XXXII igrzysk wyniosły 15,6 mld dol., czyli dwukrotnie więcej niż planowano, z tego 3 mld dol. pochłonęły same środki bezpieczeństwa związane z pandemią. Jednak zdaniem ekspertów tegoroczna olimpiada może kosztować od 22 do nawet 28 mld dol. Jak z tego wynika, igrzyska w dzisiejszych czasach coraz mniej się opłacają.

POLITYKA ZAMIAST SPORTU

W sytuacji, gdy gospodarze olimpiady nie mogą się doczekać jej zakończenia, sponsorzy zachowują bezpieczny dystans, a na trybunach nie ma publiczności, pojawiają się nieoczekiwanie zupełnie inne emocje. I to zgoła niesportowe. Dość bezbarwna olimpiada w Tokio stała się bowiem areną wydarzeń politycznych oraz głośnych manifestacji ideologicznych.

Najgłośniejszym echem odbiła się – jak dotąd – próba porwania białoruskiej lekkoatletki Krysciny Cimanouskiej, która ośmieliła się skrytykować trenerów swojej kadry w kwestiach dotyczących walki z dopingiem. Cimanouska, którą w odpowiedzi na krytykę białoruski reżim wycofał z zawodów i chciał ściągnąć karnie do Mińska, zdołała wyrwać się swoim „opiekunom" na lotnisku w Tokio, skąd ostatecznie – z pomocą polskich władz – przybyła do Warszawy, MKOl wszczął zaś śledztwo w jej sprawie.

Potyczka Cimanouskiej z reżimem Łukaszenki zdominowała przez kilka dni doniesienia z Tokio, odsuwając na dalszy plan kwestie sportowej rywalizacji. Oczywiście podobne sytuacje działy się już w przeszłości. Polityka często łączy się ze sportem, niekiedy nawet w dramatyczny sposób. Wystarczy przypomnieć sobie olimpiadę w Monachium z 1972 r., gdy terroryści palestyńscy dokonali zamachu na sportowców z Izraela. Emocje polityczne towarzyszyły też igrzyskom w Moskwie (1980 r.) odbywającym się w cieniu sowieckiej agresji na Afganistan. Z udziału w moskiewskiej olimpiadzie zrezygnowały wtedy w proteście Stany Zjednoczone i wiele innych państw. W odwecie państwa komunistyczne (z wyjątkiem Rumunii) zbojkotowały cztery lata później igrzyska w Los Angeles. Zmagania sportowe – lub ich brak w przypadku bojkotu – były więc niejako uzupełnieniem rywalizacji międzynarodowej. Dziś jednak trudno szukać podobnych emocji w rywalizacji chińsko-amerykańskiej, a znajdująca się na dalszych pozycjach Rosja, w ramach

eprasa.pl 7fbdb83319

kary za stosowanie dopingu u swoich sportowców, nie występuje na obecnej olimpiadzie pod swoją flagą.

Żadną nowością nie są też demonstracje ideologiczne podczas olimpiady – najsłynniejszym przykładem są tu berlińskie igrzyska z 1936 r. Dotąd jednak mieliśmy do czynienia z politycznymi lub ideologicznymi gestami państw, teraz zaś wykonują je poszczególni uczestnicy igrzysk. Jest to o tyle zaskakujące, że tego rodzaju manifestacje są sprzeczne z duchem olimpijskim zakładającym czysto sportową rywalizację. Okazuje się jednak, że ten duch jest wśród sportowców coraz słabszy.

W tym kontekście warto wspomnieć o sporym skandalu, który wywołały deklaracje dwóch judoków: jednego z Algierii, a drugiego z Sudanu, którzy odmówili wyjścia na ring przeciwko Izraelczykowi. Jeden z nich miał powiedzieć, że nie chce sobie „brudzić rąk" dotykaniem zawodnika z Izraela. Obaj zostali ukarani przez Międzynarodową Federację Judo za naruszenie „rygorystycznych zasad przeciwko dyskryminacji".

ZAWODY LGBT

W czasie gdy federacja judo walczy z dyskryminacją w swojej dyscyplinie, MKOl, raczej z umiarkowanym sukcesem, próbuje pilnować, zgodnie z własną deklaracją z jesieni 2020 r., aby ideologia i polityka całkiem nie przesłoniły sportu. Wiąże się to – choć nie tylko – z przybierającą falą lewicowego radykalizmu zalewającą w ostatnich latach społeczeństwa zachodnie.

Przedsmak zideologizowania sportu mieliśmy podczas turnieju Euro 2020, gdy m.in. drużyna angielska przyklękała przed każdym meczem w geście „protestu przeciw rasizmowi", a barwy tęczy pojawiały się w różnych konfiguracjach – a to na opasce kapitana drużyny niemieckiej (a potem i angielskiej), a to na zdalnie sterowanym samochodziku Volkswagena, który podwoził piłkę na boisko. UEFA nie dostrzegła w tym żadnej manifestacji politycznej, przeciwnie – uznała to za deklarację „różnorodności" i otwarcie wsparła środowiska LGBT. Zapalono tym samym zielone światło dla podobnych demonstracji w przyszłości, także w trakcie olimpiady. Nic więc dziwnego, że brytyjskie piłkarki zadeklarowały, iż wbrew zakazowi MKOl i tak będą przyklękać przed każdym meczem na jedno kolano.

Wygląda też na to, że spośród reprezentacji obecnych na olimpiadzie i ich klasyfikacji medalowych najważniejsza stała się ponadnarodowa reprezentacja przedstawicieli środowisk LGBT. Jak skrupulatnie wyliczono, w tokijskiej olimpiadzie bierze udział rekordowa liczba sportowców LGBT – 142 osoby. Dla porównania w poprzednich igrzyskach w Rio de Janeiro występowało 56 takich zawodników, a w 1988 r. w Seulu zaledwie jeden (amerykański jeździec Robert Dover).

> Ideologiczne manifestacje są sprzeczne z duchem olimpijskim zakładającym czysto sportową rywalizację. Okazuje się jednak, że ten duch jest wśród sportowców coraz słabszy

Podkreśla się również, że w kobiecej reprezentacji Kanady w piłce nożnej startuje 26-letnia (26-letni?) Quinn deklarujący się (deklarująca się?) jako osoba niebinarna. Najwięcej emocji budzi jednak 43-letnia sztangistka Laurel Hubbard z Nowej Zelandii. Niespełna dziesięć lat temu była ona mężczyzną o imieniu Gavin, który pobił kilka rekordów w kategorii juniorów. Krytycy dopuszczenia Hubbard do zawodów olimpijskich zwracali uwagę, że ma ona inny budulec mięśni i była trenowana inaczej jako mężczyzna, co musi przełożyć się teraz na wynik rywalizacji. Zawodniczka spełniła jednak kryteria kwalifikacyjne MKOl. Belgijka Anna Van Bellinghen, która również jest sztangistką, uważa, że obecność Hubbard wśród kobiet należy uznać za „kiepski żart". „Jesteśmy bezsilne. Debata odbywa się pod kątem dyskryminacji osób transgenderowych i jest naznaczona ideologią" – mówi belgijska zawodniczka. Hubbard nie odniosła jednak sukcesu w Tokio.

LICZĄ SIĘ PREFERENCJE

W chwili gdy piszę te słowa, nie wiadomo jeszcze, jak tak szeroka obecność osób LGBT przełoży się na wyniki sportowe, w każdym razie – jak donoszą media – złoty medalista w kategorii skoków synchronicznych do wody, Brytyjczyk Tom Daley, w czasie przerw między zawodami robi swetry na drutach, które zamierza potem sprzedać na aukcji, a z zarobionych pieniędzy wesprzeć „homoseksualne dzieci wyrzucone z domów przez rodziców". W ten sposób, jak twierdzi, wspiera postulaty LGBT.

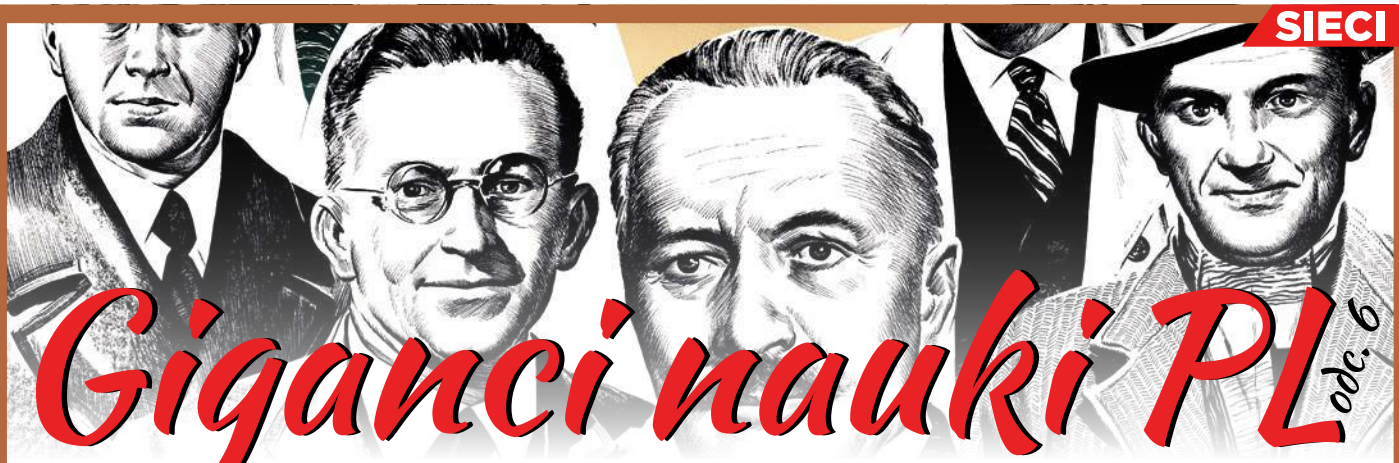
Daley po zdobyciu złotego medalu ogłosił, że jest „niesamowicie dumny" z tego, iż jest gejem i mistrzem olimpijskim. Lewicowy dziennik „Guardian" skomentował jego zwycięstwo zdaniem, że „cała nadzieja, rozczarowanie, rozpacz i radość, jakie Brytyjczyk znosił przez ostatnie 13 lat [odkąd dokonał coming outu], zostały oczyszczone olimpijskim złotem". Do niedawna wydawało się, że w Polsce nie ma rozróżnienia na sportowców LGBT i pozostałych. O tym, że wszystko się zmienia, przekonał się w zeszłym tygodniu prezydent Andrzej Duda, który pogratulował srebrnego medalu polskim żeglarkom. Jedną z medalistek jest Jolanta Ogar, która używa również podwójnego nazwiska Ogar-Hill po swojej – nieuznawanej w Polsce prawnie – żonie. Prezydent został zalany falą hejtu przez aktywistów LGBT, którzy wypominali mu pominięcie drugiego członu nazwiska, choć formalnie – zgodnie z dokumentami – żeglarka ma tylko jednoczłonowe nazwisko i właśnie pod nim występuje w igrzyskach.

Wszystko, o czym piszę, wskazuje na to, że igrzyska w Tokio nie zapiszą się w historii jako ważne wydarzenie sportowe. Bo jeśli zamiast o rywalizacji sportowców mówi się dziś głównie o ich preferencjach seksualnych czy o tzw. tożsamości płciowej, to nie jest to już widowisko sportowe, lecz impreza polityczna lub propagandowa.

Coś się stało z olimpiadą. Coś niedobrego.

eprasa.pl 7fbdb83319

SIECI



Giganci nauki PL odc. 6

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Mamy w naszej historii wspaniałych odkrywców i wynalazców, zmieniających losy Polski i świata. Często wiemy o nich niewiele albo zgoła nic. Przez całe dziesięciolecia od wojny byli świadomie zapominani i niedoceniani. Nadszedł czas, byśmy mogli z dumą o nich mówić i przypominać Polsce i światu o wspaniałych rodakach



Jerzy Dąbrowski *(1899–1967)*

rys. Krzysztof Wyrzykowski

PARTNER DODATKU

ORLEN

PARTNER MERYTORYCZNY

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN

eprasa.pl 7fbdb83319

Razem z pionierami

Wbrew czarnemu obrazowi tworzonemu z inicjatywy i za pieniądze rosyjskie oraz pruskie Rzeczpospolita epoki oświecenia nie była oazą ciemnoty na mapie Europy. Docierały tutaj i budziły zainteresowanie zdobycze ówczesnej nauki – mówi prof. Bolesław Orłowski



W XVIII w. eksperymenty naukowe zajmowały nie tylko uczonych. Nierzadko widzami byli zwykli ludzie. Szczególne zaciekawienie, wręcz entuzjazm, budziły eksperymenty elektryczne i baloniarstwo. Czy mieszkańcy XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej również fascynowali się tego rodzaju pokazami?

Prof. Bolesław Orłowski: Wieść o eksperymentach balonowych braci Montgolfier szybko dotarła nad Wisłę. Pierwszy wzlot balonu na ogrzane powietrze odbył się 5 czerwca 1783 r. W sierpniu francuski fizyk Jacques Charles zaprezentował w Paryżu balon wypełniony lżejszym od powietrza wodorem. A 8 października w „Gazecie Warszawskiej" ukazała się korespondencja z Paryża rozpoczynająca się od stwierdzenia: „Mamy świeży wynalazek, który Zwierzchność tutejsza osądziła za rzecz przyzwoitą podać do wiadomości publicznej, zabiegając próżnym strachom, które by nowość rzeczy sprawić mogła między pospólstwem". Pisano w niej, że nie należy bać się maszyn latających, bo są to obiekty konstrukcji ludzkiej, a nie jakieś szatańskie sztuczki. W ten sposób nawiązano do wydarzenia z pewnej podparyskiej wsi, której mieszkańcy potraktowali balon jako narzędzie szatana i zniszczyli go. Widać już w 1783 r. zdawano sobie sprawę, że nowe urządzenie lada dzień pojawi się i u nas.

W lutym 1784 r. polskie próby balonowe zainaugurował nadworny chemik króla Stanisława Augusta, Stanisław Okraszewski. Niebawem nastąpiły kolejne, finansowane przez króla i bogatych mieszczan warszawskich. W Krakowie grupa uczonych z Janem Śniadeckim na czele prowadziła je w sposób naukowy, konsultując się z uczonymi francuskimi.

Doświadczenia zahamowała proza życia. Komisja Edukacji Narodowej nadzorująca finanse krakowskiej uczelni narzekała na wysokie koszta i niewielkie – jak sądzono – praktyczne znaczenie eksperymentów. Uznano, że baloniarstwo należy pozostawić narodom bardziej opływającym w dostatki.

Ograniczenie budżetowe powraca od czasu do czasu w naszej historii.

Balonami zajmowały się też osoby prywatne. Pierwszy lot załogowy odbył się w Puławach w 1784 r. Polskim Ikarem został kot Izabeli Czartoryskiej imieniem Filuś. Lot zakończył się śmiercią zwierzęcia na skutek kolizji z drzewem. Wiemy o tym dzięki poematowi Franciszka Dionizego Kniaźnina „Balon, czyli wieczory puławskie".

Przez kilka następnych lat panował zastój. Ponowny wzrost zainteresowania wywołały warszawskie pokazy francuskiego aeronauty Jeana-Pierre'a Blancharda. W maju 1789 r. wykonał pierwszy w Polsce lot załogowy, a rok później na pokład balonu zabrał Jana Potockiego, znanego podróżnika i pisarza, autora „Rękopisu znalezionego w Saragossie". Pokazy Blancharda zainspirowały Adama Naruszewicza do napisania sonetu „Balon", pochwały potęgi ludzkiego rozumu. „Choć się Natura troistym grodzi/ Ze stali murów opasem,/ Rozum człowieczy wszędzie przechodzi./ Niezłomny, pracą i czasem".

Drugą pasją wieku oświecenia była elektryczność...

Obie te dziedziny łączy w Polsce osoba Józefa Hermana Osińskiego, zakonnika pijara, z wykształcenia teologa, który spędził cztery lata w Wiedniu i Paryżu jako opiekun młodego Stanisława Sołtyka i przy okazji zapoznał się z najnowszymi osiągnięciami fizyki i chemii. Po powrocie do Warszawy dawał w Collegium Nobilium przy Miodowej ilustrowane doświadczeniami wykłady z fizyki. Uczestniczyli w nich nie tylko uczniowie, ale i liczna publiczność. Osiński ogłosił kompendium „Fizyka doświadczeniami potwierdzona", w którym zawarł niemal całą ówczesną wiedzę. Wydał też rozprawę „Robota machiny powietrznej pana Mongolfier" (w tytule był błąd w nazwisku) o balonach, a także dziełko „Sposób ubezpieczający życie i majątek od piorunów" (1784), w którym opisał konstrukcję piorunochronów. Osiński był popularyzatorem rozległego spectrum nauk.

Podsumowując, wbrew czarnemu obrazowi tworzonemu z inicjatywy i za pieniądze rosyjskie oraz pruskie, Rzeczpospolita epoki oświecenia nie była oazą ciemnoty na mapie Europy. Docierały tutaj i budziły zainteresowanie zdobycze ówczesnej nauki. W 1812 r. Napoleon z Wielką Armią wkroczył do Wilna. Zwiedzając uniwersytet, arogancko zapytał Jędrzeja Śniadeckiego: „Jakiej to chemii uczy się w Wilnie?". Ten odpowiedział: „Takiej samej chemii jak w Paryżu, Sir". I nie było w tym cienia przesady.

Rozmawiał prof. Michał Kopczyński

eprasa.pl 7fbdb83319

Wysokie loty

Dziś omawiamy drugą, ze względów praktycznych ważniejszą gałąź przemysłu lotniczego II RP, jego produkcję wojskową. W tej konkretnej dziedzinie sanacja (po polsku: uzdrowienie), do której doszło po przewrocie majowym (1926), nie była pustym słowem. Wcześniejszy marazm, brak planu i zdobywanie sympatii Francji kupowaniem od niej przestarzałego sprzętu lotniczego zastąpiono produkcją własną, mającą wysoką pozycję na międzynarodowym rynku konstrukcji lotniczych. Polska jako jedno z pierwszych państw dysponowała myśliwcami o całkowicie metalowej konstrukcji, sprzedawała licencje, potrafiła stworzyć taki bombowiec, jak PZL.37 Łoś. Samolot o pionierskim podówczas opływowym profilu laminarnym, mogący osiągać szybkość 460 km/h – lepszą niż zdecydowana większość ówczesnych myśliwców, wyposażony w podwozie wahliwe z bliźniaczymi kołami, które stało się pierwowzorem współczesnych wielokołowych podwozi samolotowych.

Łoś to była wizytówka szczytowych ówczesnych możliwości nie tylko polskich – wręcz światowych. Dlatego dzisiejszy odcinek otwiera życiorys jego głównego twórcy, Jerzego Dąbrowskiego. Uzupełniają go opowieści o współtwórcy Łosia, Piotrze Kubickim i – dla zachowania równowagi – o najważniejszym konstruktorze naszych przedwojennych myśliwców, Zygmuncie Puławskim. Opowieści oparte są na biogramach pióra Andrzeja Glassa.

Jerzy Dąbrowski (1899–1967)

W dwusilnikowym bombowcu PZL.37 Łoś Dąbrowski użył po raz pierwszy specjalnego cienkiego profilu skrzydła. Podobne pierwsze profile laminarne w samolotach zaczęto stosować dopiero podczas II wojny światowej

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Jerzy Dąbrowski urodził się 8 września 1899 r. w Nieborowie k. Łowicza. Był synem Michała Junoszy-Dąbrowskiego, urzędnika kolejowego, i Kazimiery z Cichockich. Maturę zdał w 1921 r. w Szkole Rady Głównej Opiekuńczej w Warszawie, rozpoczął studia na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej, w 1922 r. przeniósł się na wydział mechaniczny. Po śmierci ojca w 1923 r. utrzymywał matkę i rodzeństwo, udzielając korepetycji. Po uzyskaniu półdyplomu przerwał studia i od kwietnia 1923 r. do października 1926 r. pracował w Wojskowej Centrali Badań Lotniczych. Brał wówczas udział w projektowaniu samolotu WZ-X pod kierunkiem inż. W. Zalewskiego. Skonstruował też w tym okresie jednomiejscowy wolnonośny dwupłat D-1 Cykacz, jeden z pierwszych polskich samolotów sportowych, zbudowany w Centralnych Warsztatach Lotniczych w 1925 r.

Następnie był pracownikiem biura konstrukcyjnego wytwórni samolotów Zakłady Mechaniczne E. Plage i T. Laśkiewicz w Lublinie. Wziął wówczas udział w projektowaniu samolotu rozpoznawczego bombowego Lublin R-VIII konstrukcji Jerzego Rudlickiego. Równocześnie zaprojektował wraz z A. Uszackim dwumiejscowy samolot sportowy DUS-III Pta-Pta, zbudowany w 1928 r. w warsztatach Lubelskiego Klubu Lotniczego.

Od lutego 1928 r. Dąbrowski zatrudnił się jako szef grupy konstrukcyjnej w biurze konstrukcyjnym Państwowych Zakładów Lotniczych (PZL) w Warszawie, gdzie w latach 1928–1929 wraz z inż. F. Kottem zaprojektował dwumiejscowy samolot łącznikowy PZL Ł.2 (oblatany w 1929 r. i zbudowany w 1931 r. w serii 30 szt.). Na samolocie PZL Ł.2 S. Skarżyński i A. Markiewicz wykonali w 1931 r. lot dookoła Afryki o długości ponad 25 tys. km. Był to pierwszy długodystansowy rajd na samolocie polskiej konstrukcji. W 1928 r. Dąbrowski zaprojektował ślizgacz wodny napędzany silnikiem lotniczym, przeznaczony dla prezydenta I. Mościckiego, wykonany w PZL. W 1932 r. wraz z Franciszkiem Misztalem zaprojektowali trójmiejscowy samolot sportowy PZL.19, zbudowany w 1932 r. w trzech egzemplarzach. Wziął on udział

eprasa.pl 7fbdb83319

w Międzynarodowych Zawodach Samolotów Turystycznych – Challenge. W 1933 J. Bajan zdobył na PZL.19 pierwsze miejsce w Międzynarodowym Zlocie Alpejskim. Z punktu widzenia aerodynamiki PZL.19 był pierwszym polskim nowoczesnym samolotem. Opracowany przez Dąbrowskiego aerodynamiczny kształt jego skrzydła stał się wzorem dla następnych modeli. Między innymi Piotr Kubicki, przy współudziale F. Misztala, zaprojektował pod kierunkiem Dąbrowskiego samolot sportowy PZL.26. Pięć samolotów tego typu brało udział w Challenge w 1934 r., lecz z powodu wad silnika trzy nie ukończyły zawodów.

W latach 1934–1936 Dąbrowski skonstruował, przy współpracy P. Kubickiego, dwusilnikowy bombowiec PZL.37 Łoś, zbudowany w 1936 r. Dąbrowski zaprojektował do tego samolotu cienki profil skrzydła, o maksymalnej grubości w 40 proc. cięciwy. Do tego kształtu były zbliżone pierwsze profile laminarne, które w samolotach zaczęto stosować dopiero podczas II wojny światowej. Profil ten, przebadany w Instytucie Aerodynamicznym PW, otrzymał oznaczenie IAW-743. Badania aerodynamiczne wykazały, że miał on zaskakująco mały współczynnik oporu. Profil ten zastosowano następnie w samolotach PZL.38 Wilk, PZL.44 Wicher, PZL.46 Sum i PZL.50 Jastrząb. Do wybuchu II wojny światowej wybudowano około stu Łosi. Był to najnowocześniejszy samolot polskiego lotnictwa wojskowego do 1939 r. Rozwinięcie Łosia stanowił bombowiec PZL.49 Miś, lecz jego budowę udaremnił wybuch wojny. W 1934 r. Dąbrowski wykonał projekt wstępny samolotu myśliwsko-bombowego PZL.38 Wilk, oparty na kształtach aerodynamicznych Łosia. W latach 1938–1939 opracował także projekt wstępny samolotu sportowego, będącego ewolucją samolotu PZL.26, a w lecie 1939 r. – projekt wstępny samolotu myśliwskiego PZL P.62.

We wrześniu 1939 r. wraz z pracownikami przemysłu lotniczego Dąbrowski ewakuował się przez Rumunię do Wielkiej Brytanii. Stamtąd udał się do Francji, gdzie służył w stopniu podporucznika jako referent w dowództwie Polskich Sił Powietrznych, a od czerwca 1940 r. – w Centrum Wyszkolenia Lotniczego w Lyon-Bron. Po kapitulacji Francji przedostał się do Wielkiej Brytanii, gdzie pracował m.in. w Bazie Lotniczej Polskich Sił Powietrznych w Blackpool, w Biurze Instrukcji i Tłumaczeń, a od 1944 r. – w Wydziale Studiów Technicznych dowództwa Polskich Sił Powietrznych. Tam odtworzył dokumentację swego samolotu sportowego z 1938 r. i opracował na tej podstawie wraz z P. Kubickim projekt samolotu szkolnego Gazela, którego produkcję miano rozpocząć w Polsce po wojnie.

1 listopada 1944 r. Dąbrowski otrzymał awans na stopień kapitana. Dyplom inżyniera mechanika uzyskał w 1947 r. w Polish University College w Londynie. W 1948–1949 pracował w Bevan Brothers w Chelmsford (Essex) przy konstruowaniu śmigłowca z łopatkami napędzanymi odrzutem. W latach 1940–1954 w Percival Aircraft w Luton (Bedfordshire) brał udział w projektowaniu łoża silnikowego dla samolotu pasażerskiego Pembroke oraz skrzydła do samolotu Jet Provost. Zaprojektował tam (na konkurs) kolejną wersję Gazeli – wojskowy samolot obserwacyjny. W latach 1954–1955 pracował w Foland Aicraft w Hamble k. Southampton (Hampshire) przy konstruowaniu środkowej części płata myśliwca Gnat. W 1955 r. wyjechał do USA. W latach 1955–1957 w Cessna Aicraft w Wichita (Kansas) był kierownikiem grupy projektującej przód kadłuba i usterzenie samolotu Cessna 620. W latach 1958–1959 w Stanley Aviation w Denver (Kolorado) brał udział w projektowaniu fotela wyrzucanego Convair B oraz wyrzucanej kabiny awaryjnej dla naddźwiękowego bombowca Convair B-58 Hustler, a w latach 1959–1967 w Boeing Airplane w Renton (Washington) projektował pomieszczenie załogi i fotele do promu kosmicznego. Był autorem patentów na automatyczny stabilizator i tarciowy amortyzator.

Jego zamiłowaniami były polowania, obserwacja zwierząt i malarstwo.



Jerzy Dąbrowski



eprasa.pl

Piotr Kubicki (1903–1990)



Był autorem większości rozwiązań konstrukcyjnych oraz obliczeń wytrzymałościowych PZL.37 Łoś. Jego pomysłem i patentem było podwozie wahliwe z bliźniaczymi kołami, pierwowzór współczesnych wielokołowych podwozi samolotowych

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Piotr Kubicki, najważniejszy współtwórca Łosia, urodził się 22 grudnia 1903 r. w Taganrogu. Był synem Benedykta, nauczyciela szkoły handlowej, artysty malarza, po 1920 r. profesora wydziału sztuk pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

W latach 1913–1919 Kubicki uczył się w szkole handlowej w Taganrogu. W 1920 r. powrócił do Polski. W tymże roku przez dwa miesiące służył ochotniczo w Armii Pomocniczej jako łącznik w grupie fortyfikacyjnej. W 1923 r. uzyskał maturę w Gimnazjum im. J. Lelewela w Wilnie i rozpoczął studia na wydziale mechanicznym Politechniki Warszawskiej. W roku akademickim 1927/28 pracował w Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej, gdzie pod kierunkiem inż. A. Grzędzielskiego wziął udział w opracowaniu konstrukcji i obliczeń wytrzymałościowych skrzydła samolotu pasażerskiego PWS-20.

W 1931 r. rozpoczął pracę w biurze technicznym Państwowych Zakładów Lotniczych (PZL) w Warszawie, gdzie w zespole inż. Jerzego Dąbrowskiego objął kierownictwo grupy projektującej skrzydło samolotu turystycznego PZL.19, przeznaczonego do udziału w Challenge 1932. Od 1933 r. Kubicki był zastępcą J. Dąbrowskiego i prowadził obliczenia wytrzymałościowe samolotu turystycznego PZL.26 na Challenge 1934. W kwietniu 1935 r. uzyskał dyplom inżyniera mechanika na oddziale lotniczym wydziału mechanicznego PW.

Od jesieni 1934 r. wraz z J. Dąbrowskim projektował samolot bombowy PZL.37 Łoś. Był autorem większości rozwiązań konstrukcyjnych oraz obliczeń wytrzymałościowych tego samolotu. Jego pomysłem i patentem było podwozie wahliwe z bliźniaczymi kołami, pierwowzór współczesnych wielokołowych podwozi samolotowych. Za pracę przy Łosiu otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi.

We wrześniu 1939 r. Kubicki został ewakuowany wraz z pracownikami PZL do Rumunii, a następnie do Anglii. Tam w lutym 1940 r. wraz z J. Dąbrowskim, Stanisławem Rogalskim i Stanisławem Praussem został skierowany do wytwórni samolotów Westland Aircraft w Yeovil w hrabstwie Somerset. Brał udział w dostosowaniu amerykańskich samolotów myśliwskich North American P-51 Mustang oraz opracowaniu konstrukcyjnym odmiany samolotu

Fot. NAC



Samolot bombowy PZL.37 Łoś

eprasa.pl 7fbdb83319

rozpoznawczego Westland Lysander. W latach 1942–1943 Kubicki kierował konstruowaniem środkowej części skrzydła dwusilnikowego samolotu myśliwskiego Westland Welkin, którego zbudowano 60 egzemplarzy. Był to pierwszy brytyjski samolot z kabiną ciśnieniową.

W 1943 r. Kubicki został powołany do nowo utworzonego Działu Technicznego Dowództwa Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, którego zadaniem było przygotowanie do odbudowy po wojnie polskiego przemysłu lotniczego. Wraz z J. Dąbrowskim zajmował się brytyjskimi przepisami budowy samolotów oraz brytyjskimi normami lotniczymi.

Jesienią 1944 r. Kubicki podjął pracę w wytwórni English Electric w Preston w biurze konstrukcyjnym W.E.W. Pettera, z którym współpracował u Westlanda, jako główny inżynier nadzoru masy przy projektowaniu samolotu bombowego Canberra, a następnie naddźwiękowego samolotu myśliwskiego Lightning.

Na początku 1951 r., gdy Petter został dyrektorem wytwórni Folland Aicraft na półwyspie Hamble, Kubicki został w tej wytwórni szefem projektowania lekkiego samolotu myśliwskiego Midge i pod jego kierunkiem powstała dokumentacja konstrukcji tego samolotu. Zbudowano go w serii 15 egzemplarzy, a jego odmianę – Gnat – w serii 150 sztuk. W Indiach produkowano jego odmianę Ajeet.

W grudniu 1952 r. Kubicki wyjechał do Kanady i podjął pracę w wytwórni samolotów Avro Canada w Malton koło Toronto przy projektowaniu naddźwiękowego samolotu myśliwskiego Avro CF-105 Arrow, a następnie kierował modyfikacją 700 samolotów myśliwskich CF-100 Canuck.

W grudniu 1959 r. rozpoczął pracę w wytwórni śmigłowców Piasecki Aircraft Corporation w Filadelfii jako główny konstruktor śmigłowców zespolonych Piasecki 16H-1 Pathfinder i Piasecki 16H-2, zajmował to stanowisko do 1970 r. W 1972 r. przeszedł na emeryturę, ale do 1983 r. był konsultantem w tej wytwórni. W połowie lat 80. zajął się historią polskiej techniki lotniczej i odtwarzał rozwiązania konstrukcyjne samolotu Łoś.

Był członkiem Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii.

Zygmunt Puławski (1901–1931)

Opracował oryginalny projekt samolotu myśliwskiego, który rozsławił jego i wytwórnię PZL. Nowatorskim pomysłem było zaprojektowanie płata o mewim kształcie podpartego zastrzałami. Otrzymał on nazwę płat Puławskiego lub płat polski

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Zygmunt Rafał Puławski urodził się 24 października 1901 r. w Lublinie. Był synem Wojciecha, robotnika fabryki maszyn rolniczych, i Kazimiery z Szumiłłów.

Uczęszczał do Szkoły Handlowej A. i J. Vetterów w Lublinie, należąc do harcerstwa i udzielając płatnych korepetycji. W 1920 r. zdał maturę i latem tego roku zgłosił się do ochotniczego Batalionu Harcerskiego, by uczestniczyć w wojnie polsko-bolszewickiej. Jesienią 1920 r. rozpoczął studia na wydziale mechanicznym Politechniki Warszawskiej, gdzie odznaczał się pilnością, zdolnościami i terminowością w zdawaniu egzaminów. Równocześnie w AZS uprawiał turystykę pieszą, rowerową, górską, narciarstwo, wioślarstwo i kajakarstwo. Zainteresowania lotnicze poszerzał w Sekcji Lotniczej Koła Mechaników działającej od 1922 r. Tam zaprojektował szybowiec SL-3 zbudowany w warsztatach sekcji w 1924 r. W 1925 r. szybowiec ten wziął udział w II Krajowym Konkursie Szybowców na Oksywiu w Gdyni. Podczas studiów Puławski intensywnie uczył się języków francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Pod koniec studiów wziął udział w ogłoszonym przez Departament Żeglugi Powietrznej Ministerstwa Spraw Wojskowych konkursie na projekt samolotu i otrzymał nagrodę za samolot liniowy Scout.



W 1925 r. uzyskał dyplom inżyniera mechanika specjalności lotniczej z wynikiem bardzo dobrym i został skierowany na praktykę lotniczą w wytwórni samolotów Breguet we Francji. W 1926 r. powrócił do kraju i ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Poznaniu, a następnie Szkołę Pilotów w Bydgoszczy. W 1927 r. został przyjęty jako główny konstruktor do Centralnych Warsztatów Lotniczych w Warszawie, które w końcu 1927 r. zostały przekształcone w Państwowe Zakłady Lotnicze (PZL). Tam opracował oryginalny projekt samolotu myśliwskiego, który rozsławił jego i wytwórnię PZL w świecie. Nowatorskim pomysłem było zaprojektowanie płata o mewim kształcie podpartego zastrzałami. Skrzydła takie zapewniają bardzo dobrą widoczność z kabiny przy dużej wytrzymałości. Otrzymały one nazwę płat Puławskie-

Fot. NAC

eprasa.pl 7fbdb83319



Samolot myśliwski PZL P.11

go lub płat polski. Ponadto podwozie dźwigniowe z amortyzatorami schowanymi w kadłubie, co zmniejszało opory aerodynamiczne samolotu. Według tej koncepcji zaprojektował samolot myśliwski PZL P.l, którego prototyp odbył pierwszy lot w sierpniu 1929 r., pilotowany przez kpt. B. Orlińskiego. W czerwcu 1930 r. w konkursie na samolot myśliwski w Bukareszcie PZL P.l zajął pierwsze miejsce w 8 spośród 15 odbywanych konkurencji. Samolot nie wszedł do produkcji w wyniku decyzji władz lotniczych o nieprodukowaniu w Polsce silników dużej mocy o układzie rzędowym, a taki zastosował w nim Puławski. Wówczas Puławski opracował nowy projekt, PZL P.6, dostosowany do silnika o układzie gwiazdowym, którego produkcję podjęto w Polsce. Prototyp PZL P.6 został oblatany w sierpniu 1930 r., a w grudniu tego roku B. Orliński zaprezentował go na Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Paryżu. Tam uzyskał opinię konstrukcji wyprzedzającej budowane w innych krajach. W 1931 r. Orliński na PZL P.6 odniósł sukces w akrobacji w amerykańskich zawodach National Air Races, co rozsławiło ten samolot. Kolejnymi samolotami projektu Puławskiego, będącymi odmianami rozwojowymi P.l, były: P.7 (oblatany w 1930), P.8 i P.11 (oblatane w sierpniu 1931 r.).

W 1930 r. Puławski, za zgodą dyrekcji PZL, zaprojektował do własnego użytku dwumiejscowy samolot amfibię PZL-H (oznaczoną później PZL.12) oblataną przez konstruktora w lutym 1931 r. Samolot ten, pilotowany 21 marca 1931 r. przez Puławskiego, podczas porywistego wiatru, w zakręcie po starcie z Pola Mokotowskiego w Warszawie, zszedł do ziemi i rozbił się niedaleko od miejsca, gdzie stoi obecnie upamiętniający Puławskiego pomnik Lotnika (wcześniej ustawiony na pl. Unii Lubelskiej). Puławski w wyniku ciężkich obrażeń zmarł w drodze do szpitala.

Samoloty Puławskiego weszły do produkcji seryjnej dopiero po jego śmierci. W latach 1932–1933 zbudowano 150 sztuk P.7, a w latach 1934–1936 – 225 P.11a i P.11c. Głównym ich konstruktorem był Wsiewołod Jakimiuk (1902–1991). Samoloty te stały się podstawowymi myśliwcami polskiego lotnictwa do końca lat 30. i na nich nasi piloci bronili polskiego nieba we wrześniu 1939 r. Ponadto wyprodukowano 50 sztuk PZL P.11b, które eksportowano do Rumunii, gdzie na licencji zbudowano też 96 sztuk PZL P.11f. Jako dalsze rozwinięcie P.11 powstał P.24, który był produkowany na eksport do Rumunii, Bułgarii, Grecji i Turcji oraz budowany z licencji w Rumunii i Turcji. Wyprodukowano 149 egzemplarzy P.24. Wszystkich typów samolotów P. zbudowano 655 sztuk, co było osiągnięciem w okresie międzywojennym.

Płat Puławskiego miał też wpływ na rozwój techniki lotniczej w świecie. Powstało wiele samolotów myśliwskich o takim układzie skrzydła. Najszerzej został zastosowany na sowieckich samolotach dwupłatowych Polikarpowa I-15 i I-153 (łącznie 4277 sztuk), włoskich dwupłatowych wodnosamolotach Romeo 43 i 44 (125 sztuk) oraz w dwusilnikowych wodnosamolotach amerykańskich Martin Mariner (1324 sztuki) i sowieckich Berijew Be-6 i Be-12 (132 sztuki). Daje to łącznie ponad 5,5 tys. samolotów z mewim płatem. Ponadto był on zastosowany w wielu szybowcach.

Drugi pomysł Puławskiego, nożycowe podwozie dźwigniowe, jest dotąd stosowany w wielu krajach.

W 1986 r. Sekcja Lotnicza Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników Polskich ustanowiła medal za zasługi dla polskiego lotnictwa – „Skrzydła Puławskiego". Wytwórnia śmigłowców PZL-Świdnik od 1957 r. nosi jego imię.

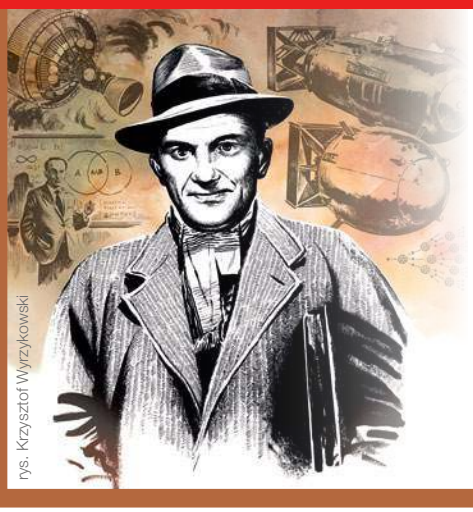
Dodatek powstał we współpracy z IPN | 28/0221/F

eprasa.pl 7fbdb83319

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Kolejny odcinek ukaże się 13 września



rys. Krzysztof Wyrzykowski

w tygodniku SIECI

STANISŁAW ULAM – genialny matematyk, który współtworzył bombę atomową i miał swój udział w wysłaniu człowieka na Księżyc

Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: IPNtv

PARTNERZY MERYTORYCZNI

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PAN IHN





Jako nastolatka zeszła do „Kanału". Potem z pięknej dziewczyny wyrosła aktorka, która dla roli – jak w filmie „Zupa nic" – umiała rezygnować z atutów urody. Ewę Wiśniewską właśnie uhonorowano Wielką Nagrodą Festiwalu „Dwa Teatry"

Od statystki do gwiazdy

Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl 7fbdb83319



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Fot. mat. prasowe

Przez kolejne dekady pokazywała, że piękne dziewczyny (a z czasem piękne kobiety) potrafią błyszczeć i oszałamiać (również aktorsko) nie tylko na ekranie. Także na scenie i przed radiowym mikrofonem.

OSCAR DLA EMILY

Podczas tegorocznej edycji Festiwalu „Dwa Teatry" – jak właśnie ogłoszono – Ewa Wiśniewska otrzyma Wielką Nagrodę przyznawaną za wybitne kreacje w Teatrze Telewizji i Teatrze Polskiego Radia (wyróżnieniem tym uhonorowany zostanie również Jerzy Zelnik).

Wcześniej, jeszcze w sierpniu, będziemy ją mogli zobaczyć na dużym ekranie. W ciekawej roli i niecodziennym anturażu. Z domowo upiętymi włosami, w burym fartuchu rodem z lat 80., jako charyzmatyczna babcia, wpisze się w pełną ciepła opowieść o tym co najważniejsze. Nie tylko w czasach wszechobecnych niedoborów i kartek.

Mowa o filmie „Zupa nic" (w kinach od 27 sierpnia). Jego reżyserka, Kinga Dębska, dwa lata temu zaprosiła aktorkę do tytułowej roli w telewizyjnym przedstawieniu „Oscar dla Emily". To była prawdziwie oscarowa rola.

ZAMOŚĆ W GRZE

Wspomniany spektakl znalazł się wśród 24 konkursowych tytułów – produkcji Teatru Telewizji z lat 2019–2021 – które zaprezentowane zostaną podczas tegorocznego Festiwalu „Dwa Teatry". Jubileuszowa (dwudziesta) edycja odbywa się po przerwie spowodowanej pandemią, w innym niż zwykle terminie (od 17 do 21 września) i w zupełnie nowym miejscu.

„Wybór Zamościa nie jest przypadkowy, od ponad 400 lat obecność sztuki teatralnej wpisana jest w tożsamość miasta. W XVI w. na prośbę Jana Zamoyskiego odgrywano tu pierwsze spektakle" – czytamy m.in. w uzasadnieniu przenosin.

DROGA DO WIDZA

Teatr, w różnych jego odsłonach, bliski jest Ewie Wiśniewskiej od lat. Na telewizyjną scenę trafiła rok po ukończeniu warszawskiej PWST. Przy czym w „Drodze do Czarnolasu" (1964) zagrała, mając już angaż w stołecznym teatrze i na koncie występy w pięciu filmowych tytułach. W trzech nie tylko została wymieniona w obsadzie, ale też dała się zapamiętać widzom (choćby z opóźnieniem). Były to: „Zbrodniarz i panna" (1963), „Życie raz jeszcze" (zaraz po premierze trafił na półkę) oraz „Prawo i pięść" (1964).

Dwa wcześniejsze filmy nie wprowadziły jej nazwiska do czołówki, ale jakie to były tytuły... – Chodziłam z koleżanką na ulicę Dolną na Mokotowie, gdzie kręcono „Kanał" [w 1956 r. miała 14 lat – przyp. red.] i wciągnięto mnie na chwilę na plan jako statystkę – wspominała po latach. W „Zezowatym szczęściu" (1960) już jako studentka „wchodziła w kapeluszu na głowie przez bramę uniwersytetu".

Kiedy w maturalnej klasie (egzamin dojrzałości zdawała jako 17-latka) wygrała konkurs magazynu „Film" – „Piękne dziewczęta na ekrany", postanowiła zdawać do szkoły teatralnej.

Do dziś zagrała w ponad 70 filmach i serialach (wielką popularność przyniosła jej pierwsza odcinkowa rola „Doktor Ewy", 1970), jak również w ponad 70 telewizyjnych spektaklach.

Najcenniejsze kinowe wyróżnienie odebrała na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych (jeszcze w Gdańsku), za tytułową postać „Cudzoziemki" (1986) w adaptacji powieści Marii Kuncewiczowej w reżyserii Ryszarda Bera.

Jedynego w karierze Orła (Nagrodę Polskiej Akademii Filmowej) przyniosła jej postać Kurcewiczowej z megaprodukcji Jerzego Hoffmana „Ogniem i mieczem". W tym samym, 2000 r., odcisnęła dłoń na Promenadzie Gwiazd w Międzyzdrojach. 13 lat później główną kobiecą kreację w filmie „Piąta pora roku" Jerzego Domaradzkiego doceniło jury festiwalu w... Wuhan.

Z CZYM NA SCENĘ

Oko kamery kocha Ewę Wiśniewską niezmiennie, mimo upływu lat, ale to teatr (również radiowy, dla którego od 1964 r. dokonała ponad 200 nagrań) ponoć najpełniej pozwalał się jej realizować aktorsko.

– Każda rola filmowa była dla mnie jak gorset, w który musiałam się jakoś wcisnąć. Towarzyszyła temu niemoc skupienia się. A na scenie można się całkowicie oddać postaci. Wchodzi się w nią i zaczyna się istnieć jako ona – tłumaczyła w jednym z wywiadów.

Od roku 1964 była, kolejno, w zespołach warszawskich teatrów: Ludowego, Kwadratu, Nowego, Ateneum, Narodowego. Ma na koncie nagrodę Feliksa Warszawskiego za role Matki, Cioci, Królowej i Hrabiny w „Błądzeniu" w Narodowym.

W 2016 r. trafił do jej rąk Wielki Splendor przyznawany za kreacje w Teatrze Polskiego Radia.

Na Festiwalu „Dwa Teatry" pierwszy raz uhonorowano ją w 2011 r. (za role w spektaklach: „Napis" w reż. Wojciecha Nowaka i „Boulevard Voltaire" Andrzeja Barta). W 2013 r. Grand Prix „Dwóch Teatrów" zdobyło „Tango" Jerzego Jarockiego (przeniesienie z Teatru Narodowego). W 2019 r., znów indywidualnie, jury doceniło jej udział w spektaklach „Lato" w reż. Jana Englerta oraz „Paradiso" Andrzeja Strzeleckiego.

Podsumowując kiedyś zawodową drogę, stwierdziła: „Zostałam aktorką, żeby grać. Mój profesor ze szkoły teatralnej Aleksander Bardini zawsze pytał: »Po co, dziecko, wchodzisz na scenę?«. I ja już z tego toru nie schodzę. Muszę wiedzieć po co".

Fot. Wojciech Druszcz/East News

eprasa.pl 7fbdb83319

„Ach, to był szał, gdy Duduś grał na saksofonie...”



Tytuł piosenki Wojciecha Młynarskiego pasuje do wspomnienia o jej bohaterze – kompozytorze Jerzym Matuszkiewiczu, który zmarł 31 lipca w wieku 93 lat. Bo twórca melodyjnych przebojów, muzyki do 200 seriali i filmów, był też wirtuozem saksofonu, jednym z pionierów powojennego jazzu w Polsce.

Matuszkiewicz – dla przyjaciół Duduś (pseudonim z czasów młodości, gdy koledzy dostrzegli jego podobieństwo do postaci z rysunków Gwidona Miklaszewskiego) – był artystą wielu talentów. Jazzowe szlify zdobywał w 1947 r. w Krakowie, jako saksofonista orkiestry Kazimierza Turewicza. Podczas studiów operatorskich w łódzkiej filmówce i po nich był liderem legendarnych Melomanów skupiających największe indywidualności. Wspomnieć należy Krzysztofa „Komedę” Trzcińskiego, Andrzeja Trzaskowskiego, Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego, Andrzeja Kurylewicza, Zbigniewa Namysłowskiego, Witolda Sobocińskiego. Ten skład błyszczał na historycznych festiwalach jazzowych w Sopocie w 1956 i 1957 r., by potem dać życie różnym nurtom rodzimego jazzu.

Duduś regularne koncertowanie zakończył w latach 70. XX w., od czasu do czasu wracając na estradę. Autorytetem środowiska jazzowego pozostał do końca.

W przeciwieństwie do Sobocińskiego, swego kolegi ze studiów, który zostawił jazzową perkusję, żeby realizować się jako mistrz kamery, Matuszkiewicz nie podjął kariery operatora. Ale znając doskonale świat filmu, współtworzył go jako kompozytor. Słynny motyw czołówkowy i cała oprawa „Stawki większej niż życie”, „Czterdziestolatka”, „Wojny domowej”, „Janosika”, „Alternatyw 4”, „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”, „Przygód psa Cywila” – to wszystko jego muzyka. Podobnie jak przeboje Igi Cembrzyńskiej („W siną dal”), Heleny Majdaniec („Zakochani są wśród nas”), Mieczysława Wojnickiego („Nie dla mnie sznur samochodów). A także hity ze słowami Wojciecha Młynarskiego: „Jeszcze w zielone gramy”, „Tak bym chciała kochać już”, „Mam ochotę na chwileczkę zapomnienia” czy „Ach, to był szał, gdy Duduś grał na saksofonie”. To niezapomniane kompozycje. Żegnaj, mistrzu.

Adam Ciesielski

REKLAMA

Zabieramy rodziny i znajomych!

15 SIERPNIA 2021

TROPEMWILCZYM

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Bądźmy znowu razem!

Nie ma biegu w Twoim mieście?



Pobiegnij w Warszawie! Albo zabierz pakiet na wakacje!

Będzie się działo!

szczegóły i zapisy: tropemwilczym.org oraz facebook: tropemwilczym.pl

PATRONAT

Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości

1918·2018

ORGANIZATOR

FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

WSPÓŁORGANIZATOR

wolne dźwięki.pl

MECENAS PLATYNOWY

PZU

FUNDACJA PGNiG

MECENAS ZŁOTY

ORLEN

KGHM POLSKA MIEDŹ

DARCZYŃCA

FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER EDUKACYJNY

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER PROJEKTU

PARTNER

Bank Polski

Fundacja

BGK

PGNiG

fundacja orp

FESTIWAL FILMOWY NNW

PFR Fundacja

PARTNER MEDIALNY

SIECI

SIECI HISTORII

wPolityce.pl

71/0621/F

eprasa.pl 7fbdb83319



Paul Hindemith
„Cardillac”
Reż. Mariusz Treliński
Teatr Wielki – Opera Narodowa

Fot. Krzysztof Bieliński

Magnes i groza w operze



Adam Ciesielski

Trudny, wielokrotnie przerywany sezon Teatr Wielki – Opera Narodowa zakończył polską prapremierą „Cardillaca” Paula Hindemitha. Jej największym atutem był popis wokalny i aktorski Tomasza Koniecznego w partii tytułowej.

Rola to efektowna, ale i specyficzna. Główny bohater – niczym Dr Jekyll i Mr Hyde – jest na co dzień podziwianym jubilerem, który nie mogąc się rozstać ze swymi arcydziełami, nocami morduje nabywców, by odzyskać klejnoty. Pierwsze wystawienie opery awangardowego twórcy w 1926 r. w Dreźnie wzbudziło kontrowersje, ale walory muzyczne i niecodzienny temat przyciągały kolejnych inscenizatorów.

Docierając do Polski niemal sto lat po niemieckiej premierze, dzieło Hindemitha nadal brzmi atrakcyjnie. Także libretto, oparte pierwotnie na opowiadaniu E.T.A. Hoffmanna, przerobionym m.in. przez Ferdinanda Liona, musiało być magnesem dla Mariusza Trelińskiego. Historię o seryjnym mordercy, którego notabene nie wszyscy uważają za psychopatę, wpisuje on w wizję współczesności. Zrelatywizowanej, rozpędzonej bez celu, hedonistycznej i okrutnej. Nadmiar efektów wizualnych, bodźców dźwiękowych, natarczywych odniesień do filmów grozy utrudnia uchwycenie sensu niektórych sekwencji. Szczęśliwie przez te zapory przedziera się silny głos Tomasza Koniecznego, wyrazistego również aktorsko. Wokalnie sprawdzają się i pozostali wykonawcy. Zwłaszcza Izabela Matuła jako niekochana przez Cardillaca córka, która po rozprawie z okrutnym ojcem przejmuje w finale jego pracownię i dziwnie się do niego upodabnia. Pójdzie jego śladem?

Gdy opada kurtyna, spragniona opery publiczność (w maskach, ale wypełniająca już chyba całą salę, a nie co drugie miejsce, jak to było wcześniej) bije brawo. Choć przecież i na scenie, i poza nią rzeczywistość jest wciąż tak groźna.

Po co to wszystko



Goran Andrijanić

Pio Szorstkien to duet muzyczny z Krakowa, który tworzą Tomasz Radziszewski (gitara i wokal) oraz Piotr Korsuń (programowanie). Nowy album „Algorytm Pranziniego” jest ich trzecią produkcją, po płytach „Tajemnice Radosne” z 2018 r. i „Signum” z 2016 r.

Tytułowy Pranzini z albumu zawierającego 14 piosenek to Henri Pranzini, Włoch, który w 1887 r. został skazany w Paryżu na śmierć za potrójne morderstwo. Byłby zapomniany, gdyby nie napisała o nim w swoim pamiętniku św. Teresa z Lisieux, zapewniając, że wymodliła mu nawrócenie tuż przed egzekucją.

Tematem albumu jest walka z grzechem, wciąż powtarzanym przez człowieka „algorytmem” zła. Radziszewski, autor tekstów (wieloletni gitarzysta zespołu Świetliki), porusza się więc w temacie duchowym, ale jego styl różni się od znanych realizacji na scenie chrześcijańskiej.

Muzycznie klimat albumu wiele zawdzięcza zespołom takim jak Joy Division i The Cure (z ich fazy gotyckiej). Przypomina mi też trochę styl PJ Harvey, a dokładnie jej ostatnie dwa albumy („Let England Shake” i „Hope Six Demolition Project”).

Album jest co prawda trochę mroczny w poetyce poszukiwania Boga. Ale ta szczerość powoduje, że jest oryginalny w porównaniu ze standardami muzyki chrześcijańskiej, zdominowanej przez zbyt wielu performerów, którzy dziś podnoszą euforycznie ręce, „chwaląc Boga”, a jutro idą na strajk kobiet protestować w sprawie wyboru.

Można też w nim usłyszeć jedną z najpotężniejszych piosenek antyaborcyjnych. Tytuł „Dziewczyna, diabeł i dziecko” – nie sądzę, żeby coś jeszcze trzeba było wyjaśniać.

„I po co to wszystko?”, pyta Radziszewski w kawałku „Nie cofnął się, nie uciekł”, jednym z najlepszych na albumie. A zaraz potem odpowiada: „Ale Bóg jest. On jest”.

I tak jest, bo swoje albumy finansują dzięki internetowym darowiznom ludzi, którzy kochają ich muzykę. Oby jak najdłużej.



Pio Szorstkien
„Algorytm Pranziniego”
Karrot Records, 2021

Fot. Wojciech Druszcz/East News

eprasa.pl 7fbdb83319



Od lewej: Konrad Szymański, Zuzanna Szaporznikow, Aleksandra Głogowska i Krzysztof Szczepaniak



Piotr Fronczewski i Aleksandra Głogowska

Fot. RDC

ZAREMBA SŁUCHA RADIA

Baczyński wciąż odkrywany – w Radiu dla Ciebie

Obiecałem, że czasem będę tu pisał o radiu. To publiczne jest dziś medium, które najbardziej systematycznie zajmuje się polską kulturą. Radio dla Ciebie wyemitowało pierwszego sierpnia, w 77. rocznicę powstania warszawskiego, niedokończony i zapomniany, jedyny dramat Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Adaptatorka i reżyserka Aleksandra Głogowska, kierownik literacka Teatru Polskiego Radia, nadała mu tytuł „Pora gniewu". Tak opisuje Baczyński w tekście jesień. Rękopis dramatu, z odręcznymi poprawkami poety, ba, z jego rysunkami, także z dyspozycjami co do muzyki, leżał w Bibliotece Narodowej. Niby o nim wiedziano, ale dopiero radio wpadło na pomysł najprostszy: zróbmy go. Chwała za to Tadeuszowi Deszkiewiczowi, prezesowi RDC, i ekipie Teatru Polskiego Radia Janusza Kukuły.

Baczyński, zabity w wieku 23 lat, w czwartym dniu powstania, to ktoś mi bliski. Skąpany w poetyckich symbolach, a nie przepatetyzowany, w czym wielka zasługa jego wielkiej interpretatorki z czasów mego dzieciństwa Ewy Demarczyk. Ktoś, kto jak „Zośka", „Rudy" czy „Alek", jego koledzy z liceum Batorego, podsuwał mojemu pokoleniu ofertę: młodości bardziej czystej i romantycznej niż codzienność. Liberalna lewica tropi dziś paradoksy, półżydowskie pochodzenie Baczyńskiego, jego socjalistyczne sympatie. Ale to właśnie jest arcypolskie, ta solidarność w godzinie próby.

Gdy siada się do „Pory gniewu", warto być przygotowanym na trudną formę dramatu poetyckiego. Te wszystkie dyskursy i symbole przypominają niełatwe teksty Norwida. Czasem wyczujemy pewną przesadę w języku, on go w 1942 r. lekko archaizował. A zarazem odnajdujemy tu pasję Baczyńskiego znaną z jego wierszy w odmalowywaniu niepokojącej grozy jego czasów. Jan, główny bohater, to on sam, czujący się, bojący, miotający między swą naturą i żołnierskim obowiązkiem. Ujmująca jest w ostateczności ta jego szczerość w przypominaniu własnego zagubienia.

Są kawałki profetyczne. Matka przestrzega Jana przed pozostawaniem przy oknie. To w oknie Pałacu Blanka ustrzelił młodego poetę snajper. Przyjaciel Piotr wzywa go na zbiórkę o czwartej przy magistracie. Baczyński zginął o czwartej przy warszawskim ratuszu. Jego spory z przyjacielem w obliczu wojennego kataklizmu wydają się aż egzotyczne. Piotr uważa wojnę za szansę na duchowe odrodzenie, dziś większym problemem są tchórzostwo i znieczulenie. Ale walka poety, w którym wojna budzi grozę, o prawo do osobności, do własnych myśli pozostanie aktualna zawsze.

Nie wiem, czy da się nadać temu proste przesłanie pacyfistyczne, choć pobrzmiewają tu echa dyskusji poety z kolegami, echa szukania sensu w tym, co spotyka ich pokolenie. Prof. Jarosław Gajewski przypomniał na tej kanwie w RDC maksymę Heraklita: „Wojna jest ojcem wszechrzeczy". Bo przecież i ona sens przynajmniej miewa. Można łowić do woli w tych myślach, w metafizycznych skojarzeniach, i każdy będzie miał prawo do własnych wniosków.

Na koniec, jak pięknie jest usłyszeć znakomitych polskich aktorów mówiących krystaliczną poezją. Danuta Stenka (Matka, dziwnie groźna w swoich proroctwach) i Piotr Fronczewski (symboliczna postać Gladiatora) to mistrzowie polskiej mowy. Ujmujący jest Krzysztof Szczepaniak jako Jan. Tu akurat potrzeba było jego hamletycznej delikatności. Konrad Szymański (Piotr) i Zuzanna Szaporznikow (Joanna) dopełniają tego ponadpokoleniowego popisu subtelności.

Spektakl przepełniony jest muzyką. Pianista Viet Trung Nguyen imituje domowe, amatorskie granie Chopina, a Marcin Nierubiec adaptuje pieśni Baczyńskiego, każąc je wyśpiewywać Grzegorzowi Wilkowi. Taki świat wciąż istnieje!

Piotr Zaremba

eprasa.pl 7fbdb83319

3 MIŁOŚCI

Cierpienie może mieć sens



ROBERT TEKIELI

Najważniejszym ze wszystkich tematów jest cierpienie. Mierzą się z nim kultura, sztuka, religie. I wszystkie poza chrześcijaństwem tę konfrontację przegrywają, głosząc nieuchronność fatum, bezwyjściowość koła karmy czy ucieczkę od cierpienia poprzez zniesienie cierpiącego podmiotu, rozpłynięcie się w kosmicznym oceanie. Buddyjskie rozmycie tożsamości cierpiącego nie jest wyjściem. To zwykła ucieczka.

Sztuczny optymizm nowego, Wodnikowego gnostycyzmu jest śmieszny. Każdy, kto dziś lepi zrób-to-sam-religię, jest ignorantem. Identyczne gnostyckie pomysły pierwszych trzech wieków po Chrystusie poniosły klęskę. Religijny synkretyzm to przepis na duchową porażkę.

Z cierpieniem związany jest temat nadziei. Pesymizm większości wierzeń i religii jest uderzający. Tak samo protestancki determinizm czy niemiłosierny Bóg islamu. Tu nie ma rozwiązania.

Żaden człowiek nie uniknie konsekwencji swych złych wyborów, życiowych błędów. Przed cierpieniem nie ma więc ucieczki. I wielką nadprzyrodzoną nadzieją chrześcijaństwa jest to, że cierpienie, którego po Bożemu nie da się uniknąć, może mieć głęboki sens.

Człowiek jest dzisiaj bardzo samotny. Szczególnie pozbawiony sacrum człowiek Zachodu. Stworzyliśmy świat, w którym każdy żyje sam. Od samotności blisko do myślenia, że nikomu nie jesteśmy potrzebni, a to kłamstwo.

Bóg mnie pragnie, jesteśmy chciani. Bóg o mnie myśli ciągle. Każdy z nas istnieje dlatego, że Ojciec go chce w tej chwili. Jezus jest przy mnie cały czas. Nie jestem sam.

Co rodzi samotność? Jakie są konsekwencje odrzucenia instrukcji obsługi świata, wyrzucenia ze swojego słownika słowa „grzech”?

Statystycznie nieprawdopodobna ilość negatywnych wydarzeń w życiu, czyli tzw. pech, depresje niedające się leczyć farmakologicznie, niektóre choroby, rozpadające się jedna po drugiej najważniejsze relacje, uzależnienia, nałogi, anoreksja, oschłość duchowa, wieloletni brak radości, indukowana niesamodzielność życiowa, niedojrzałość 30- i 40-latków, niszczące normalne życie skutki molestowania seksualnego, negatywne konsekwencje cyfrowego smogu, zaangażowania w okultyzm, we wschodnie medytacje i jogę, toksyczne relacje zapośredniczone przez media społecznościowe – wszystko to poddaje się Bożej mocy. Trzeba jednak wykonać pierwszy krok. Bo nie wystarczy tylko chcieć. Potrzebna jest współpraca z łaską. Otwarcie się na miłość poprzez przyjęcie prawdy o sobie i swojej sytuacji.

Ewa, zrozumiawszy, że osoba, która przychodzi do niej we śnie, nie jest jej gwałtownie zmarłym narzeczonym, została uwolniona od trzyletniej depresji w czasie kilkuminutowej modlitwy kapłana w kościele przy Bonifraterskiej w Warszawie. W krótkim czasie odbudowała relację z ukochaną mamą i znalazła pracę. Kiedy ostatni raz się z nami kontaktowała, opowiedziała, że Bóg nawrócił jej szefową dzięki świadectwu tej przemiany.

Nie możesz przestać pić, mimo że czujesz przerażenie, bo zdarza się, że nieprzytomny jedziesz po cytrynówkę samochodem? Nie możesz przestać szukać bliskości, akceptacji i budzisz się znowu i znowu z nieznanymi facetami, mimo że zaciskasz oczy, gdy przypominają ci się rzeczy, które wczoraj znieczulona robiłaś? Jak wrócić do żony, mimo że masz dziesięcioletnią córkę z piątą kochanką, a twój syn z sakramentalnego małżeństwa napluł na ciebie, gdy po raz tysięczny w oczy kłamałeś swojej rodzinie? Jak odejść na zawsze od ekranu z coraz bardziej niszczącym pornoaktorów seksem, z coraz młodszymi obiektami, wreszcie z poniżaniem, biciem czy z rzeczami jeszcze gorszymi. Jak przestać grać po pięć–osiem godzin dziennie? Jak przestać siedzieć w komórce w każdej wolnej sekundzie?

Skoro Bóg chce naszego szczęścia, a jest wszechmocny i wszechmiłosierny, najgorsze zranienie, najbardziej rozdzierające cierpienie, można przekuć w dobro. Wyprowadzić sens z kaleczącego wszystkich zła. Zawsze jest nadzieja. W każdej chwili masz szansę, by się zmienić. Wiem to, bo cieszyłem się z kilkuset osobami, którym w ciągu ostatnich 25 lat pomagałem. Tajemnicą tej przemiany jest codzienna współpraca z łaską. Ale najpierw musi nastąpić otwarcie się na Jezusa. Czasami następuje ono w trakcie rekolekcji. Recolligere tłumaczy się „zbierać na nowo, powtórnie”. W katolicyzmie nazywamy tak kilkudniowy okres poświęcony odnowie duchowej poprzez modlitwę, wygłaszane przez prowadzącego konferencje oraz spowiedź. Indywidualną, uwalniającą mocą Obecności rozmowę z Chrystusem dzięki pośrednictwu kapłana. Poprzez rozmowę z Mesjaszem. Bo chrześcijaństwo to jedyny urzeczywistniony mit. Mit wcielony.

Rekolekcje „Dwa Serca”. Saletyński dom rekolekcyjny w Dębowcu koło Jasła, 29 września–2 października tego roku. O warunkach uczestnictwa, cenie rekolekcji oraz innych szczegółach można się dowiedzieć, pisząc na adres: **robert.tekieli@tlen.pl**

eprasa.pl 7fbdb83319

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Od 500 lat katolicy rozgrywani są jak dzieci. Najpierw zaufali intelektualistom, którzy przejęli kulturę z rąk mnichów, potem dali sprawy świata wziąć w ręce filozofom oświeceniowym i prawie już 400 lat bezmyślnie ufają wrogiej sobie liberalnej prasie. Dziś katolicy nawet wiedzę o katolikach czerpią z liberalno-lewicowych mediów tradycyjnych i z marksistowskich mediów społecznościowych.

A walka o świat to walka o informację i jej interpretację. Rozumieli to kiedyś jezuici. Dziś więcej niż miliard ludzi rozgrywanych jest przez kilkadziesiąt milionów niewierzących.

Dlaczego warto czytać Roszkowskiego? Daje nam do ręki potężną broń: zrozumienie. Pisze językiem tak czystym, klarownym, iż wiemy, że rozumie.

W drugim tomie swej historii chrześcijaństwa pod tytułem ***„Świętości, upadki i nawrócenia”*** prof. Wojciech Roszkowski odmalowuje na 650 kartach nowożytne losy instytucji założonej przez Boga-Człowieka. Zaczynając od takich nieoczywistych oczywistości: „teza, iż Kościół hamował rozwój nauki” jest „na tyle przesadzona, że trzeba nazwać ją kłamstwem”.

W świecie przenicowanym musimy udowadniać, że Kościół był twórcą nowej kultury wypełniającej próżnię kulturową powstałą po upadku imperium rzymskiego. Powtarzać niesłuchającym, że do XVI w. Christianitas „była podstawą i osnową kultury europejskiej jako takiej”.

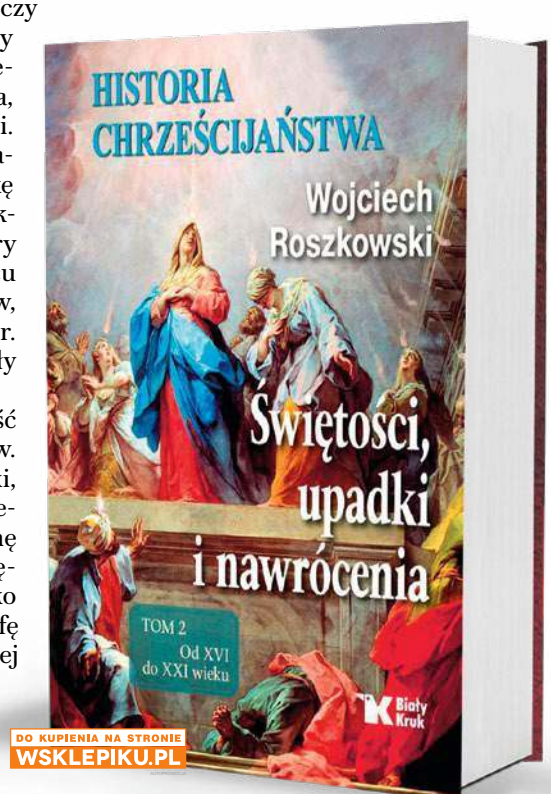
Boecjusz na przełomie V i VI w. tłumaczący Arystotelesa, przekładane systematycznie na łacinę prace medyczne Hipokratesa, najwybitniejsi naukowcy wczesnego średniowiecza: mnisi, jak Alkuin, Lupus czy Abbo z Fleury... Gdyby nie klasztory w Cluny i na Monte Cassino, nie mielibyśmy dziś dzieł Platona, Cycerona, Horacego, Pliniusza, Tacyta i Seneki. Szkoły klasztorne były ośrodkami naukowymi, cystersi rozwijali energetykę wodną i hutnictwo żelaza. Benedyktyński mnich Eilmer z Malmesbury przeleciał na swoim protoszybowcu na początku XI w. ponad 100 metrów, a pierwszy zegar zbudował ok. 996 r. matematyk Gerbert z Aurillac, przyszły papież Sylwester II.

Prof. Roszkowski toczy swą opowieść o historii Kościoła od XVI do XXI w. Mamy zatem przewrót kopernikański, wyzwanie humanizmu, rewolucję luterańską i szaleństwa reformacji, schizmę anglikańską, terror elżbietański, męczeństwo Kościoła japońskiego, fiasko redukcji paragwajskich, czyli katastrofę znanej z filmu „Misja” chrześcijańskiej republiki Guaranów. Czytamy też o muzycznej rewolucji duchownego rzymskokatolickiego, księdza Antonia Vivaldiego, który na początku XVIII w. rozwinął sztukę koncertową służącą kontemplacji piękna jako takiego.

Potem Kościół w „dobie postępu”, rewolucja francuska, kolejne fale ateizmu, śmiercionośny racjonalizm, słabość i upadek państwa kościelnego, trąd modernizmu i racjonaliści objaśniający chrześcijanom Pismo Święte oraz pułapka tzw. państwa neutralnego światopoglądowo. I w końcu XX w. I Wasilij Kniaziew w swojej „Czerwonej Ewangelii” piszący instrukcję dla aparatu władzy w ZSRR: „Oto przesłanie drugiego Chrystusa: (...) błogosławieni, którzy nie znają miłosierdzia”. I wykonawca tej instrukcji – Stalin, morderca Kościołów chrześcijańskich w państwach, które znalazły się pod władzą Kremla. Potem Meksyk, czyli masoni w natarciu, antychrześcijański nazizm i męczeństwo Kościoła hiszpańskiego. I wreszcie czasy współczesne pomiędzy aggiornamento i pokojową rewolucją na Filipinach.

Współczesność opowiedziana jest głównie przez postaci. Św. brat Albert Chmielowski, twórca katedry Sagrada Familia, geniusz architektoniczny wszech czasów – Sługa Boży Antoni Gaudi, błogosławiony ksiądz Władysław Demski zamordowany w 1940 r. w niemieckim obozie koncentracyjnym, za to, że nie chciał podeptać różańca. Ojciec Kolbe, męczennik z Auschwitz, dwukrotnie aresztowany przez NKWD, zmarły w 1926 r., sługa Boży abp Jan Feliks Cieplak, matka Teresa, Prymas Tysiąclecia i Jan Paweł II. Autor oddał też sprawiedliwość papieżowi Piusowi XII, wobec którego w 1963 r. rozpętano kampanię zniesławiającą rozpoczętą sztuką teatralną pt. „Namiestnik” pióra byłego członka Hitlerjugend, później na usługach służb specjalnych Kremla. Ta służąca bardzo przyziemnym interesom antypapieska ofensywa kulminowała w 1998 r., gdy izraelski Kneset zażądał wstrzymania jego procesu beatyfikacyjnego. A mówimy o człowieku, któremu za ratowanie Żydów dziękowała późniejsza premier Izraela Golda Meir.

Prof. Roszkowski krok po kroku rozbija w pył antychrześcijańskie mity, dzięki których powszechności oświeceniowy przewrót informacyjny do dziś determinuje losy naszej cywilizacji. Wojciech Roszkowski kończy swą historię chrześcijaństwa przesłaniem dla ludzi, którzy wierzą w nieistnienie Boga: „prawdziwe oświecenie istnieje tylko poza Wszechświatem”. To prawda panie profesorze, Bóg nosi Wszechświat w butonierce.



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 7fbdb83319



Danny Smiřický żyje!

Dwie powieści i jeden zbiór ballad to budujący dowód na istnienie „chłopackości": zbioru cech, zachowań i wartości niezbędnych dla kultury, choć chętnie dziś piętnowanych

Wojciech Stanisławski

Uspokajam: Danny oczywiście żył, żyje i będzie żył, bohaterowie literaccy są nieśmiertelni, to tylko autorzy umierają. Josefa Škvoreckiego pożegnaliśmy przed blisko dziesięciu laty, ale bohater „Tchórzy", „Batalionu czołgów", „Fajnego sezonu" i kilku jeszcze tytułów, jazzowy, frantowski, cwany i piegowaty Danny ucieszy jeszcze kilka pokoleń czytelników. Idzie mi jednak o to, że wbrew niesprzyjającym warunkom nadal pojawiają się na kartach książek postaci, które są kwintesencją chłopackości: nieuczesanej, krzykliwej, koguciej, kłopotliwej w bliższym obcowaniu i, owszem, z czasem stającej na rozdrożu. Jednym pisane mizerne machismo: browar, bandyterka lub bicie żony, innym męstwo: wytrwałość, stałość, odwaga. Entuzjaści piętnowania „toksycznej męskości", których wokół coraz więcej, zdają się jednak tego rozdroża i drugiej możliwości nie dostrzegać. Cóż, tak wygodniej.

Że to rozdroże istnieje, więcej, że bez przepoczwarzającej się w męstwo chłopackości ludzkość niewiele ma szans na przetrwanie, dowodzi już pierwszy, najgrubszy z trzech polecanych dziś tytułów. O „Plac Leńskiego" będą się zresztą przepychać w księgarniach czytelnicy ciekawi różnych spraw. Swój kęs wyrwą z niego varsavianiści – bo ten zapis dorastania w latach 60. i 70. między „miśkami", ZOO, blokami Nowej Pragi i Czterema Śpiącymi nie ma konkurencji, jeśli idzie o literacki ślad tamtej części Warszawy. Jeśli Paweł Dunin-Wąsowicz zdecyduje się przygotować drugie wydanie swojego „Praskiego przewodnika literackiego" (Hereditas, 2018), wiele zawdzięczać ono będzie powieści Daniela Wyszogrodzkiego.

Po debiut powieściowy tego tłumacza, dziennikarza muzycznego i biografisty sięgną także czytelnicy ciekawi opisu dzieciństwa ze szczególnej perspektywy: dorosłego, który nie tyle odwołuje się do swoich starannie wyselekcjonowanych wspomnień i doświadczeń kilkulatka, ile wchodzi w jego skórę i odtwarza ewolucję widzenia świata, horyzont rozszerzający się po parapet, park, Wisłę w sposób wierny i wolny od paternalizmu.

Nie jest to oczywiście „literatura dla dzieci" starego typu, nieznośnie ugrzeczniona i infantylizująca swoich bohaterów, jak działo się u Szklarskiego i jego licznych następców. Nie jest to jednak również „pisanie o dzieciach", brutalne, lecz również opisujące je „z zewnątrz" – już to w odmianie gore, jak we „Władcy much" Goldinga, już to w łagodniejszej, psychologizującej prozie Susan Hill. Nie, to introspekcja, wysiłek przypominania sobie siebie, z wierną pamięcią pokus i przekleństw. „Plac Leńskiego" przypomina mi nieco narracją i nastrojem zapomniane trochę powieści Włodzimierza Paźniewskiego z lat 80.: inteligencka, wysadzona z siodła rodzina, żyjąca trochę obok PRL, z wyraźnym doń dystansem, i główny bohater – eksplorujący, czupurny, chłopacki całą gębą, a jednak z niewidzialnymi normami i zakazami, wpojonymi mu przez dom.

I to zestawienie nie jest jednak do końca trafne, nie tylko dlatego, że powieść Wyszogrodzkiego jest nieporównanie gęstsza w szczegóły niż „Klasówka z pamięci" i o dekadę bliższa nam w czasie, że oferuje całe wagony nostalgii – dzisiejszy plac Hallera nie zmieściłby wszystkich, którzy zechcą jeszcze raz posmakować słodkiego chmielu młodości, zanurzyć się w tyle razy snutą i słuchaną opowieść o saturatorach, nauczycielce polskiego, gościu od WF i pierwszych longplayach. Wydaje się również, że (trochę podobnie jak w wydanej tej wiosny „Wdowie smoleńskiej" Andrzeja Horubały) jesteśmy brani pod włos pozorną zbieżnością tożsamości autora i bohatera. Owszem, Daniel to Danek, ale liczne tropy, od odkrywanej przezeń muzyki po pyszny, fajerwerkowy finał, w niczym nieustępujący temu z „Batalionu czołgów" (odkrywanie innych pozostawiam dociekliwości czytelników „Placu...") każą mi przypuszczać, że Danek to Danny – i że mamy do czynienia z kolejną inkarnacją Smiřickiego, który nadal ćwiczy zagadywanie, bajer, nawijkę i dowcip, tyle że już nie w Náchodzie i Pradze nad Wełtawą, lecz na Nowym Mieście i Pradze nad Wisłą.

I doskonale! Tylu jest bowiem entuzjastów „nowej" męskości, chemicznie (hormonalnie?) wypranej z testosteronu (czynna w Warszawie grupa Performatywne Chłopaki, z obfitością różu w logo i poważnymi ambicjami edukacyjnymi, preferuje nawet termin „czuła męskość"), jakby nikt nie czytał

eprasa.pl 7fbdb83319

ort ekstremalny

„Powrotu z gwiazd" Lema. A przecież setki antyutopii przestrzegają, co dzieje się ze społeczeństwami okładającymi „tradycyjną" męskość anatemą i w nieuprawniony sposób rozszerzającymi jej rozumienie. Na naszych oczach piętnowane są już nie tylko zachowania przemocowe, lecz sama możliwość zdecydowania, stanowczości, wysiłku. To wylewanie dziecka z kąpielą na skalę, która wywołać może potop.

I nie tyle nawet o „cnoty męskie" idzie (wolę nie sięgać po ten nieszczęsny, naftalinowy i przez to ośmieszający termin), ile owszem, o niecnoty: o czupurność. Przekorę. Przebojowość. Przytup. Bunt. Tak, na dwoje babka wróżyła: może się to wyrodzić w narcyzm, pychę, butę i brutalność kaprala – albo w rycerskość. Samo życie, panowie performatywni.

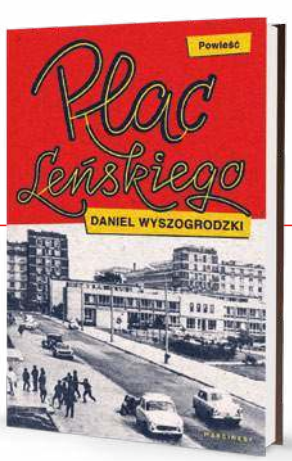
To życie może prowadzić w różne, czasem tragiczne strony – ale chłopackość, nieopierzona i niezborna, pozostaje jeszcze, na szczęście, jego niezbywalnym elementem. Dowodzi tego minipowieść Borisa Dežulovicia „Pieprzyć teraz to tysiąc dinarów" – tragigroteska traktująca o wojnie w Bośni, przed którą powinni nisko pochylić głowy wszyscy, którzy próbowali tę wojnę opisać. Recenzenci porównują ją nieraz z „Paragrafem 22", dając tym samym dowód, że nigdy nie oglądali „Undergroundu" Kusturicy. Jeśli bowiem do czegoś można porównać ten powieściowy rollercoaster zwrotów akcji, przebrań, przekory, krzywych luster i slapsticku – to tylko do tego filmu.

Dežulović, rodem ze Splitu, nie opisuje kosmopolitycznego Belgradu, lecz niezrównanie senne (choć ze wszystkimi atrybutami titowskiej modernizacji) miasteczko w Bośni. Ładunek jugonostalgii i uroku prowincji (tu znów kłaniają się Fellini z Kusturicą pospołu) jest gigantyczny – przede wszystkim dla tych, którzy mieli okazję widzieć tamten kraj przed wojną, lecz i dla każdego uważnego czytelnika. Banalne przygody nastolatków na boisku, w (zaimprowizowanej) sypialni, przed komisją poborową i maturalną z perspektywy bliskiej śmierci okazują się mieć urodę Arkadii. A jednocześnie koncept autora, którego żadnemu z recenzentów nie wolno zdradzić pod groźbą dożywotniego zakazu spożycia ćevapu, jest niczym sprężyna chronografu: z nieludzką precyzją nakręca i prowadzi całą akcję książki aż do tragicznego finału.

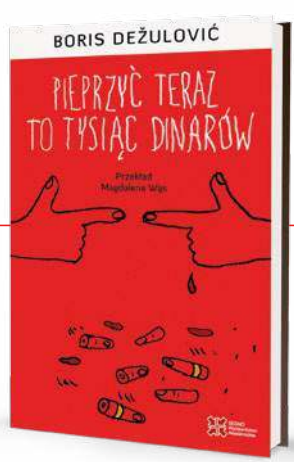
Nie spotkałem powieści (włącznie z prozą rosyjską, która ma w tej kwestii sporo do powiedzenia), która z większą siłą ukazywałaby dramat wojny domowej, gorszej od wszystkich innych konfliktów tym, że jest rozszczepieniem tego, co było jednorodne, czymś na kształt kaźni zafundowanej zbiorowemu Azji Tuhajbejowiczowi. A jednocześnie, przy całej grozie tego rozszczepienia i kumpli z technikum samochodowego otwierających do siebie ogień, jest to powieść, przy której ręka sama się wyciąga, by klepnąć kogoś obok w plecy: tak, tacy jesteśmy. Wariaty. Co to było za podanie. Niezły numer! A pamiętacie tamtą pielęgniarkę? A pamiętacie Sonję? A pamiętacie, jak... Esprit de corps – tak to się kiedyś nazywało.

Dorzucam trzeci tytuł – nie przez panslawizm bynajmniej, lecz przez sympatię do autora, do wariackiego składania wersów, do przekory, która objawić się może również w tak postmodernistycznym, lirycznym, erudycyjnym dziele jak „Ballady..." Uładzimiera Arłoŭ, białoruskiego poety. Ich rozmach, niesłychana gęstość skojarzeń, radość, z jaką narrator splata wątki i wieki, Węgry i Weronę, odwołania do Rzeczypospolitej Wielu Narodów i fantazje dada, wymagałyby osobnego szkicu. A przecież i on – dziwnie podobny do Stacha Perfeckiego, bohatera wczesnych powieści Jurija Andruchowycza – patrzy na świat (daleki od kamieni Bośni i granitów placu Leńskiego, utkany ze skojarzeń i toposów) z perspektywy chłopaka: zadziornego, próbującego szans, głodnego życia. Naprzód!

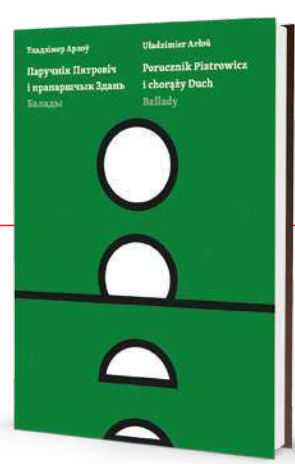
Książki z tezą są suche i szeleszczące jak łuska cebuli. Żaden z powyższych tytułów, nieprzewidywalnych i nieułożonych, do nich się nie zalicza – a jednak ten wspólny im motyw afirmacji chłopackości natychmiast rzuca się w oczy. Czy to znak czasu? I czy na podobne facecje stać jeszcze prozaików, powiedzmy, norweskich?



Daniel Wyszogrodzki, „Plac Leńskiego", Wydawnictwo Marginesy, 2021



Boris Dežulović, „Pieprzyć teraz to tysiąc dinarów", tłum. Magdalena Wąs, Wydawnictwo Sedno, 2021



Uładzimier Arłoŭ, „Porucznik Piatrowicz i chorąży Duch. Ballady", tłum. Bohdan Zadura, Warsztaty Kultury, 2021

eprasa.pl 7fbdb83319

Inspektoraty farmaceutyczne w kontrze do UOKiK

Farmaceuci prowadzący apteki franczyzowe mierzą się dziś z problemami, których źródłem jest rozbieżność w decyzjach inspektoratów farmaceutycznych i UOKiK

Inspektoraty, oceniając powiązania kapitałowe, orzekły, że nie akceptują klasyfikacji podmiotowej UOKiK, właściwego organu do orzekania w zakresie powiązań na rynku kapitałowym, do którego odwołuje się samo prawo farmaceutyczne. Inspektoraty powielają więc kompetencje UOKiK, tworząc chaos na rynku aptecznym. Problemem jest też przekazanie właściwości sądowej z wyspecjalizowanego Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów do wojewódzkich sądów administracyjnych.

Mówiąc prościej – tam gdzie UOKiK nie widzi istnienia grupy kapitałowej, inspektoraty, w tym Główny Inspektor Farmaceutyczny (GIF), dostrzegają, identyfikując, wbrew logice prawniczej, umowę franczyzy z nieadekwatnym w tej dziedzinie pojęciem grupy kapitałowej. Taka sytuacja, gdzie organ publiczny próbuje wykorzystać niejednoznaczne normy prawne, jest niedopuszczalna. Organ, w tym wypadku GIF, bez uzasadnionej przyczyny nie może odstąpić od utrwalonej praktyki. Każde postępowanie musi prowadzić w sposób budzący zaufanie przedsiębiorców do władzy publicznej, kierując się zasadami proporcjonalności, bezstronności i równego traktowania. Naruszenie tych zasad powoduje chaos prawny, którego skutkiem jest utrudnienie funkcjonowania rynku.

Konsekwencje tej sytuacji są bardzo niebezpieczne nie tylko dla całego rynku i jego postrzegania przez inwestorów, lecz przede wszystkim dla samych pacjentów, którzy mają gorszy dostęp do leków, a ograniczona konkurencja powoduje możliwość stosowania wyższych cen przez apteki.

Należy tu podkreślić, że kompetencje i zakres specjalizacji Prezesa UOKiK są uregulowane – bezsprzecznie, inspekcja farmaceutyczna jest związana wykładnią Prezesa UOKiK. Tworzenie nowej wykładni przez inspekcję farmaceutyczną jest niewskazane, gdyż może się to przyczynić do utraty przejrzystości i zaufania obywateli do prawa. Inspektoraty farmaceutyczne są organami wyspecjalizowanymi w sprawach farmacji, a UOKiK w dziedzinie ochrony konkurencji i konsumentów. Powiązania kapitałowe pomiędzy przedsiębiorcami powinien więc badać organ do tego właściwy – ma odpowiednie kompetencje, wiedzę, instrumenty prawne i kadry z obszaru rynku kapitałowego. Swoje ustalenia przekazuje następnie do inspekcji farmaceutycznej.

Obecnie na rynku tworzą się nowe modele prowadzenia działalności gospodarczej i urzędy muszą być świadome tych



Fot. Andrzej Wiktor

przemian i je uwzględniać. Umowa franczyzy czy inne formy zrzeszenia indywidualnych przedsiębiorców stają się coraz bardziej popularne nie tylko w Polsce, lecz również w innych krajach rozwiniętych. Umożliwiają one dostęp do rynku szerszej grupie osób i tego rodzaju zjawisko należy oceniać pozytywnie – coraz więcej osób może założyć działalność gospodarczą, dzięki czemu rynek staje się bardziej konkurencyjny. To z kolei jest bodźcem do dalszego rozwoju na rynku aptecznym i potencjalnie powinno przynieść korzyść pacjentom – leki w lepszej aptece i za niższą cenę. Nowe apteki to również większe wpływy do budżetu państwa z tytułu podatków, jak również dla samorządu terytorialnego, w szczególności gmin.

Należy więc usprawnić stosowanie prawa, a wszyscy uczestnicy rynku farmaceutycznego powinni współdziałać dla dobra wspólnego i dobra pacjenta. Stosowanie przepisów odmiennych dziedzin, które się pokrywają, nie może być sprzeczne. Przedsiębiorcy, bez względu na branżę, w której działają, powinni być wyposażeni w przejrzyste zasady i czytelną wykładnię, które będą wiążące dla administracji publicznej, bez wyjątków dla wybranych resortów czy grup interesów.

Kluczowe i wystarczające jest, jak się wydaje, w tym przypadku jednolite prawidłowe stosowanie obowiązujących przepisów przez organy publiczne. Dualizm i konflikt norm prawnych prowadzą do chaosu prawnego, rozbieżnego orzecznictwa, braku pewności prawa w działalności przedsiębiorców, potrzebnej im stabilności do prowadzenia długotrwałej działalności gospodarczej. Inaczej – wycofają się z rynku, na czym stracą przede wszystkim pacjenci.

Prof. Elżbieta Chojna-Duch

Reklama | 76/0721/F

eprasa.pl 7fbdb83319

30. ROCZNICA VI ŚWIATOWYCH DNI MŁODZIEŻY
CZĘSTOCHOWA 1991 – 2021

Jasna Strona Mocy

Festiwal Muzyki Chrześcijańskiej

13-14.08.2021
godz.20.15
CZĘSTOCHOWA
BŁONIA JASNOGÓRSKIE
(wstęp wolny)

transmisja
NA ŻYWO
TVP 1

13.08 (piątek)

ABYŚMY BYLI JEDNO

MIĘDZYNARODOWY KONKURS PIOSENKI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

gwiazda specjalna **IN-GRID**

Ida Nowakowska/ Tomasz Wolny
prowadzący

14.08 (sobota)

ABBA OJCZE

PIELGRZYMI ŚPIEWAJĄ ULUBIONE PIOSENKI JANA PAWŁA II

Rafał Brzozowski, Katarzyna Cerekwicka, Piotr Cugowski, Halina Frąckowiak, Edyta Górniak, Halina Mlynkova, Pectus, Ryszard Rynkowski, Mietek Szcześniak

Piotr Rubik/ Rafał Brzozowski
prowadzący



© Wydawnictwo Biały Kruk/Adam Bujak

Patronat honorowy:
Abp Wacław Depo – Metropolita Częstochowski

Organizator:
TVP 1
JASNA GÓRA

Partner:
Fundacja Instytut Mediów

Patronat medialny:
niedziela

eprasa.pl 7fbdb83319

JOANNA MORO AKTORKA

Wielkie rodzinne wakacje



Urodziłam się w Wilnie. Tu jest prawie cała moja rodzina. Kiedy – jak co roku – wybieramy się latem na Litwę, to mamy w perspektywie wspaniałe rodzinne wakacje, ale też jest to bardzo mój czas. Bo zamiast mówić, że jadę na Litwę na urlop, powinnam raczej powiedzieć, że wracam do siebie do domu.

Wilno nie jest wielkim miastem. Dużo w nim zieleni, wszędzie jest bardzo urokliwie i blisko do natury. Kiedy tam przyjeżdżam, pracuję trochę w ogródku z mamą, koszę trawę, ale też chodzimy z dziećmi na łakę, nad rzekę, do lasu, na miejską plażę... Tak sobie tu sielsko żyjemy.

Coroczną rodzinną tradycją jest też wyjazd do Pałangi, gdzie spędzamy wakacje w szerszym gronie. Pałanga to miasteczko nad Morzem Bałtyckim. Jesteśmy w nim każdego lata – z babcią, mamą, siostrą, ciotkami... ogromna familia. W tym roku dołączyła jeszcze rodzina męża, więc było mnóstwo dzieci, ale też dorosłych bliskich, z którymi chętnie spędzamy czas. To tradycja, którą z radością kultywujemy.

Pałangę uwielbiam nie tylko za rodzinne spotkania, jakość plaż i szeroki piękny horyzont (miasteczko jest położone nad otwartym morzem), ale też – zwłaszcza w ostatnich latach – za anonimowość. Tu jestem jedną z wielu plażowiczek. Nikt nie patrzy i nie ocenia, z kim przyszłam, jak jestem ubrana i co robię na plaży czy w wodzie. Zupełnie inaczej niż w Trójmieście, które bardzo lubię i w którym bywam dwa–trzy razy w roku.

Nad polskim morzem mam wielu przyjaciół. Chętnie przyjeżdżam do Gdyni, Gdańska i Sopotu, choć w tym ostatnim miejscu jest wyjątkowo dużo paparazzich. Zdarza się też, że zwykli ludzie wrzucają moje zdjęcia z plaży czy molo na Facebooka lub Instagrama.

W Trójmieście z jednej strony mam morze, a właściwie Zatokę Gdańską, z drugiej mogę czerpać z dobrodziejstw kultury. Chodzę do muzeów, teatrów, na wystawy. Za każdym razem, gdy odwiedzam Gdynię, idę na spektakt Teatru Miejskiego. W czasie wakacji oglądam przedstawienia na Scenie Letniej tegoż teatru, a w nich m.in. Szymona Cendrowskiego, mojego partnera z serialu „Anna German", który też ma trójkę dzieci.

Cieszę się, że kupiliśmy większy samochód (zdecydowaliśmy się z mężem na siedmioosobowy), bo nasza pięcioosobowa rodzina, zwłaszcza z bagażami, nie mieściła się już w poprzednim. Teraz komfort jazdy jest nieporównywalny. Sprawdziliśmy to w drodze do Wilna i coraz bardziej realne staje się marzenie o wycieczce do Włoch – przez Austrię i Szwajcarię. Wspaniale byłoby móc zatrzymywać się codziennie w innym urokliwym miejscu, żeby doświadczyć alpejskiego klimatu.

Myśląc o wyprawie do Włoch, nie planowałam odwiedzenia San Remo, gdzie Anna German w 1967 r. zachwyciła słuchaczy, ale może uda się tam dotrzeć. Byłam niedaleko San Remo jeszcze przed pandemią, kiedy pojechaliśmy z mężem do Francji, na Lazurowe Wybrzeże, tuż obok Monako, by świętować rocznicę ślubu.

Jeśli wybierzemy się do Włoch, to jesienią lub wiosną. Lato spędzamy w naszych klimatach – w Polsce i na Litwie. Obyśmy nie musieli już rezygnować z podróży z powodu pandemii.

Wszystkim czytelnikom życzę dużo zdrowia i uśmiechu. I serdecznie pozdrawiam.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. archiwum prywatne

eprasa.pl 7fbdb83319



SŁODKO-SŁONY

Wakacyjne zbiory

ANNA MONICKA

Towarzyszki spacerów po wijących się polnych drogach. W kwietniu wyglądają, jakby usiadły na nich białe obłoki. Zakwitają pierwsze maleńkimi śnieżnymi kwiatkami, dopiero później pojawiają się na nich liście. Gospodarstwa wyglądają dzięki nim jak z obrazka, ale rzadko kto zbiera kwaskowate owoce. Mówią na nie na wsi „damaszki", „lubaszki", „pestki" albo „srałki". Zwłaszcza te dwie ostatnie nazwy najlepiej pokazują, że nie cieszą się specjalnym szacunkiem. Rolnicy często rozjeżdżają je ciągnikami w czasie prac polowych, nie myśląc o tym, co tracą.

Owoce te śliwki mają fioletowogranatowe. Przypominają nieco mirabelki, ale nie są ani tak słodkie i pachnące, ani tak okrągłe, za to dosłownie oklejają gałęzie, nawet wtedy gdy wiosenne przymrozki nie sprzyjały zapylaniu. Na wakacyjnych spacerach można je podjadać, bo świetnie gaszą pragnienie. Gdy ostatnio przyjechałam do ciotki, czekał na mnie ogromny dzban pysznego kompotu, który nagotowała właśnie na tych mało popularnych owocach. Zbierała je, spacerując z kotami wokół swojego poniemieckiego domu.

Na Pojezierzu Drawskim, gdzie mieszka, można je spotkać głównie na obrzeżach gospodarstw albo przy drogach. Wygląda na to, że wykorzystywano je jako żywopłoty, bo są gęste, mrozoodporne i nie trzymają się ich ani robaki, ani choroby. Chroniły podwórka i drogi przed porywistymi wiatrami i śnieżnymi zadymkami, a w ich koronach wiły gniazda ptaki – dojadały jesienią owoce, których nie zerwali ludzie. Dawniej były pewnie bardziej szanowane, ale dziś rzadko komu chce się wspinać po małe i kwaskowate owoce, skoro można sobie posadzić inne, bardziej modne odmiany.

Może jednak wrócą do łask, zwłaszcza na terenach nękanych przez susze, bo niski poziom wód gruntowych jakoś niespecjalnie im szkodzi. W wielu sadach poumierały wiśnie czy jabłonie, w tym roku mało będzie węgierek, natomiast srałki owocują jak szalone. Można z nich usmażyć pyszne konfitury, można nastawić śliwkowy ocet, nalewki, soki. Nie trzeba ich nawet pestkować, wystarczy przesmażyć i przetrzeć przez sito. Wytrawny mus owocowy jest świetny do przekładania biszkoptów, mazurków, bezików. Można go też podawać do mięs, podobnie jak borówki.

Warto o nie dbać, sadzono je przy domach podobno już w VI w.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Podejść koziołka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przez wiele ludzkich pokoleń znajomość zwyczajów dzikich zwierząt, umiejętność ich wyszukania i podejścia, była kluczowa dla przetrwania. Chęć upolowania zdobyczy, chociaż oczywiście ważna, nie była jedynym bodźcem. Już w najdawniejszych malowidłach naskalnych widoczna jest fascynacja ludzka zwierzęciem: jego sprawnością, inteligencją, siłą, szybkością, pięknem. Ta sama pierwotna fascynacja sprawia, że obserwowanie dzikich zwierząt wciąż ma dla nas nieodparty urok.

Jakiś czas temu, podczas obchodów pewnego kompleksu leśnego, u końca wąwozu wychodzącego z lasu i przechodzącego w niewielką polanę, natknąłem się na koziołka, czyli samca sarny. Nie była to zresztą pierwsza obserwacja tego kozła. Widywałem go już w tym miejscu przynajmniej kilkukrotnie.

Koziołek pasł się, korzystając z obfitej trawy na skraju lasu, wychodząc w pogodne późnowiosenne i letnie wieczory ok. 20. Czasem kładł się w trawie. Zanim na polance zgęstniał cień, z wolna wracał do lasu. Z początku po prostu zauważałem go, jeżeli akurat nasze drogi się skrzyżowały i – chociaż widok sarny nie jest rzadkością – zauważałem z przyjemnością, zwłaszcza kiedy oświetlało go słońce i rdzawopomarańczowe futro prezentowało się szczególnie efektownie na tle intensywnej zieleni. Stopniowo poznawałem jego zwyczaje, a raczej wycinek zwyczajów obejmujących wieczorne wizyty na polance: sprzyjającą pogodę, godzinę pojawiania się, miejsce, w którym odpoczywał, i porę, o której znikał w wieczornym lesie.

Zamiar sfotografowania go, który przyszedł mi do głowy, miał być prosty do zrealizowania. Koziołek wydawał się łatwą zdobyczą. Pojawiał się o stałych porach i w tym samym miejscu. Ilekroć byłem w pobliżu, nie zwracał na mnie uwagi (moja trasa przebiegała w odległości jakichś stu metrów).

Kiedy jednak postanowiłem zrobić mu zdjęcie, zwyczaje koziołka się zmieniły. Stał się płochliwy i przestał przychodzić o stałych porach, a potem pojawiać się w ogóle (ja też, żeby więcej go nie niepokoić).

Zdałem sobie sprawę, że wcześniej, nie dając tego po sobie poznać, dobrze wiedział o mojej obecności. Nie uciekał, aż do chwili, kiedy poznał, że wzbudził moje zainteresowanie.

eprasa.pl 7fbdb83319



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

W paszczy morskiego potwora

Słowo „lewiatan” (hebr. liwjatan) oznacza morskiego potwora, którego samicę zgładził Bóg, a jej skórę przeznaczył dla Adama i Ewy na odzienie. Smród tej strasznej bestii potrafiłby zagłuszyć aromat biblijnego Edenu. Gdyby fetor potwora doń przeniknął, nikt by w nim nie przeżył. W tej samej starożytnej tradycji lewiatan symbolizuje księcia zła, który zanurzony w wodzie doprowadza do jej wrzenia tylko od gorącego tchnienia jego paszczy. Czy założyciele Konfederacji Lewiatan, przyjmując swoją nazwę, nawiązywali do tych starodawnych tradycji? Czy to tylko przypadek? W każdym razie Trybunał Konstytucyjny Konfederacji Lewiatan nie uległ...

A chodzi o przepisy ustawy o ograniczeniu handlu w niedziele i święta oraz w niektóre inne dni. Przepisy są zgodne z ustawą zasadniczą – orzekł pod koniec lipca Trybunał Konstytucyjny. Urząd rozpoznał sprawę na skutek wniosku przedstawionego właśnie przez Konfederację Lewiatan. Organizacja dowodziła, że przepis pozbawiający pracowników sektora handlu prawa do swobody wykonywania przez nich pracy w dni świąteczne stanowi ingerencję w wolność pracy, a to godzi w zasady demokratycznego państwa prawa. Lewiatan kwestionował także przepisy definiujące niedziele i święta na potrzeby ograniczeń w handlu.

Wniosek Konfederacji Lewiatan wpisuje się w bardzo aktualny ostatnio trend kwestionowania rządów Zjednoczonej Prawicy w imię zasad tzw. praworządności.

ZAGRABIONY HANDEL

Gdybyśmy na serio brali argumenty Konfederacji Lewiatan, należałoby uznać, że pozostałe kraje Unii Europejskiej, gdzie rygorystycznie od lat przestrzegane są zasady zakazu handlu w niedziele i dni świąteczne, nie są państwami prawa. Mowa tu choćby o Niemczech, Austrii, Belgii, Szwajcarii, Francji, Grecji, gdzie wielkopowierzchniowe sklepy objęte są całkowitym zakazem handlu. Są tam rzecz jasna szczegółowe regulacje opisujące kategorie wolne od zakazu handlu w niedziele, np. dla takich placówek, jak apteki, sklepy pamiątkarskie, cukiernie, kwiaciarnie, stacje benzynowe, sklepiki na lotniskach czy dworcach kolejowych.

W Polsce przez wiele lat hipermarkety czynne były przez niemal 24 godziny przez siedem dni w tygodniu. Trzymając się narracji marketingowego lobby, praworządność była wówczas stuprocentowa. W Polsce handel wielkopowierzchniowy od początku transformacji zdominowały firmy zagraniczne: niemieckie, francuskie, brytyjskie. Rynek wielkopowierzchniowego handlu został przez nie całkowicie przejęty, podobnie jak rynek mediów. Obowiązywała zasada: bierzcie i róbcie, co chcecie, i to jeszcze na specjalnych zasadach.

Zmarły niedawno prof. Witold Kieżun pisał w „Patologii transformacji”, że zbyt daleko idąca przewaga ekonomiczna zagranicznych przedsiębiorstw w grupie wielkiego przemysłu, bankowości i wielkiego handlu, wyzbycie się najbardziej dynamicznych i korzystnych ekonomicznie dla działalności gospodarczej przedsiębiorstw produkcyjnych, wręcz uniemożliwiła Polsce perspektywy dalszego rozwoju. Ofensywa wielkopowierzchniowego handlu umożliwiła już w 2011 r. funkcjonowanie 732 zagranicznych hiper- i supermarketów, doprowadzając do bankructw liczne polskie sklepy handlu detalicznego. W 2010 r. rozpoczęła się akcja rozwoju supermarketów zagranicznych w małych osiedlach miejskich. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy roku 2011 upadły w Polsce 6593 firmy handlu detalicznego. Rynek handlu został przejęty przez zachodnich potentatów w rodzaju: Tesco Poland – brytyjska marka handlowa, Auchan – właściciel François Colombié, jeden z najbogatszych obywateli Francji, Biedronka – portugalska firma Jeronimo Martins, francuskie Leclerc i wielka firma Carrefour – kilkaset supermarketów wraz ze sklepami osiedlowymi, oraz niemieckie marki: Hit, Real, Makro, Lidl.

eprasa.pl 7fbdb83319

Markety w pogoni za zyskiem od początku pracowały po 12 godzin dziennie, również w soboty i niedziele. Od początku nakładały wielkie marże, 100–300 proc., np. na produkty mleczne czy warzywa. Stosowały dodatkowe opłaty półkowe za przesunięcie towaru czy za dołożenie nowego. Stąd tak niewygodne ciągłe zmiany w umiejscowieniu choćby towarów żywnościowych. Kiedy klient już przyzwyczaił się do miejsca określonego towaru, kilka dni później musiał już szukać go w innym miejscu.

CHCIWOŚĆ ZAGRANICZNEGO KAPITAŁU…

…jest wciąż nienasycona. Potrafi otwierać nowe furtki lobbystyczne, toczyć stałe batalie o swoje wpływy, korzystając z siły zaprzyjaźnionych wielkich mediów i kontaktów wśród wielu polityków. A ci, jak ostatnio można było zauważyć przy okazji sprawy koncesji dla TVN, wydaje się, że w ogóle nie rozumieją, kto i po co wybrał ich do pracy w polskim parlamencie i co w ogóle jest ich głównym zadaniem. Można odnieść wrażenie, że sprzedaliby się każdemu, kto cokolwiek rzuci im pod pierwszą napotkaną latarnią.

Dla lepszego zrozumienia tematu warto sięgnąć do historii. Konfederacja Lewiatan, tak bardzo walcząca o handel w niedziele, to wcześniejsza Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych Lewiatan. Powstała w styczniu 1999 r. jako reprezentująca interesy przedsiębiorców prywatnych w Polsce, w tym ich interesy wobec Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego. Przedstawiciele Lewiatana zasiadali w kilkuset radach, komitetach, grupach i innych ciałach decyzyjnych Unii Europejskiej, w Polsce zaś w radach nadzorczych m.in. ZUS czy PFRON. Przez 20 lat prezydentem konfederacji (1999–2019) była Henryka Bochniarz. Ta absolwentka SGPiS w latach 1978–1990 była członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w tym I sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej w Instytucie Koniunktur i Cen Handlu Zagranicznego przy SGPiS. Jeszcze w okresie przed transformacją odbywała podróże do USA. W latach 1985–1987 była stypendystką Programu Fulbrighta, w okresie transformacji zaś jej kariera potoczyła się już błyskawicznie. W 1991 r. została ministrem przemysłu i handlu w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. Potem zasiadała w wielu radach nadzorczych spółek prawa handlowego, w tym m.in. TVN, Agory, TP SA, Fiat Auto Poland, Commercial Union Orange Polska SA i FCA Poland SA. Przewodniczyła polsko-japońskiemu komitetowi gospodarczemu. W latach 2006–2014 pełniła funkcję prezesa Boeinga na Europę Środkową i Wschodnią. Obecnie zasiada także w komitecie Wspierania Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin" w Warszawie.

W 2005 r. startowała w wyborach na urząd prezydenta RP, uzyskując 1,26 proc. głosów. Przed drugą turą ogłosiła poparcie dla kandydata Donalda Tuska, wybory, jak pamiętamy, wygrał Lech Kaczyński. Wówczas jej kandydaturę prezydencką poparł Marek Belka, prezes Rady Ministrów w latach 2004–2005. Polityk ten w 2001 r. złożył oświadczenie lustracyjne, deklarując, że nie był współpracownikiem tajnych służb PRL. Jak się później okazało, był tajnym współpracownikiem Służb Bezpieczeństwa o kryptonimie Belch. Już jako prezes Narodowego Banku Polskiego (lata 2010–2016) w lipcu 2013 r. w rozmowie z ministrem spraw wewnętrznych Bartłomiejem Sienkiewiczem w restauracji Sowa & Przyjaciele informował o dodrukowaniu pustego pieniądza bez zgody członków Rady Polityki Pieniężnej. Chodziło o zasilenie budżetu państwa i tym samym pomoc Platformie Obywatelskiej w wygraniu jesiennych wyborów 2015 r.

> Przy okazji sprawy koncesji dla TVN widać było, że niektórzy politycy w ogóle nie rozumieją, kto i po co wybrał ich do pracy w polskim parlamencie. Można odnieść wrażenie, że sprzedaliby się każdemu, kto cokolwiek rzuci im pod pierwszą napotkaną latarnią

TOWARZYSTWO WZAJEMNEJ ADORACJI

Konfederacja Lewiatan od początku kreowała swoje środowisko i własne lobby poprzez przyznawanie dorocznych nagród dla ludzi biznesu i przedsiębiorców w różnych kategoriach. W 2012 r. Nagroda Specjalna Lewiatana została przyznana Mariuszowi Walterowi, w 2011 Krystynie Jandzie i Aleksandrowi Smolarowi, a w 2017 w kategorii „odważne myślenie" Agnieszce Holland. Henryka Bochniarz była też wieloletnią współfundatorką Nagrody Literackiej Nike. Sama ma na swoim koncie wiele orderów i nagród.

W przeszłości Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych Lewiatan była też przyjazną przystanią dla ludzi pokroju Janusza Kaczurby, kontaktu operacyjnego tajnych służb PRL, przed którym otworzyła się szeroka droga do kariery także w III RP. Najpierw w rządzie premiera Tadeusza Mazowieckiego, potem w kancelarii prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego czy na stanowisku podsekretarza stanu w rządzie Leszka Millera. Był także ambasadorem RP przy Światowej Organizacji Handlu WTO. Był jednym z tzw. fachowców wprowadzających III RP do Unii Europejskiej. Swoją karierę zakończył, jak odnotowują Dorota Kania, Jerzy Targalski i Maciej Marosz w książce „Resortowe dzieci. Politycy", jako doradca ds. międzynarodowych Konfederacji Lewiatan kierowanej właśnie przez Henrykę Bochniarz. Początki jego kariery sięgały lat 60. w Instytucie Koniunktur i Cen Handlu Zagranicznego, tam gdzie I sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej była Bochniarz. W Instytucie tym zatrudniano zresztą wielu byłych i czynnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa, zwłaszcza wywiadu, czyli Departamentu I MSW – podkreślają autorzy „Resortowych dzieci" – tomu „Politycy".

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 7fbdb83319

1 sierpnia, Warszawa



Alina Czerniakowska

Pamiętam z dzieciństwa, że 1 sierpnia trzeba być na warszawskich Powązkach wśród brzozowych krzyży tych, co podjęli walkę z dwoma okupantami, walkę nierówną, bohaterską, wielką i najwspanialszą w naszych dziejach. Tak mówił mój ojciec, który z kolegami z Armii Krajowej z Okręgu Płockiego próbował iść na pomoc powstańczej Warszawie. Doszli pod Modlin i tam nie mogli się przedostać przez niemieckie oblężenie. Wspominał te chwile i nie potrafił ukryć łez: „Chłopaki upadli na kolana, widząc płonącą Warszawę. Płakaliśmy, chociaż każdy z nas był twardy jak stal". Nigdy nie zapomnę jego oczu, twarzy, jak o tym mówił, powtarzał: „Pamiętajcie, 1 sierpnia zawsze bądźcie przy grobach tych najdzielniejszych, oni są symbolem polskości".

Zawsze przychodzę na Powązki 1 sierpnia i mam nadzieję, że tutaj jestem wśród swoich, że spotykam tu ludzi, którzy doskonale znają historię, wiedzą, kto kim był i kim jest dzisiaj, którzy odróżniają honor i prawdę od zdrady, zaprzaństwa i kłamstwa. Jednak ostatnio wszystko się poplątało, ogłupienie społeczeństwa jest przerażające. Idący przede mną główną aleją na Powązkach z kwiatami i zniczami prowadzą rozmowy, które świadczą, że w ogóle nie rozumieją, o co walczyli powstańcy! A przecież przyszli złożyć kwiaty przy grobach tych, którzy, jak Józef Szczepański ps. Ziutek, pisali, ginąc na barykadach walczącej Warszawy: „Czekamy ciebie, czerwona zarazo,/Czekamy ciebie, ty potęgo tłumu/zbydlęciałego pod twych rządów knutem/Czekamy ciebie ty odwieczny wrogu". Każdy powinien ten wiersz przeczytać, zanim pójdzie na cmentarz do grobów tych, którzy doskonale wiedzieli, o co i dlaczego walczyli, mimo młodego wieku. Gdy myślę o tym poplątaniu z pomyleniem, zatraceniu sensu powstania, przychodzi mi na myśl wiersz Mariana Hemara napisany na emigracji wiele lat po powstaniu: „A dzisiaj, ta ciżba moskiewskich zaprzańców, A dzisiaj, te same psubraty/Z butami się pchają na groby powstańców/I wieńce im niosą i kwiaty/Dziś oni te groby chcą wziąć w swą arendę/I ukraść im honor tej chwili/I zwołać umarłych pod swoją komendę".

Na szczęście są nadal Polacy, dla których takie słowa jak „wolność", „godność", „honor" są święte i zachowały prawidłowe znaczenie. Pan Adam ze Szczecina zabiera całą rodzinę i jedzie do Warszawy, specjalnie na 1 sierpnia, aby w godzinę W oddać hołd bohaterom. „Tam są groby wspaniałych Polaków, Warszawa to święte miejsce. Tu w mojej stolicy stąpam po śladach tych najdzielniejszych, tu ich krew wsiąkła, tu ich męstwo i honor, tu ich ból i cierpienie, wszystko zrobili dla Polski. Wy żyjący tu na co dzień nie doceniacie, że chodzicie i mieszkacie w miejscu wyjątkowym, świętym. My jedziemy z dziećmi przez całą Polskę, żeby co roku 1 sierpnia tu być".

Takich i podobnych wypowiedzi słyszę więcej w tych dniach w Warszawie. Młodzi ludzie z Gdańska, Irek i inni przyjaciele nieżyjącej już Marii Fieldorf-Czarskiej, córki generała Fieldorfa, zamordowanego po wojnie w polskim więzieniu, przyjeżdżają liczną grupą co roku 1 sierpnia na warszawskie Powązki. Jest to swoista sztafeta pokoleń, wierne wypełnianie testamentu pani Marii, która pokazała im drogę do krzyży Powstańców Warszawy. Ich obecność, postawa nie tylko wzrusza i napawa dumą, ale nie pozwala zwątpić w siłę Polski, daje nadzieję, że otrząśniemy się z tego oplatającego nas kłamstwa i wszelkiego zła. Trwa walka duchowa między dobrem a złem. Świat się polaryzuje coraz bardziej, ci dobrzy stają się coraz lepsi, a ci źli brną w swoje zło, coraz bardziej wyrafinowane – dwa bieguny – piszą i mówią o tym naukowcy, obserwatorzy życia społeczeństw na całym świecie. Od nas zależy, w jakim kierunku pójdzie Polska, czy zdołamy się oprzeć wszelkim złym prądom, odrzucimy głupie, ślepe naśladownictwo i schlebianie rzekomej nowoczesności, czy potrafimy ocalić narodowe dziedzictwo wielowiekowej historii opartej na chrześcijańskich wartościach? Czy zdołamy tak kształtować własną duszę, własne życie, by dawać przykład bliskim, otoczeniu, wtedy może innych to zainteresuje, zaimponujemy im i zaczną nas naśladować.

Walka ze złem opartym na kłamstwie jest bardzo skomplikowana, wielopłaszczyznowa, szczególnie trudno przekazywać wiedzę historyczną, nakłonić do poznawania faktów ludzi młodych, wychowanych w domach postkomunistów, których rodzice na początku III RP zachowali władzę, przejęli majątek narodowy i bronią swojego status quo. Kłamstwu ulegają nawet ci, którzy, wydawałoby się, świetnie rozumieją, co jest grane, jednak silniejsza jest chęć zabłyśnięcia, szybkiej kariery, popularności, materialnego blichtru. I tak trwa wyścig szokowania złem, zamieniając prawdę w kłamstwo, dobro w zło. Dlatego tak ważne są te dobre przykłady pięknego życia, zachowania, rzadko nagłaśniane, bo dla wielu decydentów bardzo niewygodne. Jan Paweł II mówił do młodych, by mieli odwagę iść pod prąd bez względu na mody i narzucane im wzorce. „Pytajcie każdego dnia, jakie dajesz mi Jezu zadanie na dziś, na jutro? Przemieniajcie własną duszę, bądźcie odważni i silni, nie bójcie się iść pod prąd".

Sierpniowe rocznice w Warszawie pozwalają wierzyć, że dzisiaj też są ludzie odważni, kierujący się drogowskazem tych, którzy dali przykład swoim życiem, że „Bóg Honor Ojczyzna" to nie są tylko hasła wypisane na kombatanckich sztandarach.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 7fbdb83319

Jak wygrywać wojny?



Lech Makowiecki

Bitwa Warszawska, bitwa pod Wiedniem, pod Kłuszynem, Grunwaldem... Żeby wygrać te zmagania, musiało być spełnionych kilka niezbędnych warunków: mądre i śmiałe dowodzenie, wykorzystanie najnowszej techniki uzbrojenia oraz dysponowanie odnawialnymi zasobami zmotywowanych, bitnych i dobrze wyszkolonych wojowników/żołnierzy.

Zdemoralizowany starożytny Rzym upadł nie z braku oręża czy mizerii sztuki wojennej, lecz z niedostatku oddanych obrońców. W bitwie pod Hastings o zwycięstwie Normanów nad Anglosasami zdecydowali łucznicy i kusznicy. Dobór, uzbrojenie i wyszkolenie husarii pozwalały nam pokonywać wielokrotnie liczniejsze armie wrogów. Cud nad Wisłą zawdzięczamy nie tylko Bożej Opatrzności, ale również logistyce (amunicja z Węgier), nasłuchom radiowym (rozszyfrowanie ruchów Armii Czerwonej), a także skutecznemu wykorzystywaniu raczkującego lotnictwa i pierwszych czołgów. Zachwyca nieprawdopodobna mobilizacja wszystkich Polaków: od brawurowo walczących na froncie żołnierzy, po polityków różnych opcji, zgodnie przekuwających sukces militarny w zdobycze terytorialne.

Obecne czasy niosą nam zupełnie nowe wyzwania, którym wychowane w cieplarnianych warunkach młode pokolenie może nie sprostać. Polska duma i waleczność są już passé. Czy wyobrażacie sobie dziś masowy powrót Polaków z emigracji po to tylko, by wziąć udział w obronie ojczyzny? Błękitna Armia Hallera liczyła 68 tys., głównie emigrantów. Wielu z nich poległo lub odniosło rany. Znaczna część – po spełnieniu swego patriotycznego obowiązku – wróciła do Kanady czy USA. Przed współczesnymi dowódcami i politykami stoją bardzo trudne zadania. Nowoczesna wojna będzie (jest?) totalna, bezwzględna i zupełnie inna. Obawiam się, że laboratorium w Wuhan to tylko wierzchołek góry lodowej. Czy tu i teraz pojawią się stratedzy i mężowie stanu, którzy potrafią sprostać tym nowym zagrożeniom? Samoloty F-35 i czołgi Abrams to tylko część potrzeb.

Pięć gwiazdek PO



Piotr Cywiński

Było w pytę, znaczy, znakomicie! „Wszyscy odnosili się do siebie z szacunkiem, uśmiechali się, pomagali sobie nawzajem, a także wyrażali wspólne poglądy", opisał Pol'and'Rock 2021 polskojęzyczny „Fakt". Ale, aby nie było, że stronniczo jakoś, „były też nieco nieprzyjemne momenty", dodał autor tabloidu bez nazwiska. Jakie momenty? „Hasło »Je**ć PiS« skandowano przy kilku różnych okazjach", nawiązał eufemistycznie, jednak „Jurek Owsiak od razu starał się tonować nastroje". Jak tonował? Tego można się dowiedzieć z innych relacji. Na przykład pochwalił się ze sceny swoją reakcją na telefoniczną interwencję wojewody zachodniopomorskiego w tej sprawie: „Tu jest festiwal. Chce mi pan ten festiwal reżyserować, chce mi pan go tworzyć?! To my go tworzymy, nie pan. To my decydujemy, co się tu będzie działo" i, co podkreślił, „Skończyłem rozmowę".

Tak wygląda ta „niezwykle pozytywna atmosfera" na Owsiakowych imprezach, przepojonych wzajemnym szacunkiem, tolerancją, przyjaźnią i miłością. Gdyby komuś umknęło, o co chodzi, pewien „artysta", „honorowy ambasador Szczecina" i „polszczyzny", podzielił publiczność na sektory i dyrygował okrzykami: „lewa strona – je**ć, prawa strona – PiS!, z tyłu – mocno, mocno, mocno...!".

Jakaż wyrafinowana forma przekazu, jaki potencjał intelektualny...! „Je**ć PiS" to przecież poetycki skrót myślowy, takich epitetów jak: durnie, ćwoki, prostaki, szaleńcy, paranoicy, kanalie, chamy, plugawcy, dziady, ścierwojady, szkodnicy, nikczemni obłudnicy, katolickie cioty, zera, trupy polityczne itp., które padły dotąd z mównicy sejmowej. „Głowa psuje się od góry", mawiał Ryszard Petru, ktoś pamięta?

Tak oto brzmią wychowankowie wybitnych postaci z naszej sceny politycznej, jak Donald Tusk, Lech Wałęsa, Radosław Sikorski, Zbigniew Hołdys i inni, długo by wymieniać. Daruję sobie cytaty ich oralnych wybroczyn. Gościem Owsiakowego festiwalu nienawiści, którego sam „Jurek" przedstawił na scenie, była Marta Lempart vel „wypier***ać!" i „zamknij ryj, psie!". O czym prawiła do młodzieży, nietrudno się domyślić. Ot, wzorce, grzęźnijmy dalej w mule ich rynsztokowego słowotoku!

A co, że spytam, jeśli wprowadzane do masowego obiegu zawołanie „je**ć PiS!" przejmą inni, i w zależności od okazji zaczną skandować, od lewa do prawa i z tyłu: „je**ć PO!", „je**ć" gejów!", „je**ć Żydów!", „je**ć... (do dowolnego uzupełnienia)!", „mocno, mocno, mocno...!"? To dopiero byłoby chamstwo i homofobia, i antysemityzm, i..., niewyobrażalne...

eprasa.pl 7fbdb83319



Prawda i miłość

Tym, co mnie umacnia jako chrześcijanina, jest nawrócenie wszechstronnie wykształconej profesor filozofii

JAN POSPIESZALSKI

9 sierpnia przypada 79. rocznica męczeńskiej śmierci i wspomnienie św. Teresy Benedykty od Krzyża.

Choć od ponad dwóch dekad Edyta Stein zaliczona jest w poczet świętych, dopiero niedawno zacząłem odkrywać tę niezwykłą kobietę. Dramatyczna i barwna biografia świętej stała się już kanwą filmów, jednak świadectwo wygłoszone przez wybitnego kaznodzieję ks. prof. Roberta Skrzypczaka było przełomowym momentem, w którym Teresa Benedykta – karmelitanka, profesor filozofii, ofiara niemieckiego obozu Auschwitz – wtargnęła do panteonu moich duchowych bohaterów. Nie jestem pilnym czytelnikiem filozoficznych rozpraw, ale nieraz konkretne sceny z życia bohatera przemawiają mocniej niż najbardziej wyrafinowane akademickie rozprawy. Tak jest w przypadku św. Teresy Benedykty.

Urodzona we Wrocławiu, w religijnej żydowskiej rodzinie dokładnie 130 lat temu, młoda Edyta w wieku 14 lat określiła się jako niewierząca. Od tego momentu zaczyna się, mniej lub bardziej świadoma, droga poszukiwania prawdy, stąd wybór studiów psychologicznych, potem filologicznych i w końcu filozoficznych. Gdy wybuchła I wojna światowa, postawa lojalności kazała jej przerwać studia i zgłosić się na ochotnika do pracy w szpitalu. Wspominając swoją służbę pielęgniarki i opiekę nad rannymi żołnierzami i chorymi szpitala zakaźnego, siostra Teresa Benedykta od Krzyża napisze, że oddała swe siły na służbę ojczyźnie kierowana wdzięcznością za możliwość studiowania i uczestniczenia w wielkim dziedzictwie niemieckiej kultury. Jakim tragicznym paradoksem jest, że ta ojczyzna nie tylko jej się wyprze, ale poprowadzi ją, wraz z całym narodem, na Golgotę.

Osoba świętej stała się mi bliska też przez znane mi miejsca i ulice. Lubliniec (30 km od mojej rodzinnej Częstochowy), gdzie w domu swoich dziadków mała Edyta spędzała wakacje, ul. Nowowiejska we Wrocławiu, gdzie do dziś stoi kamienica i mieszkanie, w którym spędziła młodość. Również wrocławski Dworzec Główny w biografii świętej zapisze się jako miejsce, gdzie z zakratowanych okien bydlęcych wagonów widziano ją po raz ostatni, gdy wieziono ją do miejsca Zagłady.

I jeszcze jedna scena. Dramatyczna rozmowa z matką, głęboko religijną Żydówką, w rodzinnym mieszkaniu we Wrocławiu. Wyobrażam sobie tę rozmowę dwóch kobiet, gdy Edyta wyznaje matce, że przyjęła chrzest w Kościele rzymskokatolickim. Edyta klęczy i prosi matkę o zrozumienie, a ta wstrząśnięta nie przyjmuje decyzji córki do wiadomości. Dla osadzonej głęboko w tradycji judaizmu Żydówki odstępstwo córki jest równoznaczne z oddaleniem się i obcością. Ta dramatyczna rozmowa – łzy i emocjonalna przepaść, którą wykopuje matka – dzieje się we wrocławskim mieszkaniu. „Żadne duchowe dzieło nie rodzi się bez wielkich boleści" – napisze potem święta. I pewnie także to cierpienie – utratę więzi z matką – Edyta miała na myśli.

Tym, co mnie umacnia jako chrześcijanina, jest nawrócenie wszechstronnie wykształconej profesor filozofii. Jej droga od ateizmu do przyjęcia Jezusa Chrystusa wiedzie przez gruntowne studia i intelektualną dyscyplinę. Oczywiście na tej drodze są wydarzenia, które potem sama święta oceni jako łaskę, niemniej poszukiwanie prawdy, jeśli jest uczciwe, prowadzi w końcu do Boga. Święta wyzna to wprost: „Bóg jest prawdą. I kto szuka prawdy, ten szuka Boga, choćby o tym nie wiedział". Wspomnę jeszcze tylko dwa wcześniejsze „przypadkowe" wydarzenia – wizytę Edyty w domu znajomej z uczelni, po tym jak dociera wiadomość o śmierci jej męża na froncie. Edyta zamiast zrozpaczonej, złamanej bólem wdowy, widzi wyprostowaną, pełną godności kobietę przeżywającą śmierć męża w duchu ufności Bogu. I kolejne doświadczenie, gdy Edyta, czekając na spotkanie w obcej bibliotece, sięga na chybił trafił po książkę i napotyka na „Dzieje duszy" mistyczki św. Teresy z Avila. Przez całą noc nie może się oderwać od lektury i rankiem, zamykając książkę, mówi: „To jest prawda".

To, jak rozumie prawdę, wytłumaczy potem w genialny sposób: „Nie przyjmujcie niczego za prawdę, co byłoby pozbawione miłości, ani nie przyjmujcie niczego jako miłość, co byłoby pozbawione prawdy; jedno pozbawione drugiego staje się niszczącym kłamstwem".

eprasa.pl 7fbdb83319

Michał Korsun prezentuje:
Rafał Trzaskowski chce zwęzić Al. Jerozolimskie



Wycinki z przeszłości

Ogłoszono właśnie, że w tym roku ogólnopolskie dożynki „Wdzięczni polskiej wsi" pod patronatem premiera Mateusza Morawieckiego odbędą się 29 sierpnia w Bobolicach w powiecie koszalińskim. Co przywołuje wspomnienia związane z centralnymi dożynkami w Koszalinie w dniach 6–7 września 1975 r., choć oczywiście inny był system, inna rola tego rodzaju wydarzeń.

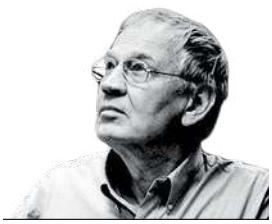
W ramach przygotowań odnowiono kilkaset budynków, rozebrano rudery i nieestetyczne przybudówki, poszerzono i wyasfaltowano wiele dróg i ulic. Zbudowano place zabaw i kilka budynków. Amfiteatr zyskał zadaszenie. Główne uroczystości odbyły się na stadionie koszalińskiej Gwardii i wbrew plotkom, że wcześniej doszło do jakiegoś zamachu, ówczesny władca Polski, I sekretarz KC PZPR Edward Gierek, pojawił się na nich zgodnie z planem. Wszystko oczywiście było zabezpieczane przez całą armię milicjantów i funkcjonariuszy SB.



Czy te bobolickie dożynki, zaplanowane na 29 sierpnia, odcisną się równie mocnym piętnem w pamięci społecznej? Zapewne nie, bo inne mamy już czasy, atrakcja goni atrakcję, nikt też nie będzie urządzał aż takich pokazówek. Ale też rozrywek nie zabraknie.

(mk)

Minutowy walc szczęścia



Leszek Długosz

Minuta w minucie przez minutę
Zajmę Państwu minutę
W tym czasie 188 km przez pustkowie
Kosmosu
Pomknie dalej Ziemia
Ileż okrzyków rozlegnie się po raz pierwszy
„Jestem tu na Ziemi"!
Ile powiek zamknie się na wieczność
Przeszłości ile pochłonie Ziemia
Minutę, jeszcze minutę, zdążę
Minuta, jeszcze minuta, już szansy nie ma
Kręci się – iluzji i trzeźwości – karuzela
Ile strzałów rozerwie powietrze?
Ile rąk, czułości ile rozkołysze się
W powietrzu
KOMUNIKAT SPECJALNY
Nasze serca, proszę Państwa
Moje i Twoje – nawzajem
Bardzo zajęte w tym czasie
Wykonały mniej więcej (przeciętnie)
70 uderzeń (kawał roboty)
Zachodzi podejrzenie: mogliśmy mieć
W tym czasie nawzajem sobie
Tyle do powiedzenia
Lecz druga już wkracza minuta
– Tamtej nie ma...
Ktoś ją spostrzegł?
Ośmielił się nazwać (miał powody?)
MINUTOWYM WALCEM SZCZĘŚCIA?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 7fbdb83319

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Ja i moja decyzja?

„Kult indywidualizmu zabija szczepionkową solidarność” – ten tytuł opublikowanej przez „Kulturę Liberalną” rozmowy z prof. socjologii Małgorzatą Jacyno jest jednocześnie diagnozą społeczną.

Jacyno zwraca uwagę na pandemiczną pułapkę, w jaką wpadły zachodnie społeczeństwa – do których RP też zalicza – hołubiące indywidualizm.



„MITOLOGIA INDYWIDUALISTYCZNA”

To określenie Jacyno, która zauważa: „Teraz widzimy, że nie da się nagle wyczarować społeczeństwa – a ono w kryzysie jest równie istotne jak same szczepionki”.

Badaczka podkreśla, że „nasz indywidualizm nie spadł z nieba. Od trzech dekad społeczeństwa europejskie są regularnie poddawane szczepieniom przeciwko dobru wspólnemu i wszelkim przejawom kolektywizmu. Indywidualizm jest cały czas podtrzymywany przez określone polityki publiczne oraz codzienne – wydawałoby się banalne i naturalne – narracje, szablony językowe i argumentacje obecne w programach, artykułach czy filmach”. Dodaje, że dobre polityki publiczne byłyby wtedy, gdyby tworzyły wspólnotowe instytucje, ale to wymaga „wiary w pokrewieństwo symboliczne czy duchowe, czyli nieuwarunkowane przez rzeczywistość biologiczną”.

PRZEPROSIĆ SIĘ Z TRADYCJĄ?

Ale jak w dzisiejszym świecie tworzyć warunki sprzyjające więziom duchowym? Skąd ma się brać „pokrewieństwo symboliczne”?

Przecież dla postępowej lewicy, do której – jak rozumiemy – prof. Jacyno się zalicza, tradycyjne formy wspólnotowości są złe. Rodzina jest zła. Religia jest zła. Naród jest zły. Patriotyzm groźny. Płeć jest zła. To co w takim razie ma połączyć genderyzowane dzieciaki, 24 godziny na dobę wpięte w internet?

Badaczka do pewnego stopnia ma rację, że biologiczne warunkowanie wspólnoty leży u podłoża takich patologii jak nepotyzm. Jednak *mimo wszystko*, ta ułomna forma rodzinności chroni jednostki przed kompletnym zagubieniem – jakoś je zakorzenia, socjalizuje, dyscyplinuje nawet. Lecz nie o nepotyzm chcemy tu kruszyć kopie – gdy przekracza pewne miary, staje się obrzydliwy. Tak samo jak paskudne formy przybierać potrafi pedagogika winy aplikowana Polakom przez postępowe środowiska okołogazetowyborcze.

Od siebie dodamy, że dziś indywidualizm za pomocą technologii przepoczwarza się w hiperindywidualizm. Symbolem tych młodych pokoleń, które za chwilę będą decydować o kształcie świata, są wulgarne napisy na tekturach i smartfony do lajkowania ośmiu gwiazdek na Facebookach. To przecież jest kolejne, jakby ich było mało, jeszcze większe wyzwanie dla polityki publicznej, która jest być może jedynym obszarem działań mogącym jakoś hamować wspomagany technologicznie zamęt.

ZADZIWIAJĄCE POKREWIEŃSTWO?

W obecnej sytuacji, choć może to niektórych zaskoczy, wygląda na to, że genderowcy z konfederacyjnymi wolnościowcami w jednym stoją domu. Ja! Ja! Ja! Mam prawa, prawa, prawa. Wolność! Swoboda!

Oba środowiska często zachowują się tak, jak gdyby nie widziały złożoności społeczeństwa. Społeczeństwo współodpowiedzialności w warunkach dostatku większego niż kiedykolwiek wcześniej w dziejach ludzkości w pewien sposób znika z radaru.

Niech państwo nie sprawdza, z kim śpię ani nie zagląda mi do brzucha. Zarazem ma chronić wybór wymarzonej przeze mnie nowatorskiej transtożsamości i jeszcze niech to sfinansuje.

Niech nie reguluje gospodarki – najlepiej wcale. Podatki zminiaturyzować. Jakieś ograniczenia swobód obywatelskich? Uchowaj Boże! Przymus szczepionkowy, lockdowny, kwarantanny – nie!

Nie szczepić się, ale i zarazem nie zamykać firm. Czy ten brak logiki coś przypomina? Owszem. Genderowi ideolodzy głoszą, że płeć jest konstrukcją kulturową i jednocześnie, że gejem lub osobą uwięzioną w niewłaściwej cielesnej powłoce człowiek się po prostu rodzi. I nic na to nie może poradzić!

Pal licho logikę. Wszak jakoś z tym światem ludzkich sprzeczności trzeba żyć. Co wobec tego z symbolami jednoczącymi?

NA SZCZĘŚCIE…

…dysponujemy zasobem odnawialnym, którym jest wielka idea miłosierdzia. Ale bez rodziny, Kościoła, narodu oraz innych instytucji uczących odpowiedzialności staje się pusta.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 22/0721/F

eprasa.pl 7fbdb83319

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

POLSKA

JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

TOKIO2020
#TeamPolska



SPONSORZY I PARTNERZY PKOL I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

ORLEN	LOTTO	Enea	4F	GRUPA LUXMED	POLISH AIRLINES LOT
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik

eprasa.pl 7fbdb83319